

ALEXANDRE DUMAS

TRZEJ MUSZKIETEROWIE

Alexandre Dumas

Trzej muszkietierowie

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843126

Trzej muszkietierowie:

Аннотация

Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego! Powieść z gatunku płaszcza i szpady, w której nie brak intryg, niespodziewanych zabójstw, pojedynków na śmierć i życie oraz romansów. D'Artagnan, Atos, Portos i Aramis to czterej przyjaciele, muszkietierowie gwardii francuskiej za czasów panowania króla Ludwika XIII i kardynała Richelieu. Dzieło odniosło światowy sukces – zostało przetłumaczone na wiele języków i wielokrotnie zekranizowane. Książka powinna spodobać się nie tylko wielbicielom klasycznej literatury francuskiej.

Содержание

Tom I	4
Życie i dzieło Alexandra Dumasa	4
Rozdział I. Czem stary D'Artagnan wyposaża syna na drogę?	8
Rozdział II. Przedpokój pana de Tréville	30
Rozdział III. Posłuchanie	45
Rozdział IV. Ramię Athosa, szarfa Porthosa i chustka Aramis	61
Rozdział V. Muszkietierowie króla i gwardziści pana kardynała	72
Rozdział VI. Jego Królewska Mość Ludwik Trzynasty	87
Rozdział VII. Muszkietierowie u siebie	114
Rozdział VIII. Intryga dworska	127
Rozdział IX. D'Artagnan działa	139
Rozdział X. Pułapka z siedemnastego wieku	151
Rozdział XI. Intryga zawiązuje się	165
Rozdział XII. Jerzy Villiers, książę Buckingham	189
Rozdział XIII. Pan Bonacieux	201
Rozdział XIV. Nieznajomy z Meung	213
Конец ознакомительного фрагмента.	222

Aleksander Dumas (ojciec)

Trzej muszkieterowie

Tom I

Życie i dzieło Alexandra Dumasa

Alexandre Davy de la Pailleterre Dumas urodził się dnia 24 lipca 1803 r. w Viellers-Cotterets, w departamencie Aisne. W jego żyłach złączyła się błękitna krew francuskiego szlachcica z burzliwą krwią murzynki z San Domingo. Ojciec, piastujący w armji francuskiej godność generała, osierocił chłopca wcześniej, nie zostawiając rodzinie środków do życia, ponieważ nieustanne konflikty z Napoleonem stały na przeszkodzie jego karierze materialnej. Aleksander odziedziczył po nim atletyczną strukturę, żelazne zdrowie, usposobienie szerokie, radosne, fantazję i wielki spryt. Matka – wdowa nie mogła ponieść kosztów wykształcenia chłopca; jeżeli młody Dumas rozporządzał pewnymi wiadomościami z dziedziny historii i językoznawstwa, to jest to wyłącznie zasługą pastora Abbé Grégaïne. Zresztą chłopiec nie okazywał zamiłowania do umysłowej pracy, mało interesował się nauką, jeszcze mniej literaturą, pociągały go natomiast wolne przestrzenie

pól i rozległe obszary lasów, był zapalonym fehmistrzem i nieporównanym strzelcem, opanował wszystkie sporty, wszystkie rodzaje cielesnych ćwiczeń. Pozatem żył wesołym życiem hulaki i nieroba. Punktem wyjścia dla jego kariery literackiej stała się przyjaźń z młodym, zdolnym Szwedem, Adolfem z Leuven, który rzucił propozycję napisania do spółki kilku sztuk teatralnych. Dumas się zgodził: rzecz jasna, że pierwsze twory jego młodzieńczej muzy nie znalazły uznania w oczach paryskich dyrektorów.

Tymczasem położenie majątkowe rodziny pogorszyło się znacznie. W r. 1822 Aleksander zbiera dokumenty, pozostawione w spuściźnie przez ojca, zaopatruje się w polecające listy i wyjeżdża do Paryża, tam też znajduje posadę w kancelarii księcia Orleanu. Zarabia 1.500 franków rocznie, zdobywa mocną pozycję materialną, sprowadza do siebie matkę. Równocześnie zdaje sobie sprawę ze swego niedostatecznego wykształcenia, bierze się energicznie do pracy, czyta, studjuje, robi plany, chodzi do teatru – obserwuje efekty sceniczne, poczyną się orjentować w budowie sztuki teatralnej. Ogromne wrażenie wywierają na nim Szekspir i Schiller, ulega wpływom niemieckich romantyków. Wreszcie sam wstępuje w krąg działalności dramatycznej. Sztuką *Henryk IV i jego dwór* zdobywa sobie publiczność, usuwając czasowo w cień młodego Wiktora Hugo. Od tej chwili z pod pióra Dumasa wychodzi jeden dramat za drugim. Najpopularniejsze są: *Christine*, *Antony*, *Napoleon Bonaparte*, *Richard Darlington* i t.

d. Jako powieściopisarz wystąpi dopiero później.

W międzyczasie wydaje szereg szkiców podróżniczych, olśniewających grotesek, wypełnionych po brzegi najefektowniejszymi nieprawdopodobieństwami: z podziwu godną beczelnością zdaje szczegółowe relacje o krajach, w których nigdy nie był. Następnie rzuca na rynek księgarski kilka tomów nowel, za którymi idą powieści. *Rycerz z Hermentalu*, romans wydany w roku 1843, pasuje go na mistrza powieści historycznej. *Hrabia de Monte Christo* i *Trzej Muszkieterowie* zdobywają mu wielką sławę.

Nieprawdopodobne rozmiary jego dzieła (napisał 1200 tomów), dają pole dla sporów o autentyczność wielu spośród najlepszych jego powieści. Są podstawy, aby sądzić, że miał szereg współpracowników, którym powierzał opracowywanie swych potężnych pomysłów, podobnie jak wielki malarz powierza wykonanie draperyj lub mało znaczących grup uczniom. Umysł Dumasa był nazbyt rozległy, aby gubić się w drobiazgowej pracy, temperament nazbyt żywy, aby jednemu zagadnieniu poświęcić więcej niż jedną chwilę.

Rzecz jasna, że tak olbrzymi dorobek literacki dawał wielkie dochody, ale te były niczem wobec wydatków. Wydatki były niczem wobec potrzeb, a potrzeby przewyższały wytrzymałość tego herkulesowego organizmu. W roku 1870 autor *Trzech Muszkieterów*, zniszczony życiem, wyczerpany pracą, umiera w Puys, w posiadłości ziemskiej swego syna, przeżywszy lat 68.

Obok dramatów, komedyj, podróży i powieści, obejmuje

spuścizna literacka Dumasa także: kilka pamiętników, w których z dochodzącą nieraz do cynizmu szczerością opowiedziane są karkołomne przygody autora. Jakim był w życiu, takim pozostał w dziełach: człowiekiem bujnym, beztroskim, zaczepnym, pełnym fantazji i humoru, siły i przedsiębiorczości, człowiekiem żywym. Jego postacie są pełnokrwiste, takim też jest jego język. Konstrukcja powieści Dumasa wyrosła z jego dramatu, jak kwiat wyrasta z łodygi, nic więc dziwnego, że dramat ten swoją wartością nieskończenie przewyższa. W perspektywie historycznej Dumas jest pierwszym romantykiem francuskim, jakkolwiek romantyzm ten ogranicza się tylko do zewnętrznego ujęcia wydarzeń. Jądro jego dzieła, to ani romantyzm, ani klasycyzm, tylko życie.

Rozdział I. Czem stary D'Artagnan wyposaża syna na drogę?

Pewnego poniedziałku kwietniowego roku 1625 w miasteczku Meung panował ruch tak niezwykły, jak gdyby na przykład wtargnęli doń hugonoci i zamierzali powtórzyć tego rodzaju krwawe sceny, jak w Roszelli.

Wielu mieszczan, widząc, jak kobiety uciekają w stronę ulicy Wielkiej, słysząc, jak dzieci wrzeszczą we drzwiach domów, co prędzej przywdziało pancerze i, wątpliwą odwagę swoją pokrzepiwszy muszkietem lub halabardą, podążyło w kierunku oberży pod *Wolnym młynarzem*, dokąd zbiegały się z głośnym zgiełkiem coraz większe, przejęte ciekawością tłumy.

W owych czasach popłoch tego rodzaju był chlebem powszednim. Żaden dzień nie mijał bez wypadku. To panowie darli się między sobą, to król z kardynałem wojował, to Hiszpan wojował z królem. Wreszcie poza temi wojnami, głuchemi lub głośnemi, jawnemi lub tajnemi, byli jeszcze rokoszanie, złodzieje, żebracy, hugonoci i wilki, rzucające się na wszystkich. Mieszczanie uzbrajać się musieli ciągle przeciw złodziejom i wilkom, często przeciw panom i hugonotom, a czasami nawet przeciwko królowi; ale przeciw kardynałowi i Hiszpanowi nie chwyтали za broń nigdy. Dlatego też, w ów pierwszy poniedziałek kwietniowy 1625 roku, mieszczanie, usłyszawszy krzyki, a nie widząc ani czerwonożółtych żandarmów, ani barw księcia de

Richelieu, które by ich przestraszały, rzucili się spieszenie ku oberży pod *Wolnym młynarzem*. Dopiero na miejscu każdy mógł zobaczyć i zrozumieć przyczynę zamieszania.

Był to młodzieniec... nakreślmy wizerunek jego jednym pociągnięciem pióra. Wyobraźcie sobie Don Kiszota w osiemnastym roku życia, Don Kiszota bez pancerza i nagolenników, Don Kiszota w kaftanie wełnianym, którego kolor niebieski przeszedł w odcienie to brudno-zielonkawe, to brudno-błękitne. Twarz pociągła i śniada, kości na policzkach wystające, wymowny znak przebiegłości, szczęki nadmiernie rozwinięte, nieomylna wskazówka pochodzenia gaskońskiego, oko rozwarte i rozumne, wreszcie nos zagięty, lecz o linjach wykwintnych, za duży na młokosa, na człowieka zaś dojrzałego za mały. Mniej wprawnemu oku wydałby się on może podróżującym synem zagrodnika, gdyby nie długa szpada, która, zwieszona na skórzanym pasie, biła go po nogach, i gdyby nie wierzchowiec z najeżoną szerścią, którego dosiadał.

Bo młodzieniec nasz miał wierzchowca, i to tak niezwykłego, że zwracał powszechną uwagę: był to podjezdek bearnieński, mający już dwanaście do czternastu lat, maści żółtej, z ogonem pozbawionym włosa, którego brak nagradzały suto zarośnięte pęciny. Rumak ten wspaniały, choć głowę nosił niżej kolan, mógł jednak przebyć z osiem mil francuskich dziennie. Nieszczęściem, zalety wszelkie tej szkapy tak były ukryte pod szerścią niezwykłej barwy, tak były zamaskowane dziwaczną jego postawą, ani trochę nie czyniącą zadość wymaganiom

regularności kształtów, iż w czasach owych, kiedy wszyscy znali się na koniach, zjawienie się takiego podjezdka w Meung, od strony Beaugency, sprawiło wrażenie źle usposabiające i względem samego jeźdźca.

A wrażenie to tem przykrzejsze było dla młodego d'Artagnana (tak się bowiem nazywał ten nowy Don Kiszot na swoim Rossynancie), iż czuł dobrze, że zabawny wierzchowiec ośmieszał nawet tak dzielnego jak on jeźdźca. Wzdychał też okrutnie w głębi ducha, przyjmując ten dar od pana d'Artagnana ojca. Wiedział, iż bydlę warte było najwyżej dwadzieścia liwrów, lecz słowa ojcowskie, towarzyszące temu darowi, nieskończenie wyższą posiadały cenę.

– Synu mój – prawił szlachcic gaskoński, tem narzeczem czysto bearneńskim, którego nawet Henryk IV-ty pozbyć się nigdy nie zdołał – synu mój, koń ten zrodzony jest w domu ojca twojego, będzie temu trzynaście lat, i dotąd w nim przebywał, więc kochać powinieneś to zwierzę. Nigdy się z nim nie rozstań, dozwól mu spokojnie i uczciwie umrzeć ze starości; a jeśli na wojnę z nim pójdiesz, oszczędzaj go, jakbyś starego sługę oszczędzał. Przy dworze – ciągnął dalej stary pan d'Artagnan – jeżeli tylko będziesz miał zaszczyt tam się dostać, do czego daje ci prawo twoje stare szlachectwo, godnie utrzymaj imię szlachcica, które przez przodków twoich zaszczytnie było noszone od pięciuset przeszło lat. Nie ustępuj nikomu, nikomu nic nie puszczaj płazem, prócz panu kardynałowi i królowi. Odwagą tylko, rozumiesz mnie, tylko odwagą szlachcic dziś

sobie toruje drogę. Kto stchórzy na jedną sekundę, na zawsze wymyka mu się los, jaki mu zsyła fortuna. Młody jesteś i winieneś być waleczny dla dwóch powodów: najpierw, że jesteś gaskończykiem, powtóre, że jesteś moim synem. Okazji nie unikaj, goń za przygodami. Kazałem cię wyćwiczyć we władaniu szpadą; żelazną masz nogę, a dłonie ze stali; bij się o byle co, bij się tembardziej, że pojedynki są zakazane, więc z tego wynika, że, aby się bić, trzeba mieć podwójną odwagę. Na drogę, mój synu, mogę ci dać tylko piętnaście talarów, mojego konia i te rady, których wysłuchałeś. Matka twoja daje ci jeszcze przepis na balsam, który od cyganki dostała, a ma on cudowną własność gojenia wszelkich ran, które nie dosięgły serca. Korzystaj z tego wszystkiego i żyj szczęśliwie przez długie lata. Już nic mi nie pozostaje ci udzielić, chyba dorzucić jeszcze ten przykład, wprowadzie nie z mego życia, bo ja nigdy na dworze nie byłem. Mówię tu o panu de Tréville, który ongiś był moim sąsiadem, a dzieckiem już miał zaszczyt dzielić zabawy z królem naszym Ludwikiem XIII, – niech go Bóg najdłużej nam zachowa! Niekiedy zabawy te w bitwę się przeistaczały, a król nie zawsze bywał silniejszy. Szturchańce, które odbierał, przejmowały go wielkim szacunkiem i przyjaźnią dla pana de Tréville. Później, w podróży swej do Paryża, pan de Tréville pojedynkował się aż pięć razy; od czasu śmierci starego króla, aż do pełnoletniości młodego, nie licząc wojen i oblężeń, w których brał udział, bił się jeszcze siedem razy; no! a od czasu pełnoletniości swej, aż do dziś, bił

się razy ze sto! Dlatego, widzisz, dzisiaj, pomimo wszelkich zakazów królewskich, pomimo rozporządzeń i wyroków na pojedynkujących się, jest on kapitanem muszkieterów, co tyle znaczy, jak gdyby był wodzem legjonu Cezarów, i król go wielce ceni, a strachem przejmuje on nawet kardynała, który, jak wszystkim wiadomo, niełatwo czego się złąknie. Co więcej, pan de Tréville doszedł do dziesięciu tysięcy talarów rocznego dochodu, zatem jest panem nielada. A zaczynał tak, jak ty dzisiaj. Otóż przedstaw mu się z tym listem, i wzoruj się na panu de Tréville, abyś, jak on, pokierował się w życiu.

To rzekłszy pan d'Artagnan ojciec własną ręką przypasał mu szpadę, ucałował czule w oba policzki, dodając błogosławieństwo ojcowskie.

Młodzieniec, wychodząc z pokoju, zastał matkę, czekającą nań z ową słynną receptą zbawienego balsamu.

Tutaj pożegnania były czulsze i przeciągnęły się, nie dlatego, aby pan d'Artagnan nie kochał syna, który był jego jedynym potomkiem, ale że, jako mąż stateczny, uważałby za niegodne siebie dać się opanować wzruszeniu. Pani d'Artagnan zaś była tylko kobietą, a nadto była matką. Wylewała więc łzy obfite i, przyznać musimy na pochwałę pana d'Artagnan syna, że chociaż silił się być niewzruszonym, jak na przyszłego muszkietera przystało, wzięło w nim górę uczucie wrodzone, i łzy rześiste puściły się z jego oczu, a ledwie połowę ich ukryć mu się udało.

Tego jeszcze dnia młodzieniec wyruszył w drogę, zaopatrzony w trzy ojcowskie dary, składające się, jak powiedzieliśmy,

z piętnastu talarów, konia i listu do pana de Tréville; rady zaś uważamy za dodatek do nich.

Z podobnem *vade mecum* d'Artagnan stał się dokładną kopją bohatera Cervantesa, z którym przy naszkicowaniu portretu porównaliśmy go, jak nakazywał nam obowiązek historyka. Don Kiszot brał wiatraki za olbrzymów, a za armję stado owiec, d'Artagnan postanowił poczytywać każdy uśmiech za zniewagę, a każde spojrzenie za wyzwanie. Z tego wynikło, że przez całą drogę od Tarbes aż do Meung trzymał zaciśnięte pięści i bez ustanku sięgał do rękojeści swej szpady, wszelako pięścią nie natrafił na żadną szczękę, a szpada ani razu nie była z pochwy dobyta. Nie znaczy to, aby na widok niefortunnego żółtego podjezdka, nie wykwitał uśmiech na obliczach przechodniów; ponieważ jednak ponad tą szkapą pobrzękiwała szabla poważnego wyglądu, a ponad nią świeciły oczy bardziej dzikie, niż dumne, powściągano uśmiechy, a gdy wesołość brała górę nad przezornością, usiłowano przynajmniej śmiać się półgębkiem tylko, na podobieństwo masek starożytnych. Tak d'Artagnan, pomimo drażliwości, w nienaruszonym majestacie swoim dobił do nieszczęsnego miasta Meung.

Gdy zsiadał z konia przed bramą *Wolnego młynarza*, a nie było tam nikogo, ani stajennego, ani gospodarza, by strzeżenie mu przytrzymał, d'Artagnan spostrzegł przy otwartym oknie na dole szlachcica postawy pięknej i wyniosłej, z twarzą nieco pomarszczoną, który rozmawiał z dwiema osobami,

słuchającymi go z widocznym szacunkiem. Rzecz prosta, iż według przyjętego zwyczaju, d'Artagnan zaraz pomyślał, że on jest przedmiotem tej rozmowy. Słuchał więc. Tym razem do połowy się tylko pomylił, albowiem nie o niego, lecz o jego konia tam chodziło. Szlachcic słuchaczom swoim wyliczał wszystkie jego przymioty, a jak już mówiliśmy, słuchacze wyglądali na przejętych szacunkiem niemałym dla opowiadającego i co chwila wybuchali śmiechem. Jeden półuśmiech, jak wiemy, wystarczał do rozbudzenia zapalczywości młodego d'Artagnana, łatwo pojmujemy więc, jakie sprawiła na nim wrażenie ta hałaśliwa wesołość.

Najpierw jednak d'Artagnan zapragnął zobaczyć, jak wygląda impertynent, który pozwala sobie żarty z niego stroić. Utkwił w nieznajomym dumne spojrzenie i zauważył, iż był to mężczyzna od czterdziestu do czterdziestu pięciu lat, o oczach czarnych i przenikliwych, cerze bladej, z nosem mocno wydatnym i czarnymi, pięknie ułożonymi wąsami; miał on na sobie kaftan i spodnie fijołkowe z plecionkami tegoż koloru, bez żadnej ozdoby, prócz zwykłych nacięć na rękawach, przez które przeglądała koszula. Ubranie to, jakkolwiek nowe, zmięte było tak, jak gdyby długo spoczywało w walizie podróźnej. D'Artagnan uczynił to spostrzeżenie szybko, ale drobiazgowo, jak gdyby przeczuwając, że osobistość owa ma w przyszłości wielki wpływ wyrzucić na jego życie.

Gdy wpatrywał się tedy w szlachcica w ubraniu fijołkowym, ten był zajęty najuczciwszym i najbieglejszym wskazywaniem

przymiotów bearneńskiego podjezdka, dwaj zaś słuchacze śmieli się hałaśliwie, a dokoła ust opowiadającego, wbrew zwyczajowi, zarysował się widoczny, acz blady jeszcze uśmiech. Tym razem żadna już nie zachodziła wątpliwość, d'Artagnan był istotnie znieważany. Przeświadczony o tem najzupełniej, берет na oczy nacisnął i, usiłując naśladować ruchy wielkopańskie, podpatrzone w Gaskoñji u przejeżdżających dostojników, zbliżył się z ręką na rękojeści szpady, a drugą wspartą na biodrze. Na nieszczęście, w miarę jak podchodził bliżej, gniew go zaślepiął coraz gwałtowniej, i zamiast pełnej godności przemowy, którą przygotował sobie dla rzucenia wyzwania, nie znalazł na końcu języka nic, prócz obelgi grubjańskiej, z towarzyszeniem gestu wściekłości.

– Hej! panie – zawołał – panie, co się tam za okiennicą chowasz! Powiedz mi, jeśli łaska, co cię tak bardzo śmieszy, a pośmiejemy się razem!

Zagadnięty przeniósł spokojnie wzrok z wierzchowca na jeźdźca, jak gdyby potrzebował pewnego czasu dla zrozumienia, że dzika ta przymówka jest skierowana do niego, następnie, gdy znikła wszelka wątpliwość, brwi jego naciągnęły się lekko, i po dość długim milczeniu, tonem ironji i nieopisanego zuchwalstwa, odpowiedział:

– Nie do ciebie mówię, mój panie.

– Ale ja mówię do ciebie, ja! – krzyknął chłopak, zrozpaczony tem połączeniem czelności i pięknych manier, konwenansu i pogardy.

Nieznajomy chwilę jeszcze popatrzył na niego i, oddalając się od okna, powoli wyszedł z zajazdu i stanął przed koniem o parę kroków od d'Artagnana. Spokój i drwiący wyraz jego twarzy, podwoiły wesołość towarzyszy, pozostałych przy oknie.

D'Artagnan, widząc, że się zbliża, chwycił szpadę i do połowy ją z pochwy obnażył.

– Koń ten stanowczo jest, a raczej był barwy jaskra polnego – ciągnął nieznajomy, zwróciwszy się do słuchaczy swoich z okna i jakby nie widząc d'Artagnana, albo wcale nie zważając na niego. – Kolor ten znany jest bardzo w botanice, lecz u koni, przynajmniej jak dotąd, był nader rzadki.

– Łatwo to z konia się śmiać, na to nie trzeba takiej odwagi, jak śmiać się z jego pana! – wykrzyknął z wściekłością współzawodnik Trévilla.

– Ja nie często się śmieję, mój panie – odrzekł nieznajomy – możesz to odgadnąć z mej twarzy; ale śmieję się wtedy, kiedy mi się podoba.

– A ja – krzyknął d'Artagnan – nie pozwałam, aby się śmiano wtedy, gdy ja nie chcę i gdy mi się nie podoba.

– Doprawdy? – ciągnął nieznajomy z większym, niż dotąd spokojem – A, to najzupełniej słuszne.

I, wykręciwszy się na pięcie, zmierzał z powrotem ku bramie zajazdu, gdzie stał jego osiodłany koń.

Lecz czyż d'Artagnan mógł puścić płazem takie drwiny? Porwał za szpadę i popędził za nieznajomym, krzycząc:

– Obróć no się, obróć, panie wesoły, bo mogę cię wypadkiem

uderzyć z tyłu.

– Ty chcesz mnie uderzyć! – odparł ten, naraz zwracając się do młodzieńca szybko z miną zdziwioną a zarazem wzgardliwą. – Zwarjowałeś widocznie, mój kochanku! – Potem dodał do siebie półgłosem: – Szkoda wielka! Pyszny byłby nabytek dla Jego Królewskiej Mości, który ze wszystkich stron szuka takich śmiałków do swoich muszkieterów.

Zaledwie domawiał tych słów, kiedy d'Artagnan tak gwałtownie na niego natarł, że, gdyby nagle w tył nie uskoczył, byłby prawdopodobnie żartował po raz ostatni w swem życiu. Wtedy nieznamy zrozumiał, że przechodzi to już granicę żartów, dobył więc szpady i, przesadnie kłaniając się przeciwnikowi, stanął w pogotowiu. Lecz w tejże chwili owi dwaj słuchacze, wspomagani przez gospodarza, wpadli na d'Artagnana, z całych sił łomocąc go kijami, pogrzebaczami i szczypcami kuchennymi. Napad ten tak dalece postać rzeczy zmienił, że kiedy d'Artagnan odwrócił się, aby stawić czoło temu gradowi pocisków, przeciwnik jego z tą samą przesadą schował szpadę do pochwy, i z aktora walki, którym o mało co nie został, stał się tylko widzem, i z roli tej wywiązując się ze zwykłą sobie obojętnością, mruczał tylko przez zęby:

– Niech ich powietrze ogarnie, tych gaskończyków! Wpakujcie go na tego pomarańczowego konia i niechaj jedzie z Bogiem.

– Nie pędzej aż cię zatłukę, nikczemniku! – wrzeszczał d'Artagnan, nie ustępując ani kroku napastnikom, nacierającym

na niego ze wszystkich stron.

– Zawsze ta gaskonada! – mruknął szlachcic. O! na honor, gaskończycy zawsze są niepoprawni. Kończcie już ten taniec, kiedy chce koniecznie. On wam sam powie, jak będzie miał dosyć.

Ale nie wiedział, z jakim ma do czynienia zapaleńcem; d'Artagnan był z tych, co nie ustępują nikomu ani na krok. Walka trwała jeszcze kilka chwil; na koniec, wyczerpany, upuścił szablę, którą uderzenia kijów przełamało na dwoje. Od innego znów uderzenia jednocześnie zraniony w czoło, padł na wznak skrwawiony i prawie zemdłony.

Wtedy to właśnie nadbiegano ze wszystkich stron na miejsce, gdzie się ta scena rozgrywała. Oberżysta, lękając się głośniejszej awantury, przeniósł przy pomocy stajennych rannego do kuchni, gdzie go zaraz opatrzone.

Szlachcic zaś wrócił na dawne miejsce u okna i z pewnem rozdrażnieniem przypatrywał się tej tłuszczy, która jakby go gniewała niepomierne.

– I cóż! jak się miewa szalenciec? – zapytał, zwracając się do oberżysty, który przyszedł go o zdrowie zapytać.

– Czy nic się waszej ekscelencji nie stało? – odezwał się oberżysta.

– Ja się zupełnie dobrze czuję, gospodarzu kochany, ale pytam właśnie, co się dzieje z naszym młokosem.

– Lepiej mu już – odrzekł gospodarz – ale wprzód zupełnie omdlał.

– Doprawdy? – pochwycił szlachcic.

– Lecz przed zemdleniem, zebrawszy wszystkie siły, wymyślał i odgrażał się panu.

– Toż to widocznie djabeł wcielony ten śmiałek – zawołał nieznajomy.

– O! nie, ekscelencjo, on djabeł wcale nie jest – odparł oberżysta ze skrzywieniem pogardliwym – bo, kiedy zrewidowaliśmy go, zanim odzyskał przytomność, w zawiniątku jego znaleźli tylko jedną koszulę, a w torbie marne dwanaście talarów; nie przeszkodziło mu to jednak przed zemdleniem powiedzieć, że gdyby to było w Paryżu, pożałowałbyś pan tego zaraz, lecz co się odwlecze, to nie uciecze.

– Więc to musi być jakiś przebrany ksiączę – odrzekł nieznajomy chłodno.

– I ja tak myślę dostojny panie – odrzekł oberżysta – i powinieneś się mieć na baczności.

– A czy w gniewie jakiego nazwiska nie wymienił?

– I owszem, uderzał się po kieszeni i mówił: Zobaczymy, co powie pan de Tréville, na zniewagę, jaką wyrządzono jego protegowanemu.

– Pan de Tréville? – podchwycił nieznajomy z zajęciem – uderzał się po kieszeni, wymawiając nazwisko pana de Tréville? ... Słuchaj, gospodarzu, pewny jestem, że nie omieszkałeś przetrząsnąć tej kieszeni, kiedy był zemdlony. Co tam w niej było?

– List do pana de Tréville, kapitana muszkieterów.

– Doprawdy?

– Tak, jak to powiedziałem waszej ekscelencji.

Oberżysta, zbytnią bystrością nieobdarzony, nie zauważył wyrazu, jaki słowa jego wywołały na obliczu nieznanego. Ten zaś, opuszczając okno, o którego framugę był oparty, zmarszczył brwi z wyrazem niepokoju.

– Co u diabła? – syknął przez zęby – czyżby Tréville nastął mi tego gaskończyka? Młokos to co prawda! Pchnięcie szpady jednak nie przestaje być pchnięciem, bez względu na wiek tego, który je zadaje, a na dzieciaka, mniej się zwykle uważa, niż na kogo innego!... Czyż nieraz drobna na pozór przeszkoda nie pokrzyżowała wielkich zamiarów?

I nieznanomy pogrążył się w zamyśleniu.

– Słuchaj, gospodarzu – rzekł – czy nie mógłbyś uwolnić mnie od tego zapaleńca? Co prawda, zabić go nie mogę, a jednak – dodał z groźnym spokojem – a jednak zawadza mi. Gdzież on jest?

– W pokoju mojej żony, na pierwszym piętrze, opatrują go tam.

– Czy są przy nim łachmany jego i zawiniątko? Czy nie zdjął kaftana?

– Przeciwnie, w kuchni na dole wszystko to się znajduje. Lecz skoro panu ten szaleniec zawadza...

– Bez wątpienia. Jest on w twoim zajeździe przyczyną awantury z ludźmi przyzwoitymi. Wracaj do siebie, przygotuj rachunek i uprzedź mojego służącego.

– Jakto! Pan już nas opuszcza?

– Widzisz to przecie, skoro dałem ci rozkaz osiodłać mego konia. Czy nie zrobiono tego jeszcze?

– I owszem, i, jak to wasza ekscelencja mogła zauważyć, koń jego stoi w bramie, gotowy do podróży.

– Zrób zatem, co ci mówiłem.

– U! – rzekł w duchu oberżysta – miałżeby on istotnie bać się tego chłopaka?

Lecz groźne spojrzenie nieznajomego zbiło go z tropu. Skłonił się nisko i wyszedł.

– Nie trzeba, ażeby milady była przez tego dudka widziana – rzekł do siebie nieznajomy – powinnaby tu już niedługo nadjechać; spóźnia się nawet trochę. Najlepiej będzie, gdy wsiądę na konia i pojedę na jej spotkanie... Gdybym tylko mógł wiedzieć, co zawiera ten list do Trévilla!

I mrużąc tak, skierował się do kuchni.

Oberżysta tymczasem, nie przypuszczając, by obecność młodego chłopca wypędzała nieznajomego z zajazdu, zaszedł do swojej żony, gdzie zastał d'Artagnana, już najzupełniej przytomnego. Dał mu tedy do zrozumienia, iż mógłby mieć jaką nieprzyjemność z policją za szukanie przezeń zaczepki z wielkim panem, gdyż, podług oberżysty, nieznajomy był niezawodnie magnatem. Przekładając to wszystko, gospodarz oberży wreszcie namówił go tak, że młodzieniec, pomimo osłabienia, powstał, by w dalszą puścić się drogę. D'Artagnan, na pół ogłuszony, z owiązaną głową i bez kaftana, ruszył się z miejsca i, naglony

przez gospodarza, zwłókł się powoli ze schodów; lecz pierwszą osobą, którą spostrzegł, wszedłszy do kuchni, był wróg jego, rozmawiający najspokojniej w świecie przy drzwiczkach karety podróżnej, zaprzężonej w dwa wielkie konie normandzkie.

Kobieta, z którą rozmawiał, a której główka wyglądała z okna pojazdu, jak w ramki oprawna, mogła mieć dwadzieścia do dwudziestu dwóch lat najwyżej.

Mówiliśmy już o tem, z jaką szybkością baczne oko d'Artagnana zdawało sobie sprawę z każdego oblicza: więc odrazu spostrzegł on też, że kobieta jest młoda i piękna. Piękność ta tem więcej go uderzyła, iż nic nie miała wspólnego z południową prowincją, gdzie dotąd zamieszkiwał.

Była to blondynka, blada, z długimi włosami w lokach, spadającymi na cudne jej ramiona, o dużych a smętnych niebieskich oczach; ręce miała śnieżnej białości, a usta jak świeżo rozkwitłą różę. Rozmawiała z nieznanym, wielce ożywiona.

– Jego eminencja zatem rozkazuje mi... – mówiła.

– Niezwłocznie powrócić do Anglii i donieść mi bezpośrednio, czy książę wyjeżdżał z Londynu.

– A co do innych zleceń? – zapytała piękna podróżna.

– Są one zawarte w tem oto pudełku, które pani otworzy, ale dopiero po tamtej stronie kanału.

– Dobrze... a co pan ze sobą zrobi?

– Ja powracam do Paryża.

– Nie ukarawszy tego zuchwałego chłopaka? – zapytała dama.

Nieznajomy zabierał się do odpowiedzi, lecz, zanim usta otworzył, d'Artagnan, który słyszał to wszystko, skoczył i stanął na progu.

– Oto jest właśnie ten zuchwały chłopak, który sam innych karze – zawołał – a jak na teraz mam nadzieję, że ten, którego ukarać powinien, nie wymknie mu się, jak za pierwszym razem.

– Czy tak? – odparł nieznajomy, marszcząc brwi.

– Nie, nie śmiałybyś wobec kobiety uciekać, tak przypuszczam przynajmniej.

– Zastanów się – krzyknęła milady, widząc, że szlachcic już chwyta za szpadę – pomyśl, że najmniejsza zwłoka wszystko może zgubić.

– Masz słuszość – zawołał – jedźmy więc, każde w swoją stronę.

I skinąwszy jej głową na pożegnanie, skoczył na konia, a jednocześnie woźnica karety śmignął potężnie batem nad swoim zaprzęgiem. Ruszyli galopem, każde z nich pędząc w przeciwnym kierunku.

– Hej! hej! A rachunek niezapłacony – wrzeszczał gospodarz, którego względy dla podróżnego, we wzgardę się zamieniły, na widok, że odjeżdża, nie zapłaciwszy należności.

– Zapłać, gamajdo! – krzyknął w pełnym galopie podróżny na swego pacholka, który, rzuciwszy parę sztuk srebra pod nogi oberżysty, podążył za swoim panem.

– A! łotr. A! łajdak, szlachcicem podszyty! – krzyczał d'Artagnan, goniąc za obydwoma.

Lecz ranny nie odzyskał jeszcze o tyle sił, ażeby wytrzymać podobne wstrząśnienia. Za ledwie ubiegł kilka kroków, poczuł szum w uszach, świat zawirował mu przed oczami, nareszcie krwawa chmura zasłoniła mu oczy, i padł na środku drogi, wołając jeszcze:

– Podły! podły! podły!...

– To prawda, że podły – mamrotał oberżysta, podszedłszy do d'Artagnana i próbując jemu się teraz przypodobać i pogodzić się z biedakiem, jak owa czapla w bajce ze ślimakiem.

– Podły! podły!... – powtarzał d'Artagnan – ale ona bardzo piękna!

– Co za ona? – zapytał oberżysta.

– Milady – wybełkotał d'Artagnan i zemdłał po raz drugi.

– A! i tej milady nie mam – rzekł do siebie gospodarz – ha! chociaż ten mi pozostaje z pewnością, na kilka dni conajmniej. W każdym razie jedenaście talarów w zysku.

Wiadomo, że suma taka znajdowała się w sakiewce d'Artagnana.

Oberżysta liczył na jedenaście dni choroby, czyli po talarze na dobę.

Ale osoby chorego nie wziął wcale w rachubę.

Nazajutrz o piątej z rana d'Artagnan podniósł się, zeszedł sam do kuchni, zażądał, prócz innych rzeczy, których spis nie doszedł do nas, wina, oliwy, rozmarynu, i, z receptą macierzyńską w ręce, sporządził sobie balsam, którym liczne rany swoje namaściwszy, sam je opatrywał, nie chcąc dopuścić żadnego

lekarza. Dzięki zbawiennym skutkom balsamu cygańskiego, a być może i nieobecności lekarzy, stanął na nogi jeszcze tego wieczora, a nazajutrz był już prawie wyleczony.

Kiedy przyszło płacić za rozmaryn, wino i oliwę, jedyny wydatek jego, sam bowiem djete najściślejszą zachował, gdy przeciwnie żółty konik, jak dowodził oberżysta, zjadł trzy razy więcej, niż przypuścić było można, d'Artagnan znalazł wprawdzie w kieszeni swój podarty woreczek aksamitny z jedenastoma talarami, lecz list, adresowany do pana de Tréville, zniknął bez śladu. Począł więc z największą cierpliwością poszukiwać listu, po dwadzieścia razy wywracał kieszenie, szperał po mniejszych kieszonkach, grzebał w zawiniątku, otwierał i zamykał woreczek; ale, skoro nabrał przekonania, że trzeba list uważać za stracony, wpadł w trzeci paroksyzm gniewu, co omal znów nie spowodowało powtórnego użycia wina i oliwy rozmarynowej; bo na widok tego zapaleńca, grożącego, że wszystko, co w domu napotka, w drobne kawałki potłucze, jeżeli listu nie znajdzie, gospodarz znowu pochwycił za oszczep, połowica jego za miotłę, a parobcy za kije, te same, które poprzedniego dnia były w robocie.

– List! mój list polecający! – krzyczał d'Artagnan – albo klnę się, że wszystkich nadzieję na szpadę, jak jarzabki na rożen.

Nieszczęściem jednak, okoliczność pewna sprzeciwiała się spełnieniu tej groźby, bo w pierwszej walce szpada jego, jak mówiliśmy, została złamana na dwoje, o czym najzupełniej zapomniał. Z tego wynikło, że gdy d'Artagnan chciał ją z pochwy

wydobyć, znalazł się uzbrojony, lecz tylko w odłamek na sześć czy osiem cali długi, który, gospodarz najstaranniej wsunął mu do pochwy, resztę klingi obciętej dla siebie sprzątnął i potem na szpikulec obrócił.

Prawdopodobnie jednak rozczarowanie to nie byłoby powstrzymało młodego zapaleńca, gdyby nie uwaga, uczyniona przez oberżystę, że gość jego słusznie tak ubolewa nad utratą listu:

– Ale, to prawda – odezwał się, opuszczając oszczep – gdzie może być ten list?

– Tak, gdzie ten list? – krzyczał d’Artagnan. – Powiadam wam, że to list do pana de Tréville i musi się znaleźć, już on na to poradzi! no! on na to poradzi!...

Groźba ta ostatecznie upamiętała oberżystę. Bo po królu i kardynale, pan de Tréville był człowiekiem, którego imię najczęściej powtarzali zarówno wojskowi jak i mieszcianie. Wprawdzie ojciec Józef żył jeszcze, lecz imię jego po cichu tylko wymawiano, taką grozą przejmowała Szara eminencja, jak nazywano samego kardynała. Odrzuciwszy więc oszczep na stronę i zalecając żonie, aby to samo uczyniła z miotłą, a parobkom z kijami, oberżysta pierwszy dał przykład szukania zatraconego listu.

– Czy ten list zawiera coś ważnego? – spytał po chwili nadaremnych szperań.

– Spodziewam się! – krzyknął gaskończyk, który miał nadzieję utorować nim sobie drogę do dworu – list ten stanowi

o moim losie.

– Może w nim były obligi hiszpańskie? – pytał zaniepokojony oberżysta.

– Obligi na osobisty skarbiec królewski – odparł d’Artagnan, który, obiecując sobie przy pomocy listu wejść do służby Jego Królewskiej Mości, sądził, iż śmiało mógł tak odpowiedzieć.

– Tam do djabła! – jęknął zrozpaczony oberżysta.

– Mniejsza o to – kończył d’Artagnan z zacięciem, cechującym jego pochodzenie – pieniądze to jeszcze nic! Wolałbym tysiąc pistolew stracić, aniżeli to pismo.

Tak samo mógł powiedzieć o dwudziestu tysiącach, lecz wstrzymała go nieśmiałość młodzieńcza.

Zmożonemu poszukiwaniami oberżysty nagle myśl strzeliła do głowy.

– Ten list wcale nie zginął – zawołał.

– A! – odezwał się d’Artagnan.

– Nie, on tylko został zabrany.

– Zabranym! a to przez kogo?

– A przez tego wczorajszego szlachcica. On był w kuchni i to sam jeden, a kaftan pański tam leżał. Założyłbym się, że to on ukradł.

– Tak myślisz? – odparł d’Artagnan, słabo jednak przekonany, bo lepiej, niż kto inny znał rzeczywistą doniosłość listu i nie widział w nim nic takiego, coby mogło obudzić cudzą pożądlivość. Bo cóżby kto, czy to z pacholków, czy z podróżnych, zyskać mógł na posiadaniu tego świstka.

– Mówisz zatem – ciągnął d’Artagnan – iż tego grubijańskiego szlachcica posądzasz...

– Mówię panu, bo pewny tego jestem – kończył oberżysta. – Kiedy mu oznajmiłem, że wasza dostojność jest protegowanym pana de Tréville i że nawet posiadasz list do tego znakomitego męża, wielce się zaniepokoił, pytając, gdzie może list ten się znajdować, poczem niezwłocznie udał się do kuchni, gdzie leżał pański kaftan.

– Więc to on jest tym złodziejem, który mnie okradł odparł d’Artagnan – poskarżę ja się panu de Tréville, a ten królowi się poskarży. – Potem, z miną majestatyczną, wydobył z kieszeni dwa talary i dał je oberżyście, który z kapeluszem w ręce do drzwi go odprowadził. Tam d’Artagnan dosiadł żółtego rumaka, który bez żadnego już wypadku doniósł go do bramy Ś-go Antoniego w Paryżu, gdzie został sprzedany przez swego właściciela za trzy talary, co znaczyło, że zapłacony był dobrze, bo d’Artagnan pędził go niemiłosiernie, od ostatniego popasu. Nie ukrywał też handlarz koni, który go nabył, że sumę taką daje tylko dla niezwyklej jego maści.

Teraz bez konia wszedł d’Artagnan do Paryża piechotą, z węzełkiem pod pachą, i poty chodził, aż znalazł pokój do wynajęcia, odpowiedni do szczupłych jego funduszków. Siedziba ta była rodzajem poddasza, przy ulicy Grabarzy, w pobliżu Luksemburga. Skoro tylko dał zadatek, zajął swoje mieszkanie i resztę dnia przepędził na zaszywaniu kaftana i naszywaniu spodni galonami, które matka odpruła od kaftana starego pana

d'Artagnana, i dała mu po kryjomu. Następnie udał się na bulwar de la Ferraille po nową klingę do szpady; zawrócił potem do Luwru, aby się wywiedzieć od pierwszego lepszego muszkietera, gdzie się znajduje dom pana de Tréville, a dom ten, jak usłyszał, stał przy ulicy Gołębiej, to jest w bliskim sąsiedztwie siedziby d'Artagnana, co poczytał tenże za dobrą wróżbę dla przyszłych swych losów.

I, zadowolony z zachowania swego w Meung, bez wyrzutów sumienia z przeszłości, ufny w teraźniejszość i pełen nadziei na przyszłość, legł na pościeli i zasnął snem sprawiedliwego. Czysto parafiański jeszcze sen ów wytrzymał go do godziny dziewiątej z rana, zerwał się więc szybko d'Artagnan, by podążyć do sławnego pana de Tréville, trzeciej osoby w królestwie, według klasyfikacji pana d'Artagnana ojca.

Rozdział II. Przedpokój pana de Tréville

Pan de Troisville, jak mieniła się rodzina jego w Gaskońji, albo de Tréville, jak wreszcie sam się przezwał w Paryżu, zaczynał tak samo, jak d'Artagnan, czyli bez grosza przy duszy, ale z zapasem śmiałości, dowcipu i sprytu, które sprawiają, iż najuboższy szlachetka gaskoński, otrzymując je w spuściźnie po przodkach, bogatszym się staje, niż najzamożniejszy perigordzki szlachcic, dziedziczący dostatki po swoim rodzicu. Zuchwały, nieustraszony, szczęśliwy dzięki wypadkom, które jak grad padały w owych czasach, wyniesiony na szczyt stromej drabiny, jaka się zwie łaską u dworu, z pomocą również wypadków, po cztery szczeble przeskakiwał na niej od razu.

Był przyjacielem króla, który, jak wiadomo, czcił niezmiernie pamięć ojca swego Henryka IV. Ojciec pana de Tréville służył mu wiernie w wojnach przeciwko Lidze, tak, że przy braku gotówki, a brakło jej przez całe życie Henrykowi bearneńczykowi, który zwykle płacił długi jedyną monetą, jakiej pożyczać nie potrzebował nigdy, to jest własnym dowcipem, przy braku zatem gotówki dla wynagrodzenia mu zasług, król upoważnił go, po poddaniu się Paryża, do wzięcia sobie na herb lwa złotego na czerwonej tarczy, z godłem *fidelis et fortis*. Zaszczytu wiele, lecz korzyści materialnych za mało trochę. Kiedy też znakomity towarzysz wielkiego Henryka umarł, zostawił w spadku synowi tylko godło i szpadę. Dzięki

tej podwójnej spuściźnie, z dodatkiem nieskazitelnego imienia, pan de Tréville przypuszczony został do dworu młodego księcia, gdzie, wierny godłu swemu, tak dzielnie szpada mu służył, że Ludwik XIII, jeden z lepszych szermierzy swego królestwa, mawiał, iż, gdyby miał przyjaciela, któremu przyszłoby pojedynkować się, radziłby mu wziąć na świadka najpierw Ludwika, a potem pana de Tréville, a nawet może wpieryw jeszcze wybrałby tego ostatniego.

Miał też Ludwik XIII szczere przywiązanie do pana de Tréville, przywiązanie królewskie wprawdzie, samolubne, ale bądź co bądź zawsze przywiązanie. Bo w owych nieszczęsnych czasach starano się usilnie otaczać takimi ludźmi, jak pan de Tréville.

Wielu bowiem mogło szczyścić się godłem: *silny*, lecz mało szlachty mogło zasłużenie nosić dewizę: *wierny*. Do ostatnich jednak należał de Tréville. Był to człowiek rzadki, z posłuszeństwem psa, odwagą ślepą, okiem bystrem i potężną dłonią, któremu wzrok dany był jakby tylko po to, aby dojrzeć niezadowolenie królewskie z jakiej osoby, a ręka, aby winowajcę uderzyć, chociażby nim był Besme, Maurevers, Poltrot, de Mere, czy Vitry. Potrzeba mu było tylko sposobności; czyhał na nią i obiecywał sobie ją pochwycić choćby za jeden włos, skoro nawinęłaby się mu pod rękę.

Zrobił go też król wodzem muszkieterów, którzy w przywiązaniu, posuniętem do fanatyzmu, byli dla Ludwika XIII-go tem, czem przyboczna straż dla Henryka III-go, a straż

szkocka dla Ludwika XI-go.

Kardynał zaś i pod tym względem nie chciał ustępować królowi. Gdy ujrzał tych groźnych wybrańców, którymi otoczony był Ludwik XIII, zapragnął także straż swoją posiadać. Miał więc i on swoich muszkietarów, i można było widzieć, jak dwie te, współzawodniczące z sobą potęgi, w poczet swój ze wszystkich prowincyj francuskich, a nawet z pod cudzoziemskich rządów, rekrutowały ludzi, sławnych z dzielności rycerskiej. Król też i kardynał często wieczorami, przy szachach, wszczynali sprzeczki o zalety swoich obrońców.

Jak jeden, tak drugi wychwalał postawę i męstwo tych, którzy należeli do niego; i obaj, potępiając w zasadzie pojedynki i burdy, sami podzegli ich z cicha do zaczepek, odczuwając prawdziwy żal lub radość niepomiarłą z porażki lub zwycięstwa swoich ludzi. Tak przynajmniej głoszą pamiętniki człowieka, który w zapasach tych pokonany bywał czasami, lecz najczęściej stawał się zwycięzcą.

Tréville, poznawszy słabą stronę swego pana, zawdzięczał tej przebiegłości długotrwałą i niezmierną łaskę króla, który nie pozostawił po sobie pamięci zbyt wiernego w przyjaźni. Wiedząc, czem się przypodobać Ludwikowi, popisывał się filuternie swymi muszkietarami przed kardynałem Armandem Duplessis, na co jeżyły się złością siwe wąsiki jego eminencji.

Tréville pojmował należycie ducha swojej epoki, kiedy się żyło kosztem, jeżeli nie swoim, to własnych ziomków: żołnierze jego był to legjon djabłów, jemu tylko ulegli, dla niego tylko

znający karność.

Rozczochrani, podpici, pokiereszowani, muszkietierowie króla a raczej pana de Tréville, rozpraszałi się po szynkach, spacerach, miejscach publicznych, hałasując, podkrecając wesa, brzęcząc ostrogami, z rozkoszą bezgraniczną potracając straż kardynalską, przy pierwszym spotkaniu i pośrodku ulicy dobywając szpady z żarcikami nieskończonemi, bo pewni byli, że w razie śmierci oplakiwani i pomszczeni zostaną niechybnie; często nawet zabijali przeciwników z najzupełniejszym spokojem, wiedząc dobrze, iż za to nie zgniją w więzieniu, był bowiem jeszcze pan de Tréville, który umiał się za nimi wstawić. Jakże też go na wszystkie tony wychwalali ci ludzie, jak go uwielbiali, i choć przeważnie nicponie i włóczęgi, drżeli przed nim, jak żaki przed nauczycielem, posłuszni na każde skinienie, gotowi dać się zabić, byleby oczyścić się przed nim z najmniejszego zarzutu.

Używał on też tej dźwigni potężnej, najpierw dla króla i jego stronników, potem dla siebie i swoich przyjaciół. Zresztą w żadnym z ówczesnych pamiętników, a niemało ich pozostało, niema śladu najmniejszego zarzutu przeciw temu zacnemu szlachcicowi, nawet ze strony jego nieprzyjaciół, których liczył sporo pomiędzy ludźmi zarówno pióra, jak broni. Przy genialnych zdolnościach do intryg, stawiających go na równi z najpotężniejszymi, pozostał człowiekiem uczciwym. Co więcej, pomimo cięć, które szpecą ciało, i ciężkich ćwiczeń, które je nużą, stał się jednym z najpożądańszych gości

w towarzystwach kobiecych, najwykwintniejszym zalotnikiem i najwyrafinowańszym dowcipnisiem swojego czasu; mówiono o zwycięstwach buduarowych Trévilla tak, jak przed dwudziestu laty o Bassompierre, a to znaczyło niemało. Dowódca muszkietarów był zatem podziwiany; lękano się go i kochano zarazem, co stanowi najwyższy szczyt powodzenia ludzkiego.

Ludwik XIV pochłaniał mniejsze gwiazdy dworu w promieniach swojej jasności; ojciec jego zaś, jako słońce *pluribus impar*, pozostawiał blask osobisty każdemu z ulubieńców swoich, każdemu z dworzan własną jego wartość. Oprócz przyjęć porannych u króla i kardynała, liczono owego czasu w Paryżu dwieście przeszło innych, także poszukiwanych. Pomiędzy nimi najbardziej ubiegano się o przyjęcie u Trévilla.

Dziedziniec jego pałacu przy ulicy du Vieux-Colombier podobny był do obozu, latem już od godziny szóstej z rana, zimą od ósmej. Pięćdziesięciu do sześćdziesięciu muszkietarów luzowało się tam ciągle, aby każdy widział ich w tak potężnej liczbie, a przytem zbrojnych zawsze i gotowych na wszystko. Wzdłuż wielkich schodów, w których klatce dzisiejsza cywilizacja dom całą zbudować by mogła, mijali się bezustannie ci i owi interesanci paryscy, przychodzący z przeróżnymi prośbami, szlachta z prowincji, pragnąca być przyjęta w poczet muszkietarów, i służba wszelkiej barwy, wygalowana, przynosząca panu de Tréville listy od swoich panów. W przedpokoju na ławkach pod ścianami rozsiedli się wybrańcy raczej, niż ci, co zostali wezwani. Od rana do wieczora

było tam gwarno, a tymczasem pan de Tréville przyjmował wizyty w gabinecie obok przedpokoju, słuchał zażaleń, wydawał rozkazy, i, jak królowi na balkonie w Luwrze, tak jemu dość było stanąć w oknie, ażeby odbyć przegląd ludzi swoich i broni.

W dniu, kiedy znalazł się tam d'Artagnan, zebranie było imponujące, zwłaszcza dla parafjanina, przybyłego z prowincji; co prawda, był on gaskończykiem, a w owych czasach szczególnie jego ziomkowie nie tracili przy byle czem swej junackiej fantazji. Lecz wejście to onieśmieliłoby niejednego. Po przedostaniu się przez ciężką, wielkimi gwoźdźmi nabijaną bramę, wpadało się od razu pomiędzy zbrojne zastępy, snujące się po dziedzińcu, wyzywające się na słowa, sprzeczące się i swawolące zarazem wesoło. By utorować sobie przejście pośród tych fal wirujących, trzeba było być oficerem, wielkim panem, lub ładną kobietą.

Owóz pośród takiej wrzaskliwej zgrai i zamieszania przebiegał się młodzieniec nasz z sercem bijącym, długi rapir swój przyciskając do chudych nóg, rękę trzymając przy kapeluszu, z półuśmiechem, zwykłym u parafjanina, chcącego dodać sobie pewności. Gdy się przez jedną gromadkę przecisnął, oddychał wtedy swobodniej; lecz czuł, że oglądano się za nim, i po raz pierwszy w życiu, on, który dobre miał dotąd wyobrażenie o sobie, śmiesznym się sobie wydawał.

Gorzej było jeszcze, gdy doszedł do schodów: na pierwszych stopniach stało czterech muszkieterów, fechtujących się z sobą dla rozrywki, a dziesięciu, czy dwunastu ich towarzyszy,

zajmując platformę schodową, oczekiwało na swoją kolej w szermierce.

Z czterech pierwszych jeden, stojąc ze szpadą w ręce na wyższym stopniu schodów, nie pozwalał trzem innym bliżej podejść.

Ci trzej zaś z prawdziwą zręcznością napadali na niego szpadami.

D'Artagnan wziął zrazu broń tę za florety z gałkami, lecz przekonał się wkrótce po zadraśnięciu, że broń to była spiczasta i wyostrzona należycie, a za każdym zadraśnięciem nie tylko widzowie, lecz i szermierze sami śmiali się, jak szaleni.

Stojący na wyższym stopniu, z zadziwiającą zręcznością trzymał przeciwników swoich w oddaleniu.

Otoczono ich kołem: warunek był taki, że ugodzony winien był odstąpić od partji. W przeciągu pięciu minut trzech było draśniętych, jeden w rękę, drugi w brodę, trzeci zaś po uchu, przez obrońcę schodów, który w tych ćwiczeniach pozostał bez najmniejszego szwanku. Zręczność ta dawała mu prawo, według umowy, po trzykroć z kolei bronić swojego stanowiska.

Jakkolwiek d'Artagnan postanowił nie dziwić się byle czemu, przeczuwając, iż zobaczy wiele rzeczy zupełnie nowych dla siebie, rozrywka ta zastanowiła go jednak; widział on na prowincji swojej, gdzie głowy są tak łatwo zapalne, dużo ćwiczeń szermierskich, lecz gaskonada tych czterech fechmistrzów najdoskonalszą mu się wydała, o jakiej usłyszeć kiedykolwiek mógł nawet w Gaskoñji. Zdawało mu się więc, że przeniesiony

jest w owe bajeczne kraje olbrzymów, gdzie ongi dostał się Guliwer. A jednak nie na tem koniec: pozostawała mu jeszcze platforma i przedpokój.

Tam już się nie bito, lecz opowiadano sobie anegdoty o kobietach, w przedpokoju zaś dworskie historyjki. Na platformie rumieniec wystąpił na lica d'Artagnana, w przedpokoju młodzieniec zadrzał.

Wyobraźnia jego, rozbudzona i nieokiełznana, która czyniła go postrachem dla dziewcząt pokojowych, a niekiedy i dla młodych ich pań, w chwilach szału nawet nie śniła tych cudów miłosnych i zwycięstw, spotęgowanych najbardziej znanymi imionami i najjaskrawszymi szczegółami. Lecz jeżeli obyczajność jego zadraśniętą została na platformie schodów, w przedpokoju szacunek jego dla kardynała nadwreżony został niesłuchanie.

Tam ze zdumieniem usłyszał głośną krytykę polityki, która trzęsła całą Europą, życie zaś prywatne kardynała, za roztrząsanie którego tylu możnych i wielkich ukaranych już było, życie tego wielkiego człowieka, tak czczonego przez pana d'Artagnana ojca, tutaj służyło za pośmiewisko muszkietierom pana de Tréville, którzy szydzili z jego pałakowatych nóg i wypukłych pleców, a nawet śpiewali piosnki o pani d'Aiguillon, jego kochance, o siostrzenicy, pani de Combalet, gdy inni znowu namawiali się przeciw paziom i straży przybocznej księcia-kardynała.

Jednakże, gdy niechcący imię królewskie wyrwało się komuś

niespodzianie wśród tego kardynalskiego bigosu, wnet jakby knebel zamykał na chwilę drwiące usta; spoglądano z wahaniem dokoła, jakby się lękając, aby nie zdradziła ściana, dzieląca ich od gabinetu pana de Tréville; wkrótce też najmniej znaczące słówko zwracało rozmowę na eminencję i koncepty zaczynały się na nowo, nie oszczędzając światła dla wszystkich jego postępków.

– O! wszyscy ci niezawodnie pójdą do więzienia, a potem na szubienicę – myślał ze zgrozą d'Artagnan – a może i ja z nimi razem, bo skoro ich słuchałem i słyszę, uważany będę za ich współnika. Coby na to mój ojciec powiedział, on, który mi cześć dla kardynała tak usilnie zalecał, coby powiedział, gdyby mnie zobaczył w tej pogańskiej kompanji?

Nikt o tem powątpiewać nie będzie, iż d'Artagnan nie ośmielił się wmieszać do rozmowy; otworzył tylko oczy i uszy, pięć zmysłów chciwie wyteżając, aby pochwycić wszystko i, pomimo zalecań ojcowskich, czuł w sobie ochotę nie ganić, lecz raczej chwalić rzeczy niesłychane, które się tam odbywały.

Ponieważ jednak obcym był zupełnie tej zgrai dworaków pana de Tréville i po raz pierwszy go tam widziano, zapytano zaraz, czego chce. Na zapytanie to d'Artagnan skromnie wymówił swoje nazwisko, przekonawszy o pochodzeniu swem, jako ich spółziomka i prosił pokojowca, który go właśnie pytał, aby dlań zachował chwilę posłuchania u pana de Tréville, co tenże przyrzekł uczynić we właściwym czasie.

Przyszedłszy trochę do siebie z pierwszego oszołomienia, d'Artagnan począł rozglądać się swobodniej, badając potrosze

ubiory i twarze.

Punkt środkowy najbardziej ożywionej gromadki stanowił muszkieter wzrostu wysokiego, z obliczem wyniosłym i w dziwacznym stroju, który zwracał ogólną uwagę.

Nie miał na sobie kaftana, przepisanego regułami, co zresztą nie było obowiązującym w owej epoce, w owych czasach nie tyle swobody, ile niezależności. Nosił na sobie obcisły żupan błękitny, zblakły i wytarty nieco, na którym połyskiwała wspaniała szarfa szeroka, haftowana złotem i mieniąca się blaskiem, jak powierzchnia wody na słońcu. Płaszcz aksamitny karmazynowy z wdziękiem opuszczał mu się z ramion, z przodu odsłaniając tylko świetną szarfę, przy której zwieszał się ogromny rapier.

Muszkieter powracał właśnie z warty i skarżył się, iż jest mocno zakatarzony, kaszląc od czasu do czasu z przesadą. Okrył się też dlatego płaszczem, jak głosił dokoła, a mówiąc to z miną wyniosłą, dumnie pokręcał węża, gdy tymczasem podziwiano z zapalem szarfę haftowaną, a d'Artagnan podziwiał jeszcze więcej, niż wszyscy.

– Cóż chcecie – mówił muszkieter – moda taka nastaje; wiem, że to głupstwo, ale modne. Zresztą trzeba przecież użyć na coś pieniędzy z rodzinnej sukcesji.

– O, *Porthosie!* – wykrzyknął jeden z obecnych – nie próbuj nawet wmówić w nas, iż szarfa ta z rodzicielskiej hojności ci się dostała; prędzej ci ją ofiarowała ta zakwefiona dama, z którą spotkałem cię zeszłej niedzieli przy bramie Ś-go Honorjusza.

– Nie, na honor, słowo szlacheckie daję, iż sam ją kupiłem za własne pieniądze – odparł ten, którego Porthosem nazwano.

– Tak – odezwał się inny muszkieter – tak samo, jak ja kupiłem ten woreczek nowy za to, co moja luba włożyła mi do starego.

– Mówię prawdę – podchwycił Porthos – a dowód najlepszy, że powiem wam, ile za nią zapłaciłem: dwanaście pistołów.

Zachwytył się potęgował się, wątpliwość jednak pozostała jeszcze.

– Wszak prawda, *Aramisie*? – zapytał Porthos, zwracając się do innego muszkietera.

Ten stanowił najzupełniejszy z nim kontrast. Był to chłopiec młody, od dwudziestu dwóch do trzech lat za ledwie, z obliczem łagodnym i niewinnym, ze słodkim spojrzeniem czarnych oczu, z twarzą różową i zdobną w lekki puszek, jak brzoskwinia w jesieni. Zgrabny wąsik rysował mu nad ustami linię najregularniejszą; ręce jakby się obawiały opuszczać ku dołowi, by na nich nie nabrzmiały żyły; od czasu do czasu szczypał się w uszy, dla utrzymania na nich lekkiego i przejrzystego szkarłatu. Mówił zazwyczaj mało i powoli, kłaniał się często, śmiał się głośno, pokazując piękne zęby, o które, jak i o całą swą osobę, widocznie dbał niepomiernie.

Na pytanie przyjaciela odpowiedział potwierdzającym skinieniem głowy.

Potwierdzenie to jednak jakby bardziej jeszcze umacniało wszelkie powątpiewania co do szarfy; podziwiano ją ciągle, lecz

nie mówiono już o niej, a rozmowa przeszła na inny przedmiot.

– Co myślicie o opowiadaniu koniuszego pana de Chalais?
– zapytał inny znowu muszkieter, nie zwracając się do nikogo wyłącznie, lecz do wszystkich w ogólności.

– A cóż on opowiada? – zapytał Porthos tonem wyniosłym.

– Opowiada, iż spotkał w Brukselli Rocheforta, tę duszę kardynałowi zaprzedałą, a spotkał go w przebraniu kapucyńskim, dzięki któremu oszukał tego dudka, pana de Laigues.

– Prawdziwego dudka – wtrącił Porthos – ale czy to pewne?

– Dowiedziałem się o tem od Aramisa – odparł muszkieter.

– Doprawdy?

– E! wiesz przecie sam o tem, Porthosie – odezwał się Aramis

– wczoraj ci to opowiadałem, nie mówmy już o tem.

– Nie mówmy już o tem? tak sądzisz? – odparł Porthos. – Nie mówmy! o! ty djablo szybko załatwiasz się ze wszystkim! Jako? Kardynał każe szpiegować szlachcica, przejmować korespondencję jego przez zdrajcę, rozbójnika, wisielca, przez tego szpiega; i dla owej korespondencji ścinają głowę panu de Chalais, pod głupim pozorem, że chciał zabić króla, i brata królewskiego ożenić z królową?... Dotąd... nikt ani trochę nie rozumiał tej zagadki, tyś ją odkrył nam wczoraj, z wielkiem dla nas wszystkich zadowoleniem, a kiedy jeszcze nie możemy opamiętać się ze zdziwienia, dzisiaj powiadasz: nie mówmy już o tem!...

– Ha! to mówmy, kiedy sobie tego życzysz – odparł z całą

cierpliwością Aramis.

– O! gdybym był koniuszym tego biedaka de Chalais – zawołał Porthos – Rochefort miały się z pyszna odemnie.

– A ty od *Czerwonego księcia* – zauważył Aramis.

– A! Czerwony książę! brawo! brawo! – podchwycił Porthos, klaszcząc w dłonie i przytakując głową. – Pyszny jest ten Czerwony książę. Puszczę ja twój koncept w obieg, możesz być tego pewny. Jakiż ten Aramis dowcipny! Co za szkoda, żeś nie poszedł za swoim powołaniem, rozkoszny byłby z ciebie książęlek.

– O! to tylko chwilowa zwłoka – odparł Aramis – wiesz przecie dobrze, że nie przestaję uczyć się teologii.

– Wcześniej czy później, stanie się tak, jak mówi – dodał Porthos potakująco.

– Wcześniej – podchwycił Aramis.

– On tylko na jedną rzecz czeka, któraby go skłoniła ostatecznie do przywdziania sutanny – odezwał się jeden z muszkieterów.

– A na cóż czeka? – zapytał inny.

– Na to, aż królowa obdarzy spadkobiercą koronę francuską.

– Nie żartujmy z tego, panowie – rzekł Porthos – królowa, dzięki Bogu, jest w tym wieku, że może Francję obdarzyć potomkiem.

– Mówią, że pan de Buckingham jest we Francji – odparł Aramis z przebiegłym uśmiechem, który tym, na pozór zwyczajnym zupełnie słowom, nadał podejrzane trochę

znaczenie.

– Aramisie, mylisz się tym razem, mój przyjacielu – przerwał mu Porthos – żyłka dowcipkowania za daleko cię ponosi... i gdyby cię usłyszał pan de Tréville, przekonałby cię, że bardzo nie w porę żartujesz.

– Cóż to?... chcesz mi dawać nauki?... Porthosie! – krzyknął Aramis, a w jego łagodnych oczach zapłonęły błyskawice.

– Mój drogi, bądźże muszkietерem, albo opatem, ale nigdy jednym i drugim jednocześnie – odpowiedział Porthos.

– Powiem, co ci Athos kiedyś powiedział: ty jadasz ze wszystkich żłobów. O! nie gniewaj się, proszę... byłoby to daremne, wiesz przecie, jaką umowę mamy między sobą, ty, Athos i ja. Ty chodzisz do pani d’Aiguillon i umizgasz się do niej; bywasz także u pani Bois-Tracy, krewnej pani de Chevreuse, i powiadają, iż bardzo posunięty jesteś w łaskach u tej pani. O! nie przyznawaj się do swego szczęścia, nikt tajemnicy twojej nie żąda, bo znana jest twoja delikatność. Skoro jednak posiadasz tę cnotę, czemuż, u diabła, nie robisz z niej użytku i względem Jej Królewskiej Mości. Niech kto chce i jak chce zajmuje się królem i kardynałem; lecz królowa jest świętością, i jeżeli mówić o niej, to mówić dobrze.

– Porthosie, jesteś przesadny i zarozumiały, jak Narcyz, ostrzegam cię – odrzekł Aramis – morałów nienawidzę, chyba tylko, gdy Athos je prawi. Co do ciebie, mój drogi, zanadto wspaniałą masz szarfę, abyś w tej sztuce moralizatorskiej był mocny. Będę opatem, jeśli mi się spodoba; tymczasem jednak

jestem muszkietierem; a z tej racji mówię, co mi się podoba, a obecnie podoba mi się powiedzieć, że niecierpliwisz mnie.

– Aramisie!

– Porthosie!

– E! panowie! panowie!... – zawołano ze wszystkich stron.

– Pan de Tréville czeka na pana d'Artagnan – odezwał się pokojowiec, otwierając drzwi od gabinetu.

Na słowa te, przy których drzwi zostały otwarte, wszyscy zamilkli, i, wśród tej ciszy ogólnej, młody gaskończyk przeszedł całą długość przedpokoju i stanął przed wozem muszkietierów, z całego serca winszując sobie, że w samą porę uniknął końca tej osobliwej sprzeczki.

Rozdział III. Posłuchanie

Pan de Tréville był właśnie w jak najgorszym usposobieniu; pomimo to grzecznie powitał młodzieńca, który skłonił mu się do ziemi i uśmiechnął się na przemówienie jego, w którym akcent bearneński przypominał mu młodość i kraj jego; wspomnienie to zawsze miłe jest każdemu człowiekowi. Jednocześnie jednak, podchodząc do przedpokoju, skinął w stronę d'Artagnana ręką, jakby prosił go o pozwolenie załatwienia się z innymi, zanim wda się z nim w rozmowę, i zawołał po trzykroć, a za każdym razem głos, potęgując się, przechodził z tonu rozkazującego w mocno zagniewany.

– Athos! Porthos! Aramis!...

Dwaj muszkietierowie, z którymi zawarliśmy już znajomość, wysunęli się z gromadki, a skoro próg gabinetu przestąpili, drzwi zaraz się za nimi zamknęły. Postawa ich, jakkolwiek niezbyt pewna siebie, wyrazem, pełnym godności i uszanowania, w zachwyty wprawiła d'Artagnana, który półbogów widział w tych ludziach, a w wodzu ich Jowisza olimpijskiego, zbrojnego we wszystkie pioruny.

Kiedy już dwaj muszkietierowie weszli, a drzwi się za nimi zamknęły i gwar w przedpokoju, podsycony zapewne tem wezwaniem, wszczął się też na nowo, pan de Tréville, milczący, z brwiami ściągniętymi, przemierzył kilkakrotnie wielkimi krokami gabinet, mijając za każdym razem Porthosa i Aramisa,

jak struny wyciągniętych, i zatrzymał się raptem przed nimi, patrząc wzrokiem zagniewanym.

– Czy wiecie, co król mi powiedział? – wrzasnął – i to wczoraj wieczorem; czy wiecie panowie?

– Nie – odpowiedzieli po chwili milczenia obaj muszkietierowie – nie, panie, nie wiemy.

– Ale spodziewamy się, że pan zrobi nam zaszczyt i powie – dodał Aramis miękkim głosem, z towarzyszeniem najwdzięczniejszego ukłonu.

– Powiedział mi, że odtąd muszkieterów swoich zaciągać będzie z gwardji kardynalskiej.

– Z gwardji pana kardynała! a to dlaczego? – żywo zapytał Porthos.

– Bo uważa, iż lura jego potrzebuje być wzmocniona dobrem winem.

Dwaj muszkietierowie zaczerwienili się aż po białka oczu. D'Artagnan, nie wiedząc co to znaczy, rad byłby o sto łokci znaleźć się pod ziemią.

– Tak, tak – mówił dalej pan de Tréville, unosząc się – Jego Królewska Mość ma słuszość, bo, na honor, prawdą jest, że muszkietierowie bardzo kiepsko przedstawiają się u dworu. Wczoraj, podczas gry z królem, kardynał opowiadał z miną pełną współczucia, która nie przypadła mi do smaku, że ci potępieńcy muszkietierowie, ci djabli... mówił, kładąc nacisk na każdym słowie, z miną ironiczną, która jeszcze więcej mi się nie podobała; ci rębacze, dodał, spoglądając na mnie kocio-

tygrysiem okiem, zapóźnili się przy ulicy Féron w szynku, i patrol z gwardji kardynalskiej – myślałem, że mi się w nos roześmieje – zmuszony był aresztować tych wichrzycieli porządku. Do djabła, musicie wiedzieć coś o tem. Aresztować muszkietarów! Wyście tam byli i inni, nie brońcie się, poznano was, kardynał wymienił was po nazwisku. Moja w tem wina, tak, moja wina, bo to ja ludzi moich wybieram. Słuchaj, Aramisie, czemu żądałeś ode mnie kaftana, kiedy ci w sutannie było tak dobrze? Słuchaj, Porthosie, czyż tylko po to masz szarfę złotą, aby na niej słomianą szpadę zawiesić? Athos! nie ma tu Athosa? Gdzież on jest?

– Panie, – smutno odpowiedział Aramis – Athos jest chory, bardzo chory.

– Bardzo chory, powiadasz? a na jakąż to chorobę?

– Obawiam się, ażeby to nie była ospa – odpowiedział Porthos, chcąc także należeć do rozmowy.

– Ospa! bajki mi pleciesz Porthosie! W jego wieku, na ospę chorować? Co nie, to nie!... pewnie raniony, a może zabity. O gdybym o tem wiedział!... Na rany boskie! panowie muszkietarowie, słyszeć o tem nie chcę, by chodzono do miejsc podejrzanych, robiono burdy uliczne i bito się w zaułkach. Nie chcę, byście się stali pośmiewiskiem gwardji kardynalskiej, składającej się z ludzi porządnych, spokojnych, śmiałych i nie takich, których aresztują, bo zresztą aresztować się nie dadzą, jestem tego pewny. Oni daliby się raczej zabić na miejscu, niż na krok jeden ustąpić. Bo tylko muszkietarowie królewscy uważają

za stosowne uciekać.

Porthos i Aramis trzęśli się ze wściekłości. Byliby chętnie zdusili pana de Tréville, gdyby nie czuli, że właśnie wielka dla nich miłość kładła mu w usta te słowa. Gnietli kobierzec nogami, usta przygryzali do krwi, z całych sił rękojeście szpady przyciskając. W przedpokoju usłyszano to wołanie Athosa, Porthosa i Aramisa po nazwisku, i odgadnięto po głosie pana de Tréville, że się gniewa niechybnie. Dziesięć głów ciekawych, opartych o cienką ścianę, bladło z wściekłości, bo uszy ich, do drzwi przyklepione, ani jednej sylaby nie straciły z tego, co było mówione, a usta powtarzały jedne za drugimi słowa dowódcy, ubliżające wszystkim muszkieterom, zebranym w przedpokoju.

W jednej chwili, począwszy od drzwi gabinetu aż do bramy, cały pałac zawrzał.

– A! muszkieterowie królewscy dają się aresztować gwardji pana kardynała – ciągnął pan de Tréville, zarówno jak jego żołnierze wzburzony wewnątrz – lecz przeszywając ich słowami, które zatapiał jedne po drugich, jak sztylety w sercach swoich słuchaczy. – Tak! sześciu gwardzistów Jego eminencji, aresztuje sześciu muszkieterów Jego Królewskiej Mości. Do wszystkich djabłów. Jużem się namyślił! Jadę natychmiast do Luwru, podam się do dymisji z dowództwa nad muszkieterami królewskimi i poproszę, ażeby mi dano miejsce w gwardji kardynała, a jeżeli mi odmówią, tam do licha! zostanę księdzem.

Na te słowa gwar zewnątrz gabinetu w wybuch się zamienił: wszędzie słyhać tylko było wykrzykniki i przekleństwa.

Morbleu! Sangdieu! do wszystkich djabłów! – krzyżowały się w powietrzu, jak grad, gnany wichrem. D'Artagnan szukał kąta, gdzieby się mógł ukryć, i czuł chęć nieprzepartą schowania się pod stół.

– A więc tak! mój wodzu!... – odezwał się Porthos, nie posiadając się ze wzburzenia – tak!... prawdą jest, iż sześciu przeciw sześciu nas było, lecz napadnięci zostaliśmy znienacka i zanim zdążyliśmy wydobyć szpady, dwóch z nas padło zabitych, Athos zaś ranny, nie więcej wart był od tamtych. Znasz przecie Athosa, kapitanie. Dwa razy powstać usiłował i po dwakroć upadł bezsilny. Nie poddaliśmy się jednak, o nie! wzięto nas przemocą. O Athosie myślano, że nieżywy, i zostawiono go na polu walki. Oto cała historia. Ale, do diabła, panie kapitanie, nie wszystkie wygrywa się bitwy. Wielki Pompejusz przegrał pod Farsalą, a król Franciszek I-szy, który jakem słyszał, nie ustępował mu w niczem, został jednak pobity pod Pawią.

– A ja mam honor zapewnić pana kapitana, iż jednego z nich własną jego szpadą zabiłem – odezwał się Aramis – bo moja przy pierwszym zetknięciu na dwoje trzaśła. Tak, panie, zabiłem, czy zasztyletowałem, jak się panu podoba.

– O tem nic nie wiedziałem – odparł pan de Tréville łagodniej.
– Jak widzę, pan kardynał przesadzał.

– Zmiłuj się, kapitanie – ciągnął dalej Aramis, widząc, że Tréville uspokajając się zaczyna – zmiłuj się, nie daj poznać Athosowi, iż wiesz, że jest raniony: w rozpaczy byłby, gdyby do uszu królewskich to doszło, a ponieważ rana jest niebezpieczna,

bo przez ramię do piersi dosięgła, można się obawiać...

W tejże chwili podniosła się portjera, i piękna, szlachetna głowa, tylko blada straszliwie, ukazała się z poza draperji.

– Athos! – wykrzyknęli dwaj muszkietierowie.

– Athos! – powtórzył Tréville.

– Pan wzywał mnie – rzekł do Trévilla Athos głosem osłabionym, lecz zupełnie spokojnym – wzywał mnie pan, jak mi mówili koledzy, więc śpieszę stawić się na rozkazy pańskie; oto jestem, czego sobie życzysz, kapitanie?

I z temi słowy muszkietier w mundurze galowym, krokiem pewnym wszedł do gabinetu. Pan de Tréville, do głębi poruszony tym dowodem odwagi, rzucił się ku niemu.

– Mówiłem właśnie tym panom – odezwał się – że zabraniam muszkietierom moim narażać życie bez żadnej potrzeby, bo tacy dzielni ludzie drodzy są królowi, a król wie o tem, iż muszkietierowie jego są najwaleczniejsi na świecie. Podaj mi rękę, Athosie.

I nie czekając, uchwycił prawą jego dłoń, z całych sił ściskając ją; nie spostrzegł jednak, że Athos, pomimo panowania nad sobą, drgnął z bólu, blednąc jeszcze bardziej.

Drzwi pozostały uchylone po wejściu Athosa, a chociaż rana jego w najgłębszej miała być trzymana tajemnicy, wszystkim była wiadoma, i dlatego okrzyk zadowolenia powitał ostatnie słowa kapitana i kilka głów, zapałem pociągniętych, ukazało się pomiędzy fałdami portjery. Pan de Tréville byłby niezawodnie ostremi słowy zganiał to wykroczenie przeciw prawom etykiety,

gdyby nie poczuł, że dłoń Athosa ściąga się kurczowo w jego rękę. Spojrzał wtedy bacznie na niego i dostrzegł, że bliski jest zemdlenia. I w jednej chwili Athos, walczący z wysiłkiem niesłychanym dla pokonania srogiego bólu, zwyciężony nim nareszcie, padł jak nieżywy na ziemię.

– Chirurga! – krzyknął pan de Tréville. – Mojego, królewskiego, najlepszego, chirurga! na rany Boskie! bo mój dzielny Athos skona!...

Na krzyki pana de Tréville, wszyscy wpadli do gabinetu jego, nie przyszło mu bowiem do głowy drzwi przed kimkolwiek zamykać. Rannego otoczono z wielkim współczuciem. Na nic by jednak wszystko to się nie przydało, gdyby lekarz nie znalazł się był w pałacu. Przebił się on przez tłum, zbliżył się do zemdłego wciąż Athosa, a ponieważ hałas i zamieszanie przeszkadzały mu bardzo, zażądał najpierwej, aby muszkietier przeniesiony być mógł do przyległego pokoju. Pan de Tréville sam otworzył drzwi, wskazując Porthosowi i Aramisowi drogę, ci zaś kolegę swojego, jak dziecko, na rękę zanieśli. Za nimi postępował chirurg, a za chirurgiem drzwi się zamknęły.

Wtedy gabinet pana de Tréville, to miejsce tak szanowane zwykle, chwilowo stał się dalszym ciągiem przedpokoju.

Każdy rozprawiał, gadał głośno, klnąc, pomstując, posyłając do wszystkich djabłów kardynała wraz z jego gwardją.

W chwilę potem Porthos i Aramis powrócili, chirurg zaś i pan de Tréville sami pozostali przy rannym. Powrócił i pan de Tréville nareszcie. Ranny odzyskał przytomność; chirurg

oznajmił, że stan muszkietera nie przedstawia nic niepokojącego dla przyjaciół, osłabienie było po prostu następstwem znacznego upływu krwi.

Na skinienie pana de Tréville, wszyscy wyszli z wyjątkiem d'Artagnana, który nie zapomniał wcale, że miał mieć posłuchanie, i z zaciętością prawdziwego gaskończyka stał w miejscu, jak wryty.

Gdy drzwi za wszystkimi zamknięto, pan de Tréville, obróciwszy się, znalazł się sam na sam z młodzieńcem. Wypadek, który się przed chwilą wydarzył, po części przerwał mu myśli. Zapytał więc, czego sobie młodzieniec życzy. Wtedy d'Artagnan wymienił swe nazwisko, a pan de Tréville od razu sobie przypomniał jego przyjście.

– Przepraszam cię – rzekł doń z uśmiechem – wybacz, drogi mój ziomku, zapomniałem zupełnie o tobie. Lecz cóż chcesz! dowódca jest ojcem rodziny, i to jeszcze większą odpowiedzialnością obarczony, aniżeli prawdziwy ojciec. Żołnierze to duże dzieci; a ponieważ chcę, by rozkazy królewskie były spełniane, a pana kardynała nade wszystko...

D'Artagnan nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Spostrzegłszy to, pan de Tréville zrozumiał, że nie z naiwnym ma do czynienia, i nagłym zwrotem rozmowy przystąpił do rzeczy.

– Ojca pańskiego bardzo kochałem – rzekł doń. – Więc cóż dla syna jego uczynić mogę? Śpiesz się, bo czas mój nie do mnie należy.

– Panie – odezwał się d'Artagnan – wyjeżdżając z Tarbes

i przybywszy tutaj, miałem zamiar cię prosić, w imię tej przyjaźni, której w pamięci swej nie zatraciłeś, o kaftan muszkieterski; lecz po wszystkim, na co tu od dwóch godzin patrzę, pojmuję, że łaska taka byłaby nadmierną, i lękam się, iż na nią nie zasługuję.

– W rzeczy samej, młodzieńcze, jest to łaska – odrzekł pan de Tréville – może ona jednak nie być ponad twoją wartość, jak sądzisz. Wszelako, wobec postanowienia Jego Królewskiej Mości, z żalem ci oznajmiam, iż nikt nie może zostać muszkietierem, bez uprzedniej próby w kilku wojnach, bez dokonania czynów rozgłośnych, lub służby dwuletniej w innym pułku, mniej od naszego uprzywilejowanym.

D'Artagnan skłonił się w milczeniu. Tem goręcej jednak zapragnął wdziać mundur muszkieterski, odkąd dowiedział się, iż otrzymanie go połączone jest z takimi trudnościami.

– Ale – ciągnął dalej Tréville, przeszywając ziomka wzrokiem tak przenikliwym, jakby chciał do głębi serca sięgnąć – ale przez pamięć na ojca twojego, dawnego mego kolegi, jak ci mówiłem, pragnę uczynić coś dla ciebie, młodzieńcze. Bearneńczycy nasi zwykle nie są bogaci, i wątpię by od czasu wyjazdu mojego z prowincji postać rzeczy zmieniła się bardzo. Pieniądze zapewne ci się nie przelewają.

D'Artagnan wyprostował się z miną dumną, która wyrażała, że nikogo o jałmużnę nie prosi.

– To dobrze, młodzieńcze, to dobrze – mówił dalej Tréville – znam ja tę dumę; i ja przybyłem do Paryża z czterema dukatami

w kieszeni, a byłbym się bił z każdym, kto by mi powiedział, iż nie jestem w stanie kupić Luwru.

D'Artagnan prostował się coraz więcej; dzięki sprzedaży konia, rozpoczynał on karierę z czterema dukatami więcej, aniżeli pan de Tréville.

– Otóż winieneś zachować to, co masz, chociażby to była suma niepoślednia; lecz potrzebujesz zapewne doskonalić się w ćwiczeniach, które szlachcicowi przystoją. Dziś zaraz napiszę do dyrektora akademji królewskiej list, a od jutra przyjęty tam zostaniesz bez najmniejszej zapłaty. Nie odmawiaj małej tej ulgi. Szlachta nasza, najlepiej urodzona i najbogatsza, prosi o nią nieraz, nie mogąc jej otrzymać. Nauczysz się jazdy konnej, fechtunku i tańca; wejdiesz tam w dobre znajomości, a od czasu do czasu będziesz mnie tu odwiedzał, abym wiedział, jak ci się wiedzie, i czy będę mógł zrobić coś dla ciebie.

Jakkolwiek obcy dworskim obyczajom, d'Artagnan odczuł chłód tego przyjęcia.

– Niestety – rzekł – widzę teraz dobrze, jak mi zbywa na liście polecającym, który mi ojciec dla pana powierzył.

– W istocie – odpowiedział Tréville – dziwi mnie, że przedsięwzięłaś podróż tak daleką bez tego wiatyku niezbędnego, jedynej ucieczki naszej, jako bearneńczyków.

– Miałem go, panie, i to w pięknej formie, dziękować Bogu – wykrzyknął d'Artagnan – lecz wydarto mi go podstępem.

I opowiedział całe zajście w Meung, ze szczegółami najdrobniejszymi odmalował szlachcica nieznanego,

a wszystko to z zapalem i prawda, które oczarowały Trévilla.

– A to osobliwe – powiedział w zamyśleniu – mówiłeś więc o mnie i to głośno?

– Tak, panie, i popełniłem bez wątpienia niedorzeczność, lecz cóż pan chcesz, imię takie, jak pańskie, miało mi służyć w podróży za puklerz, osądź więc panie, czy chroniłem się za nie zbyt często.

Pochlebstwo to było na swoim miejscu, a pan de Trévillie lubił kadzidła, jak król i kardynał. Nie mógł się więc powstrzymać od uśmiechu zadowolenia, lecz uśmiech ten zatarł się wkrótce, i Trévillie powrócił znów do awantury w Meung.

– Powiedz mi – ciągnął dalej – czy ten szlachcic nie miał czasem blizny nieznaczej na policzku?

– Tak, jakby od zadrażnienia kulą.

– Czy był to człowiek pięknej postawy?

– Tak.

– Wzrostu wysokiego?

– Tak.

– Bładej cery, o włosach czarnych?

– Tak, tak, zupełnie tak samo. Więc pan zna tego człowieka?

O panie, jeżeli spotkam go kiedy, a spotkać go muszę, przysięgam, że choćby w piekle to samem było...

– Czekał na przyjazd kobiety? – badał dalej Trévillie.

– Tak, i porozumiawszy się z tą, na którą czekał, odjechał.

– Czy nie wiesz o czym rozmawiali?

– Dał jej pudełko, mówiąc, że zawiera ono zlecenie, i mówił,

aby nie otwierała go aż w Londynie.

– Czy ta kobieta była Angielką?

– Nazywał ją milady.

– To on! – wyszeptał Tréville – to on! sądziłem, że jest jeszcze w Brukseli.

– O! panie, jeżeli wiesz kim on jest – wykrzyknął d'Artagnan – wskaż mi go, a zrzekam się wszystkiego, nawet obietnicy twojej przyjęcia mnie do muszkieterów; bo przede wszystkim pragnę się zemścić.

– Strzeż się, młodzieńcze – zawołał Tréville – przeciwnie, jeżeli zobaczysz go na tej samej stronie ulicy, przejdź na drugą! Nie potrącaj o taką skałę, strzaskałaby cię, jak szklanę.

– To nie przeszkadza, że jeżeli go kiedy odnajdę...

– Ale tymczasem nie szukaj go, jeżeli mogę ci radzić.

Naraz Tréville zamilkł, tknięty nagłym podejrzeniem. Straszna nienawiść, jaką młody podróżny tak głośno objawiał dla tego człowieka, który niezbyt prawdopodobnie miał mu list ojca wydrzeć, czyż nie kryła w sobie jakiego podstępu? czy sam ten młodzieniec nie był przez eminencję nasłany i nie przychodził po to, aby sidła na niego zastawić? a może ten rzekomy d'Artagnan jest szpiegiem kardynalskim, którego usiłują do domu jego wprowadzić, aby, zyskawszy zaufanie, następnie zgubił Trévillę, jak się to już tysiące razy zdarzało.

Więc zmierzył jeszcze bystrzejszem okiem d'Artagnana, niż za pierwszym razem. Widok tej twarzy dowcipem tryskającej, przebiegłej i pełnej przesadnej pokory, uspokoił go nienazbyt.

– Wiem dobrze, że to gaskończyk – pomyślał – lecz może być nim tak dobrze dla kardynała, jak dla mnie. Zobaczymy, weźmy go na próbę.

– Mój przyjacielu – przemówił wolno do niego – ponieważ chcę wierzyć w historję zgubionego listu, jako synowi mojego dawnego przyjaciela, pragnę ci wynagrodzić chłodne moje przyjęcie, które zauważyłeś od razu, i odkryję ci tajemnice naszej polityki.

Król i kardynał najlepszymi są przyjaciółmi, a jeżeli się zdarzają pozorne zająścia między nimi, to jedynie, aby oszukać głupców. Nie życzę sobie, by ziomek mój, młodzieniec przyzwoity i dzielny, stawiał pierwsze kroki swoje pośród tych wszystkich komedyj i, jak dudek jaki, sam się dał złapać, gdy w ten sposób tylu innych już się zgubiło. Wiedz zatem, że oddany jestem tym dwom panom wszechwładnym i że wszelkie postęпки moje innego nie mają celu, niż służyć królowi i panu kardynałowi, temu najświetniejszemu genjuszowi, jakiego kiedykolwiek wydała Francja.

A teraz, młodzieńcze, stosuj się do tego, a jeśli, czy to z rodziny, czy ze stosunków, czy choćby z instynktu samego, masz niechęć jakąś dla kardynała, taką, jaką widzimy, objawiającą się u szlachty, pożegnaj mnie i najlepiej rozstańmy się od razu. Spodziewam się, iż otwartością moją w każdym razie zyskam w tobie przyjaciela, gdyż dotąd jesteś jedynym młodzieńcem, z którym mówię tak otwarcie.

Tréville myślał sobie jednocześnie: jeżeli młody lisek jest

wysłańcem kardynała, tenże, wiedząc, jak dalece go nie cierpię, nie omieszkał z pewnością powiedzieć szpiegowi swojemu, iż najlepszym sposobem przypodobania mi się jest wygadywanie na niego w mojej obecności rzeczy niestworzonych; więc niezawodnie, pomimo zapewnień moich, przebiegłe to ziółko będzie się popisywało przede mną wstrętem do eminencji.

Ale, wbrew oczekiwaniom Trévilla, d'Artagnan odpowiedział z największą prostotą:

– Przybywam do Paryża z temi samemi zamiarami. Ojciec mój zalecał mi, aby nikomu nic nie przepuścić, nie znieść nic od nikogo, z wyjątkiem króla, kardynała i ciebie, panie, których uważa za najpierwsze osoby we Francji.

Zwracamy uwagę, iż d'Artagnan z własnego pomysłu dodał do pierwszych dwóch i Trévilla jeszcze, bo sądził, że dodatek ten zaszkodzić nie powinien.

– Mam zatem cześć najwyższą dla pana kardynała – ciągnął dalej – i uznanie najgłębsze dla wszystkich jego czynów. Tem lepiej dla mnie, jeżeli pan, jak słyszę, przemawiasz do mnie otwarcie, bo widzę, że w takim razie miałbym zaszczyt być wspólnych z panem przekonań; jeśli żywi pan dla mnie nieufność, bardzo zresztą naturalną, czuję, iż, mówiąc tę prawdę, gubię się w oczach pańskich; cóż robić, pocieszam się tylko tem, że nie będziesz pan mógł nie mieć dla mnie szacunku, a na tym świecie chodzi mi o to najbardziej.

Pan de Tréville był do najwyższego stopnia zdziwiony. Taka przenikliwość i otwartość zarazem w zachwyty go wprawiały,

doszczętnie jednak nie usuwały jeszcze wątpliwości. Im bardziej chłopiec ten wydawał się wyższym od innych swoich rówieśników, tem niebezpieczniejszym się stawał, w razie, gdyby grał tylko komedię. Pomimo to Tréville uściskał dłoń d'Artagnana i rzekł:

– Dzielny z ciebie chłopiec, na teraz jednak nic więcej zrobić nie mogę dla ciebie, prócz tego, z czem ci się ofiarowałem przed chwilą. Dom mój dla ciebie zawsze będzie otwarty. Później zaś, mając zawsze do mnie przystęp, a więc możliwość korzystania z każdej sposobności, otrzymasz prawdopodobnie to, czego tak pragniesz.

– To znaczy – odpowiedział d'Artagnan – że czekasz pan, aż stanę się tego godny. O! bądź spokojny, panie dodał z poufałością czysto gaskońską – długo czekać nie będziesz.

I skłonił się, aby odejść, jakby reszta zgoła od niego tylko zależała.

– Ależ zaczekaj – rzekł, zatrzymując go Tréville – wszak obiecałem ci list do dyrektora akademji. Byłżebyś za dumny na to, aby go przyjąć, młody mój szlachcicu?

– Nie, panie – odparł d'Artagnan – zaręczam panu, że z tym nie będzie, jak z tamtym. Strzec go będę dobrze i przysięgam, że dojdzie podług swojego adresu, a biada temu, kto by usiłował mi go wydrzeć!

Na tę przechwałkę uśmiechnął się pan de Tréville i, zostawiając młodego ziomka we framudze okna, gdzie rozmawiali razem, usiadł przy stole i począł pisać przyobiecany

list polecający. D'Artagnan tymczasem, nie mając nic lepszego do roboty, począł bębnić na szybach marsza, przypatrując się muszkietierom, wychodzącym kolejno i śledząc ich oczami, dopóki nie zniknęli na zakręcie ulicy.

Pan de Tréville, napisawszy list, zapieczętował i, podniósłszy się, podszedł do młodzieńca, aby mu go oddać. W chwili jednak, gdy rękę wyciągnął, pan de Tréville ze zdziwieniem ujrzał, jak protegowany jego podskoczył i, czerwony ze złości, wybiegł z gabinetu jak strzała, krzyząc:

– O! na rany boskie! teraz mi się nie wymknie.

– Kto taki? – zapytał Tréville.

– On, ten złodziej! – odparł d'Artagnan. – O! podły!

I zniknął.

– To djabeł wcielony! – mruknął Tréville. – A może – dodał – jest to tylko zręczny manewr z jego strony... uciekł, widząc, że w łeb wzięły wszystkie jego zamiary.

Rozdział IV. Ramię Athosa, szarfa Porthosa i chustka Aramisa

D'Artagnan, rozpędziwszy się, przebył przedpokój w trzech susach i wypadł na schody, które w mgnieniu oka przeskoczył zamyślał, nie licząc ich bynajmniej, gdy, sadząc z głową naprzód wyciągniętą, natknął się na wychodzącego od pana de Tréville drzwiami bocznymi muszkietera, i tak go uderzył czołem w ramię, iż ten z bólu ryknął nieledwie.

– Przepraszam – rzekł, chcąc pędzić dalej – przepraszam, bardzo mi się spieszy.

Zaledwie jednak postąpił krok, gdy dłoń żelazna schwyciła go za przepaskę i powstrzymała w miejscu.

– Śpieszy ci się! – krzyknął muszkieter, blady, jak całun śmiertelny – i dlatego potrącasz mnie, mówiąc: „Przepraszam” i myślisz, że to mi wystarcza? O! nie tak bardzo, mój młokosie. Czy sądzisz, że skoro słyszałeś dzisiaj pana de Tréville, ostro do nas przemawiającego, to możesz już traktować nas, jak on się do nas odzywa? Mylisz się, mój kochany, bo ty nie jesteś panem de Tréville!... o, co nie, to nie!

– Na honor – odparł d'Artagnan, poznając Athosa, który po opatrunku dokonanym przez doktora, wracał do mieszkania – na honor, nie zrobiłem tego umyślnie; mówię więc: „Przepraszam” i to mi się wydaje dostatecznym. A zwracam uwagę pana – powtórzył – że, słowo honoru, śpieszy mi się i to bardzo śpieszy.

Puszczaj mnie pan, proszę.

– Panie – rzekł Athos, puszczając go – jesteś nieokrzesany. Widać z daleka przybywasz.

D'Artagnan już ze cztery stopnie był przeskoczył, ale, na słowa Athosa, stanął jak wryty.

– Do kaduka! – zawołał – skądkolwiek przybywam, nie do ciebie jednak należy, mój panie, uczyć mnie gładkiego obejścia.

– A jednak nie jest to zbyt cenne – odezwał się Athos.

– O! gdyby nie to, że się tak śpieszę – zawołał d'Artagnan – gdybym za kimś nie gonił!...

– O! mnie znajdziesz, nie goniąc, rozumiesz pan.

– A gdzież to, jeżeli łaska?

– Przy Karmelitach bosych.

– O której godzinie?

– Około południa.

– Dobrze, stawię się.

– Postaraj się pan tylko, abym nie czekał, bo o kwadrans na pierwszą uszy ci obetnę po drodze.

– Dobrze! – krzyknął mu d'Artagnan – będę tam dziesięć minut przed dwunastą.

I popędził, jak gdyby djabli go nieśli, w nadziei spotkania nieznanego, którego miarowy chód nie mógł zaprowadzić daleko.

Lecz w bramie od ulicy Porthos rozmawiał z żołnierzem z gwardji. Rozmawiających dzieliła przestrzeń, akurat na objętość człowieka.

D'Artagnan, sądząc, iż się tam zmieści, śmignął między nich, jak strzała. Nie brał jednak wiatru w rachunek. W chwili, gdy miał się prześlizgnąć, wiatr rozdał szeroki płaszcz Porthosa i d'Artagnan najniespodziewaniej znalazł się pod połą.

Nic dziwnego, że Porthos nie chciał pozbyć się tej najważniejszej dla siebie części ubrania, bo, zamiast puścić swobodnie połą, pociągnął ją ku sobie tak, że d'Artagnan zaplątał się w aksamity płaszcz.

Chcąc wywikłać się z płaszcz, zasłaniającego mu oczy, usiłował wydobyć się z pomiędzy fałd, bojąc się zarazem uszkodzić owej wspaniałej szarfy. Gdy jednak oczy otworzył nieśmiało, przekonał się, iż nosem utknął na samych plecach Porthosa, a więc i na przepysznej szarfi.

Jak jednak wszystkie rzeczy na tym świecie najczęściej mają tylko złudne pozory, tak i szarfa z przodu jedynie lśniła złotem, a z tyłu z najprostszej była skóry. Pełen próżności Porthos, nie mogąc mieć szarfy całej ze złota, miał ją przynajmniej w połowie: tem się tłumaczy obecność kataru i niezbędność płaszcz.

– A! do kroćset djabłów! – krzyknął Porthos, usiłując odczepić się od chroboczącego mu po plecach d'Artagnana – czyś się wściekł, że się tak rzucasz na ludzi?

– Przepraszam – odezwał się d'Artagnan, głowę z pod pachy mu wysadzając – ale śpieszy mi się bardzo, biegnę za pewną osobą i...

– Dobrze, że biegniesz, ale czy nie zapomniałeś wziąć z sobą

oczu? – zapytał Porthos.

– Nie – odparł urażony d’Artagnan – i dlatego widzę nawet to, czego inni nie widzą.

Czy zrozumiał Porthos przymówkę, czy też nie, dość, że wpadł w gniew wściekły.

– Mój panie – rzekł doń – skórę podrzesz na sobie, jeżeli o muszkieterów tak się będziesz ocierał.

– Tego, mój panie, zanadto – odparł d’Artagnan.

– W sam raz dosyć, jak na człowieka, przywykłego patrzeć nieprzyjaciołom w oczy.

– O! do licha, aż nazbyt pewien jestem, że i do swoich nie stajesz pan plecami.

I zachwycony tym dowcipem szedł w dalszą drogę, śmiejąc się na całe gardło.

Porthos, pieniąc się ze złości, poskoczył za nim.

– Później, później – krzyknął d’Artagnan – wtedy, jak pan będziesz bez płaszcza.

– O pierwszej więc za pałacem Luksemburskim.

– I owszem – odkrzyknął mu tenże, niknąc na rogu ulicy.

Lecz i tam nikogo już nie było. Jakkolwiek nieznamy szedł powoli, miał jednak czas go wyprzedzić znacznie, a może wstąpił do którego z domów.

D’Artagnan wymijał przechodniów, zeszedł aż do promu na rzece, wrócił przez ulicę Sekwany i Czerwonego Krzyża, lecz i to było daremne. Gonił ją jednak nie była bez korzyści, gdyż w miarę, jak czoło jego potem się zlewało, serce chłodziło

stopniowo.

Zaczął tedy rozważać wszystko; wypadki były liczne i opłakane. Zaledwie jedenasta wybiła, a poranek ten przyniósł mu niełaskę pana de Tréville, który nie omieszkał się pewnie obrazić tym sposobem warjackim, w jaki się z nim rozstał.

Nadto ściągnął na siebie dwa pojedynki z dwoma ludźmi, zdolnymi zabić trzech takich d'Artagnanów, z muszkieterami, o których miał wyobrażenie tak wysokie, że stawiał ich w myśli i sercu ponad wszystkich ludzi.

Prawdopodobny rezultat mógł być nader smutny. Przekonany był, że Athos zabije go, bo Porthosa niebardzo się obawiał.

Ponieważ jednak nadzieja jest uczuciem, które najdłużej w sercu ludzkim tli się, krzepił się otuchą, iż zostanie przy życiu, poraniony, rozumie się, okrutnie. Na wszelki też wypadek sam się w duchu strofował:

– Jakież ze mnie półgłówek i bałwan! Dzielny ten i nieszczęśliwszy Athos ranny jest w ramię, w które ja właśnie walę jak baran. To tylko dziwne, że nie zabił mnie na miejscu; miałby prawo zupełne, gdyż ból, który mu sprawiłem, musiał być okrutny.

Co się tyczy Porthosa, to co innego. Z nim sprawa zabawna, na honor.

I mimowoli śmiać się począł, patrząc wszelako, czy śmiech ten, którego przyczyna nie była znana nikomu, nie obrazi kogo z przechodniów.

– Z Porthosem zabawna historia; ale w każdym razie jestem

ostatnim roztrzepańcem. Jak można tak wpadać na ludzi, nie ostrzegłszy ich pierwej i szukać im pod płaszczem tego, czego tam wcale niema! Byłby mi przebaczył z pewnością, gdybym mu nie wspomniał o tej szarfie przeklętej.

Słuchaj, d'Artagnanie, mój przyjacielu – dodał z całą dla siebie życzliwością – jeżeli wykręcisz się teraz, co mi się nie zdaje prawdopodobnem, trzeba być na przyszłość niezmiernie grzecznym, aby cię za przykład stawiano, by cię uwielbiano wszędzie. Uprzedzającym być i gładkim, to nie znaczy poniżać się. Spójrz na Aramisa, wszak to uosobienie słodyczy i wdzięku. A czyżby znalazł się taki, coby go tchórzem nazwał? Z pewnością, że nie, i odtąd postanawiam na nim się wzorować. A otóż i on, Aramis.

D'Artagnan, idąc i rozprawiając tak z sobą samym, doszedł do pałacu d'Aiguillon i tam spostrzegł Aramisa, rozmawiającego wesoło z kilku panami z gwardji królewskiej. Ten zobaczył go również, ponieważ jednak pamiętał, iż przy nim właśnie pan de Tréville tego ranka srogim gniewem się uniósł, więc świadek wyrzutów, które usłyszeli muszkietierowie, nie mógł być żadną miarą dlań przyjemny, i Aramis udał, że go nie widzi.

D'Artagnan przeciwnie, przejęty nawskroś postanowieniem zostania uprzejmym i miłym, podszedł do czterech młodzieńców, z uśmiechem najwdzięczniejszym składając im ukłon głęboki. Aramis z miną poważną odpowiedział mu lekkim skinieniem głowy, lecz wszyscy czterej przerwali w tej chwili rozmowę.

D'Artagnan, nie w ciemną bitwę, zrozumiał, że obecność jego nie jest tu na rękę, lecz za mało miał obycia światowego, aby wybrnąć zręcznie z drażliwego położenia, w jakim znajduje się każdy w towarzystwie mało sobie znanem, gdy toczy się rozmowa, która pod żadnym względem obchodzić go nie może. Głowił się więc, jak się wycofać zręcznie, gdy spostrzegł, że Aramis upuścił chusteczkę i, przez nieuwagę zapewne, nogą na nią nastąpił. Sądząc, iż nadeszła teraz chwila, aby okazać się grzecznym, schylił się i z wdziękiem, na jaki tylko mógł się zdobyć, wyciągnął chustkę z pod stopy muszkietera, pomimo wszelkich wysiłków tegoż, aby ją przytrzymać – i oddając mu ją rzekł:

– Zdaje się, iż ta chusteczka do pana należy, a zapewne nie chciałby pan jej zgubić.

Chusteczka była wyhaftowana bogato z koroną i herbem na rogu.

Aramis spłoszył cały i wyrwał ją nieledwie z rąk Gaskończyka.

– O! o! – zawołał jeden z gwardzistów – może powiesz jeszcze, skryty Aramisie, że nie jesteś w dobrych stosunkach z panią de Bois-Tracy, skoro ta uprzejma dama zaszczyca cię pożyczaniem chusteczek.

Aramis przeszył d'Artagnana spojrzeniem, które mówiło, iż tenże kupił w nim sobie śmiertelnego wroga, a następnie z miną słodziutką rzekł:

– Mylicie się, panowie, chusteczka ta nie do mnie należy i nie

wiem doprawdy, co temu panu do głowy przyszło, żeby mnie, a nie komu z was ją oddać. Najlepszy daję wam dowód, iż swoją mam w kieszeni.

I, mówiąc to, wyjął rzeczywiście chusteczkę, również elegancką, z batystu cieniutkiego, który w owych czasach drogi był bardzo, lecz bez haftów i herbów, tylko z cyfrą właściciela.

Tym razem d'Artagnan ani pisał, zrozumiał bowiem, że nie w porę się wyrwał; lecz przyjaciele Aramisa nie dali za wygraną i jeden z nich, zwracając się do muskietera, rzekł z udaną powagą:

– Jeżeli tak jest, jak utrzymujesz, zmuszony będę prosić cię o zwrot jej, drogi mój Aramisie, bo wiesz przecie, że jestem w ścisłych stosunkach z Bois-Tracy i nie życzę sobie, aby rzeczy żony jego za godła komuś służyły.

– Żądanie twoje nie jest dość właściwe – odparł Aramis – bo, jakkolwiek w zasadzie uznaję całą jego słuszność, odmówiłbym mu ze względu na formę.

– Tak, przyznaję – wtrącił się nieśmiało d'Artagnan – że nie widziałem, jak wypadła chustka z kieszeni pana Aramisa. Nogę tylko na niej trzymał, sądziłem więc, że do niego należy.

– I byłeś w błędzie, mój drogi panie – chłodno odrzekł Aramis, wcale tą pokorą nie zmiękczony. Następnie zaś, zwracając się do tego, który się podawał za przyjaciela pana de Bois-Tracy, rzekł: – Zresztą dochodzę do wniosku, mój ty przyjacielu pana de Bois-Tracy, że niemniej niż ty – jestem jego przyjacielem; chusteczka zatem tak samo z twojej, jak i z mojej,

mogła wypaść kieszeni.

– Nie, na honor! – zawołał gwardzista jego królewskiej mości.

– Ty klniesz się na honor, a ja na słowo moje, widocznym więc jest, iż jeden z nas kłamie. Słuchaj, Montaian, najlepiej będzie, gdy się nią podzielimy.

– Wybornie – zawołali dwaj inni – prawdziwy sąd Salomona.

O Aramisie, pełen jesteś mądrości.

Młodzieńcy zaśmiali się głośno i zdawaćby się mogło, iż sprawa cała została skończona. Po chwili rozmowa się urwała i gwardziści wraz z muszkietierem, uściskawszy się serdecznie za ręce, rozeszli się każdy w swoją stronę.

– Wypada mi teraz z tym miłym chłopcem się pogodzić – pomyślał d’Artagnan, stojący na uboczu podczas ostatniej rozmowy.

I w najlepszych zamiarach podszedł do Aramisa, który oddalał się już, bynajmniej na niego nie zwracając uwagi.

– Mam nadzieję, iż mi pan wybaczysz...

– O! mój panie – przerwał mu Aramis – pozwól sobie powiedzieć, iż w tym razie, nie postąpiłeś tak, jak na człowieka przyzwoitego przystało.

– Jakto, pan przypuszczasz...

– Przypuszczam mój panie, że głupcem nie jesteś, i wiesz o tem dobrze, jakkolwiek z Gaskonji przybywasz, iż bez przyczyny nie depcze się po chustkach od nosa. Do djabła! Paryż nie zabrukowany jest batystem.

– Panie, źle robisz, chcąc mnie urazić – odezwał się

d'Artagnan, którego usposobienie kłótniwe zaczynało brać górę nad postanowieniami pokojowymi. – Żem gaskończyk, to prawda, a skoro wiesz o tem, nie potrzebuję ci mówić, że gaskończycy niełatwo to znieść potrafią, zatem, skoro kogoś proszą o przebaczenie, choćby za głupstwo nawet, przekonani są, iż czynią więcej, niż powinni.

– Nie mówię tego panu bynajmniej dla wywołania sprzeczki – odrzekł Aramis. – Dzięki Bogu, zabijaką nie jestem, i będąc tymczasowym tylko muszkietierem, biję się jedynie, skoro do tego jestem zmuszony, a zawsze z niemałą odrazą; tym razem jednak sprawa zbyt jest ważna, bo przez pana skompromitowaną została kobieta.

– Chcesz pan powiedzieć, przez nas – zawołał d'Artagnan.

– Czemu tak niezręcznie oddałeś mi pan chustkę?

– A po co pan tak niezręcznie upuściłeś ją na ziemię?

– Powiedziałem panu, i raz jeszcze powtarzam, że chusteczka ta nie pochodziła z mojej kieszeni.

– Podwójnie więc skłamałeś, mój panie, bo ja to dobrze widziałem!

– O! tak zaczynasz śpiewać, panie gaskończyku! poczekaj, nauczę ja cię życia.

– A ja do mszy cię zapędzę, panie opacie! Dobywaj szpady, jeśli łaska, natychmiast!

– O nie, mój piękny, nie tutaj przynajmniej. Czyż nie widzisz, że stoimy przed pałacem d'Aiguillon, pełnym zauszników kardynalskich. Kto mi zaręczy, że to nie eminencja polecił ci,

abyś mu dostarczył mojej głowy? Wiedz, że dbam o nią aż do śmieszności, bo, jak mi się zdaje, bardzo dobrze pasuje mi ona do ramiona. Z przyjemnością zabiję cię, bądź spokojny, lecz zabiję cię pomalutku, w miejscu ustronnem i zamkniętem, tam, gdzie przed nikim nie będziesz mógł się ze śmiercią swoją pochwalić.

– I owszem, ale nie licz na to zbyt wiele, a zabierz z sobą chusteczkę, czy to twoja lub nie, może ci się przydać do opatrunku.

– Pan jesteś gaskończykiem? – zapytał Aramis.

– Tak... pan, spodziewam się, nie odkłada spotkania przez przeczność.

– Przeczność, mój panie, zawsze jest cnotą, przydatną muszkietierom, a nieodzowną dla sług kościoła; ponieważ zaś jestem muszkietierem czasowym, pragnę pozostać przeczornym! O drugiej będę miał zaszczyt oczekiwać w pałacu pana de Tréville. Tam wskażę panu właściwe miejsce.

Dwaj młodzieńcy pożegnali się ukłonem, Aramis puścił się ulicą, prowadzącą do Luksemburgu, d'Artagnan zaś, widząc, że dość już późno, skierował swe kroki w stronę Karmelitów bosych, mówiąc do siebie.

– O! ani chybi, cało z tego nie wyjdę; ale przynajmniej, jeżeli zginę, umrę z ręki muszkietera.

Rozdział V. Muszkietierowie króla i gwardziści pana kardynała

D'Artagnan nie miał w Paryżu żywej duszy znajomej. Stawił się więc na spotkanie z Athosem bez sekundanta. Miał zresztą zamiar niewzruszony wytłumaczyć się dzielnemu muszkieterowi przyzwoicie, lecz bez żadnej uległości. Lękał się rezultatu pojedynku, który nie miłym zwykle bywa, gdy silny i młody, ma za przeciwnika rannego, a zatem pozbawionego sił: wtedy bowiem zwyciężony zmniejsza triumf nieprzyjaciela, zwycięzca zaś posądzany bywa o zbrodnię i fałszywą odwagę. Zresztą, czytelnicy zauważyli zapewne, że d'Artagnan nie był człowiekiem pospolitym. Powtarzając więc sobie, iż śmierci nie uniknie, nie był wszelako zrezygnowany zejść z tego świata jak baranek, czemu inny na jego miejscu, z mniejszym zasobem odwagi, poddałby się niezawodnie.

Rozwagał charakterzy tych, z którymi stanąć miał do walki, i położenie przedstawiło mu się jaśniej. Dzięki szlachetnemu tłumaczeniu, miał nadzieję zyskać w Athosie przyjaciela; postawa jego pańska i wyniosła mocno mu przypadła do serca.

Cieszył się na myśl nastraszenia Porthosa wypadkiem z szarfą, bo jeżeli nie będzie od razu zabity, rozgłosi to powszechnie, a opowiadanie zręczne i składne może tamtego okryć śmiesznością. Wreszcie skryty Aramis nie przejmował go strachem, i w przypuszczeniu nawet, że z nim odbędzie

pojedynek, obiecywał sobie płać go przez twarz, jak Cezar zalecał żołnierzom zrobić z Pompejuszem, aby zniweczyć na zawsze tę piękność, o którą był tak zazdrosny.

W duszy d'Artagnana tkwiło niezłomne postanowienie, wszczepione radami ojca. Nikomu nie przepuścić, od nikogo nic nie znieść, prócz od króla, kardynała i pana de Tréville.

Leciał więc, jak na skrzydłach, w stronę Karmelitów bosych, których klasztor był budynkiem bez okien, a otaczało go tylko zeschnięte błonie. Był tu punkt spotkania i pojedynków dla ludzi, nie mających czasu do stracenia.

Kiedy mógł już objąć okiem błonie, roztaczające się u stóp klasztoru, ujrzał Athosa, oczekującego tam od pięciu minut, a właśnie zegar wydzwaniał południe. Słowny był zatem, jak Samarytanka, i najsurowiej przestrzegający warunków pojedynkowych nie miałby mu nic do zarzucenia.

Athos, któremu rana dopiekała straszliwie, choć świeżo opatrzona przez chirurga pana de Tréville, siedział na kamieniu przydrożnym z tą dystynkcją i spokojem, pełnym godności, jakie go nie odstępowały nigdy. Na widok d'Artagnana, powstał i z grzecznością postąpił kilka kroków ku niemu. Ten zaś szedł ku przeciwnikowi z kapeluszem w ręce, pióro od niego wlokąc po ziemi.

– Panie – rzekł Athos – zawiadomiłem dwóch moich przyjaciół, którzy za świadków służyć będą, lecz jeszcze ich nie widać. Dziwi mnie to, bo nie mają zwyczaju się spóźniać.

– Ja sekundantów nie mam – odparł d'Artagnan – wczoraj

dopiero przybyłem do Paryża i nikogo tu nie znam, prócz pana de Tréville, a polecony mu zostałem przez ojca mojego, który ma zaszczyt liczyć się do jego przyjaciół.

Athos się zamyślił.

– I nikogo pan nie znasz prócz pana de Tréville? – zapytał.

– Tak, panie, nikogo.

– No, to jeżeli cię zabiję – kończył Athos, raczej do siebie mówiąc, niżli do d'Artagnana – jeżeli cię zabiję, wyglądać mogę na pożerającego dzieci!

– O! niezupełnie mój panie – odparł z dumnym ukłonem d'Artagnan – niezupełnie, skoro mnie zaszczytasz dozywaniem szpady, pomimo rany, która nie mało ci musi zawadzać.

– O! i bardzo zawadza, na honor, i przyznać muszę, żeś mi piekielnego narobił bólu, ale to mniejsza; lewej użyję ręki, jak zwykle to czynię w takich razach. Nie myśl wcale, abym ci ustępstwo robił, ja zarówno obydwoma władam rękami; to może być dla pana nawet niekorzystne, bo mańkut dla nieprzyzwyczajonych osób bywa niebezpieczny. Żałuję nawet, iż wcześniej nie uprzedziłem pana o tem.

– Doprawdy – odrzekł z ukłonem d'Artagnan – jesteś pan tak rycersko grzeczny, iż nie wiem, jak mam ci być za to wdzięcznym.

– Zawstydzasz mnie pan – odparł Athos z miną pańską – mówmy o czem innem, proszę, jeżeli ci się podoba. A! do licha, toś mi bólu narobił, aż pali mię to ramię.

– Jeżeli pan pozwolisz... – nieśmiało zaczął d'Artagnan.

– Co takiego?

– Mam cudowny balsam na rany, balsam, od matki mojej pochodzący, którego na sobie już wypróbowałem.

– Więc cóż?

– Więc pewny jestem, iż za trzy dni najdalej byłbyś pan wyleczony zupełnie, a wtedy, panie, za honor sobie poczytam służyć ci w każdej chwili.

D'Artagnan wypowiedział to z prostotą, czyniącą mu zaszczyt, bez ujmy dla jego odwagi.

– Dalibóg – odrzekł Athos – podoba mi się ta propozycja, nie dlatego, abym ją miał przyjąć, lecz że o miłą czuć ją szlachcicem. Tak przemawiali i postępowali owi dzielni rycerze z czasów Karola Wielkiego, których dzisiejsi za wzór brać sobie winni. Niestety, nie czasy to wielkiego monarchy, tylko kardynała, za trzy dni rozgłoszonoby już tajemnicę naszą, choćby najściślej była zachowana, wiedzianoby, mówię, że bić się zamierzamy i przeszkodzonoby temu. Lecz cóż to, czy już nie przyjdą, te włości?

– Jeżeli panu pilno – odezwał się d'Artagnan z tą samą prostotą, z jaką proponował przed chwilą odłożenie na trzy dni pojedynku – jeżeli panu pilno i życzysz sobie załatwić się ze mną zaraz, nie krępuj się, proszę.

– I to mi się bardzo podoba – rzekł Athos z wyrazem twarzy, okazującym zadowolenie – tak nie odzywa się półgłówek... tylko człowiek męznego serca mówić tak tak potrafi. Przepadam za ludźmi takiego usposobienia, jak pańskie, i jeżeli nie pozabijamy

się teraz, prawdziwą będę miał przyjemność rozmawiać z panem później. Zaczekajmy na panów tych, proszę, nie brak mi czasu, a przynajmniej wszystko odbędzie się prawidłowo. A! otóż i jeden z nich.

W głębi ulicy Vaugirard ukazał się olbrzymi Porthos.

– Jakto?... – zawołał d'Artagnan – Porthos jest świadkiem pana?

– Tak. Czyś pan temu nie rad?

– O! bynajmniej.

– Ot jest i drugi.

D'Artagnan obejrzał się i poznał Aramis.

– Jakto?... – z większym jeszcze wykrzyknął zdziwieniem – to drugim świadkiem jest Aramis?

– A naturalnie, alboż kto kiedy widział, iżbyśmy razem nie byli? Athos, Porthos i Aramis, to trzej nierozłączni, jak nas nazywają wszędzie. Pan jednak, co przybywasz z Honolulu, czy z Kochinchiny...

– Z Tarbes – poprawił go d'Artagnan.

– Wolno panu nie znać tych szczegółów – dokończył Athos.

– Na honor – odrzekł d'Artagnan – nazwano was znakomicie, moi panowie, i jeżeli przygoda moja nabędzie rozgłosu, przekona, że w związku waszym nie brak wam łączności.

Porthos nadszedł tymczasem i ręką powitał Athosa; obejrawszy się następnie na d'Artagnana, stanął zdziwiony.

Dodajmy nawiasem, iż szarfę zmienił i był bez płaszcza.

– A! co to takiego? – zapytał.

– Z tym panem właśnie mam się potykać – rzekł Athos, wskazując z ukłonem d'Artagnana.

– Ależ i ja biję się z nim – odparł Porthos.

– I ja również z tym panem mam się pojedynkować – odezwał się Aramis, dochodząc do miejsca.

– Lecz dopiero o drugiej – z zimną krwią zauważył d'Artagnan.

– Ale o co się bijesz, Athosie? – zagadnął Aramis.

– Na honor, nie wiem tak bardzo... w ramię mnie uraził; a ty Porthosie?

– Biję się, bo się biję – czerwieniąc się, odparł Porthos.

Baczny na wszystko Athos podchwycił uśmiech złośliwy na ustach gaskończyka.

– Mieliśmy sprzeczkę o ubranie – wtrącił młodzieniec.

– A ty, Aramisie? – pytał dalej Athos.

– Ja, biję się o teologję – odrzekł Aramis, spoglądając prosząco na d'Artagnana, by zachował w tajemnicy powód pojedynku.

Athos dostrzegł drugi uśmiech d'Artagnana.

– Doprawdy?... – podchwycił Athos.

– Tak, nie mogliśmy się zgodzić na pewien ustęp ze świętego Augustyna – odezwał się gaskończyk.

– Widocznie, sztuka z niego nie głupia – mruknął Athos.

– A teraz panowie, skoroście się zebrali – rzekł d'Artagnan – niech mi będzie wolno wytłumaczyć się wam.

Na słowo *wytłumaczyć* chmura przesunęła po czole Athosa,

uśmiech wzgardliwy po ustach Porthosa, a skinienie przeczące było odpowiedzią Aramisa.

– Nie rozumiecie mnie, panowie – rzekł d’Artagnan, podnosząc głowę, a na oblicze jego padły promienie słoneczne, złocąc szlachetne i śmiałe jego rysy – pragnę się wytłumaczyć na wypadek, jeżeli nie będę w możności wszystkim trzem długu mego spłacić, pierwszemu bowiem panu Athosowi służy prawo zabicia mnie, a to odbiera dużo wartości zadaniu pana Porthosa, a twoje, panie Aramisie, nieledwie niweczy zupełnie. A teraz powtarzam, wybaczcie mi, panowie, ale to tylko jedynie, i baczność!

Z temi słowy ruchem, najpyszniej rycerskim, d’Artagnan wy dobył szpadę.

Krew wrzątkiem uderzyła mu do głowy i w chwili tej rzuciłby się był na cały zastęp muszkieterów, z taką samą odwagą, jak na tych trzech obecnie.

Było już trochę z południa. Słońce do zenitu dobiegało, a miejsce na pojedynki wybrane, wystawione zostało na palące jego promienie.

– Piekielnie gorąco – rzekł Athos, dobywając szpady – nie chciałbym jednak zdejmować kaftana, gdyż czuję w tej chwili, iż rana mi się krwawi, a pragnę nie sprawić panu przykrości widokiem krwi nie twojem żelazem dobytej.

– To prawda – odrzekł d’Artagnan – a czy dobyta byłaby przeze mnie, czy przez kogo innego, zawsze z żalem prawdziwym patrzeć będę na krew tak dzielnego szlachcica; i ja więc bić się

będę w kaftanie.

– Dalej, dalej – odezwał się Porthos – dosyć już tych grzeczności, pomyślcie, że czekamy na naszą kolej.

– Sam za siebie mów, Porthosie, kiedy masz się tak grubijańsko odzywać – przerwał Aramis. – Co do mnie, słowa tych panów uważam za właściwe i godne takich szlachetnych, jak oni, ludzi.

– Służę panu – odrzekł Athos, zasłaniając się szpadą.

– Jestem na rozkazy – odparł d'Artagnan, krzyżując swoją.

Zaledwie dwa rapiry zetknęły się ze szczękiem, gdy oddział gwardji jego eminencji, pod dowództwem pana de Jussac, ukazał się z poza węgła klasztoru.

– Gwardziści kardynalscy! – krzyknęli jednocześnie Porthos i Aramis. – Panowie! szpady do pochwy! Panowie!

Lecz było już za późno. Dwaj walczący widziani byli w postawie nie pozostawiającej żadnej wątpliwości o ich zamiarach wojowniczych.

– Hola! – krzyknął Jussac, zbliżając się do nich i dając żołnierzom swoim znak, aby uczynili to samo – hola! panowie muszkietery, bijecie się tutaj? A zakaz?... cóż mi na to powiecie?

– O! bardzo szlachetni jesteście, panowie gwardziści – odrzekł Athos, pełen skrytej nienawiści, bo Jussac był najpierwszym z tych, którzy go atakowali w przeddzień. – My, gdybyśmy was widzieli bijących się, zaręczam, iż nie przeszkadzalibyśmy wam bynajmniej. Zostawcie więc swobodę,

a będziecie mieli przyjemność, żadnego nie doznając trudu.

– Panowie – odparł Jussac – z żalem oświadczyć wam muszę, iż rzecz to niepodobna do spełnienia. Obowiązek przede wszystkim. Szpady do pochwy, jeżeli łaska, i proszę za nami.

– Panie – odezwał się Aramis przedrzeźniając Jussaca – z wielką przyjemnością poszlibyśmy za uprzejmą radą waszą, gdyby to od nas zależało; ale niestety to niemożliwe: pan de Tréville zabronił nam tego. Idźcie więc w swoją drogę, to będzie dla was najlepiej.

Drwiny te doprowadziły Jussaca do rozpaczy.

– Siłą was zaprowadzimy z sobą, kiedy nas słuchać nie chcecie.

– Pięciu ich jest – rzekł półgłosem Athos – a nas tylko trzech; znowu będziemy pobici i trzeba nam będzie życie tu położyć, bo oświadczam, że jeśli zostaniemy pokonani, na oczy się kapitanowi nie pokażę.

Athos, Porthos i Aramis zbliżyli się do siebie w chwili, gdy Jussac ustawiał swych żołnierzy w szeregu.

Chwila ta wystarczyła d'Artagnanowi do namysłu, że nastęczała mu się jedna ze sposobności, stanowiących o życiu człowieka; należało więc uczynić wybór między królem i kardynałem i należało w nim wytrwać. Bić się, znaczyło to nie słuchać prawa, narażać głowę, znaczyło to na samym wstępie zrobić sobie nieprzyjaciela z ministra, potężniejszego nawet, niż sam król. Wszystko to przewidywał młodzieniec, dodajmy jednak na pochwałę jego, iż nie zawahał się ani na chwilę. I rzekł,

zwracając się do Athosa i jego przyjaciół:

– Panowie! pozwólcie mi w słowach waszych małą uczynić poprawkę. Powiedzieliście, że trzej tylko jesteście, a mnie się wydaje, iż nas jest tutaj czterech.

– Przecież pan nie należysz do naszych – zauważył Porthos.

– To prawda – odrzekł d’Artagnan – ale jeżeli nie ubiorem, to duszą do was należę. Czuję to, iż serce mam muszkieterskie, i ono pociąga mnie do was.

– Na bok! młodzieńcze – wrzasnął Jussac, który po ruchach i wyrazie twarzy odgadywał zamiary d’Artagnana. – Pozwalam ci się oddalić. Uciekaj, pókiś cały.

D’Artagnan ani drgnął.

– Dzielny chłopiec z ciebie – powiedział Athos, ściskając mu rękę.

– No, dalej! – wołał Jussac.

Athos, Porthos i Aramis spojrzeli na młodzieńca.

Wszystkim trzem tkwiła w myśli młodość d’Artagnana i lękali się jego braku doświadczenia.

– I tak trzech by nas tylko było, z których jeden ranny, bo to dziecko jeszcze – mówił Athos – pomimo to powiedzą, iż było nas czterech.

– Tak, lecz cofać się!... – odpowiedział Porthos.

– Trudno – dodał Athos.

D’Artagnan zrozumiał ich wahanie.

– W każdym razie wypróbujcie mnie panowie, a przysięgam wam, na cześć moją, że jeżeli zwyciężeni będziemy, z miejsca

się tego nie ruszę.

– Jak się nazywasz mój zuchu? – zapytał Athos.

– D’Artagnan.

– Dalejże! Athos, Porthos, Aramis i D’Artagnan naprzód! – krzyknął Athos.

– I cóż panowie, czy usłuchacie mnie? – po raz trzeci zawołał Jussac.

– Stało się, panowie – rzekł Athos.

– Cóż więc zamierzacie uczynić? – pytał Jussac.

– Będziemy mieli zaszczyt przystąpić z wami do walki – odpowiedział Aramis, jedną ręką unosząc kapelusza, drugą wyciągając szpadę.

– A! opieracie się więc! – krzyknął Jussac.

– Do licha! to pana dziwi?

Poczem dziewięciu walczących rzuciło się na siebie, z wściekłością nie przekraczającą jednak zasad szermierki.

Athos wybrał niejakiego Cahusaca, ulubieńca kardynalskiego; Porthos miał Bicarata, Aramis znalazł się wobec dwóch przeciwników. D’Artagnan zaś padł na Jussaca samego.

Serce młodego gaskończyka biło jak młotem, zdawało się, że rozsadzi mu piersi. Nie ze strachu, broń Boże, nie było go tam ani cienia, lecz dlatego, że w męstwie nie chciał się pokazać od innych gorszym, bił się jak tygrys rozjuszony, ze wszystkich stron napastując przeciwnika i zmieniając kilkakrotnie pozycję. Jussac był mistrzem w tej sztuce, bo dużo już praktykował; ciężkiem było jednak zadanie jego bronić się od przeciwnika,

który, zręczny i rzutki, zmieniał co chwila metodę, napadając ze wszystkich prawie stron jednocześnie, a sam zasłaniając się, jak człowiek, który ma cześć najwyższą dla swojej skóry.

Walka ta doprowadziła Jussaca do utraty cierpliwości. Wściekłość go ogarnęła, iż ten, którego za dzieciaka uważał, trzyma go w szachu. Zaperzony więc, zaczął błędy popełniać. D'Artagnan zaś w braku doświadczenia, posiadał głęboką teorię, i przeto jeszcze zwinniej się sprawiał. Jussac, chcąc raz już skończyć, wymierzył od dołu straszny cios przeciwnikowi; ten natychmiast się zasłonił, i w chwili, gdy Jussac prostował się, przemknął pod szpadą jego jak wąż i na wylot go przebił. Jussac runął jak kłoda. Wtedy d'Artagnan wzrokiem szybkim i niespokojnym objął pole walki.

Aramis zabił już jednego ze swoich przeciwników, lecz drugi ostro nań nacierał. Położenie jego nie było niebezpieczne, mógł się bowiem obronić.

Bicarat i Porthos szpikowali się wzajemnie. Porthos dostał pchnięcie w ramię, a Bicarat w udo. Ponieważ jednak ani jedna, ani druga rana nie była głęboka, coraz zajadlej napadali na siebie.

Ale Athos, na nowo przez Cahusaca raniony, coraz większą okrywał się bladością, chociaż się ani na krok nie cofnął z miejsca; przełożył tylko broń do innej ręki, z równą zręcznością władając lewą.

Według praw pojedynkowych z tamtej epoki, d'Artagnan mógł jednemu z nich przyjść w pomoc, i gdy szukał oczami, którego z towarzyszy wypadłoby wesprzeć, pochwycił spojrzenie

Athosa, a było ono zadziwiająco wymowne.

Athos wolałby umrzeć niż zawołać o pomoc, mógł jednak patrzeć, a spojrzeniem tem poparcia żądał. Odgadł to d'Artagnan i dopadł z boku Cahusaca, krzycząc strasznym głosem:

– Ze mną teraz sprawa, zabiję cię, panie gwardzisto!

W sam czas odwrócił się Cahusac. Athos, którego odwaga niezrównana podtrzymywała jedynie, upadł na jedno kolano.

– Na rany boskie, nie zabijaj go młodzieńcze, błagam – wołał na d'Artagnana – mam ja dawną sprawę z nim do załatwienia, jak się tylko wygoję. Rozbrój go tylko, wytrąć mu szpadę. O! tak! dobrze! wyśmienicie!

Okrzyk ten Athosa spowodował wytrącenie szpady z ręki Cahusaca; wyrzucona w powietrze padła o jakie dwadzieścia kroków.

D'Artagnan i Cahusac razem się rzucili, aby ją pochwycić; lecz d'Artagnan zwinniejszy, pierwszy na niej postawił nogę.

Cahusac poskoczył do gwardzisty, zabitego przez Aramisa, wyrwał mu rapir, i powracał, aby na nowo z d'Artagnanem rozpocząć walkę, na drodze jednak spotkał Athosa, który w tej przerwie miał już czas trochę odetchnąć i w obawie, aby d'Artagnan wroga nie zabił, sam stanął przed nim do walki.

D'Artagnan pojął, iż ściągnąłby na siebie niezadowolenie Athosa, gdyby mu zechciał przeszkodzić. Stało się też, iż w kilka sekund zaledwie Cahusac padł z gardłem przesytem szpadą.

Jednocześnie Aramis przyłożył koniec szpady do piersi leżącego na ziemi przeciwnika, zmuszając go do poddania.

Pozostawał jeszcze Porthos i Bicarata. Porthos podrywał zawzięcie, zapytując Bicarata, która mogła być godzina, i wieszował mu oddziały, który brat jego dostał w pułku Navarry; drwinkami temi jednak niewiele wskórać mu się udało, Bicarata bowiem należał do tych ludzi żelaznych, którym ręka opada, lecz tylko po śmierci.

Należało wszakże temu kres położyć! Lada chwila patrol mógł nadciągnąć i zabrać walczących, rannych i całych, zarówno królewskich, jak i kardynalskich.

Athos, Aramis i d'Artagnan otoczyli Bicarata, wzywając go, aby się poddał. Jakkolwiek jeden na czterech i z udem szpadą przebitym, Bicarata nie myślał ustąpić. Był on, jak d'Artagnan, gaskończykiem; udawał głuchego, a śmiejąc się i zasłaniając żwawo, znalazł nawet czas, aby końcem szpady wskazać miejsce na ziemi.

– Tu, – rzekł, parodując ustęp biblijny – tu umrze Bicarata, sam jeden przeciw wszystkim.

– Ależ czterech ich jest przeciw tobie jednemu – zawołał Cahusac – skończ raz, rozkazuję ci.

– O! rozkazujesz, to rzecz inna, – odrzekł Bicarata – jako brygadjerowi swemu, winienem ci posłuszeństwo.

I, uskoczywszy w tył, złamał na kolanie szpadę, kawałki przez mur klasztorny przerzucił i, skrzyżowawszy na piersiach ręce, zagwizdał piosnkę gwardzistów kardynalskich.

Waleczność wzbudza szacunek nawet w nieprzyjacielu. Muszkieterowie pokłonili się Bicaratowi szpadami i włożyli je

do pochwy. To samo uczynił d'Artagnan, następnie z pomocą Bicarata, który jeden tylko ze wszystkich kardynalskich gwardzistów trzymał się na nogach, zaniósł pod bramę klasztorną Jussaca, Cahusaca i tego z przeciwników Aramisa, który tylko był ranny; czwarty, jak wiadomo, już nie żył. Złożywszy ich tam, uderzyli w dzwon klasztorny, zabrawszy cztery szpady na pięć, i upojeni radością, podążyli do pałacu pana de Tréville.

Szli tak, splótłszy się ramionami, zajmując całą szerokość ulicy i każdego muszkietera spotkanego pociągając za sobą, tak, że w końcu orszak ten zmienił się w pochód triumfalny. Serce d'Artagnana rozpływało się z rozkoszy; szedł pomiędzy Athosem i Porthosem, ściskając ich czule.

– Choć nie jestem jeszcze muszkieterem – powiedział do nowych przyjaciół, przestąpiwszy próg pałacu pana de Tréville – ale zostałem przyjęty na praktykanta, nieprawdaż?

Rozdział VI. Jego Królewska Mość Ludwik Trzynasty

Cała ta sprawa narobiła wrzawy, pan de Tréville nagniewał się głośno na muszkietarów, a pochwalił ich po cichu. Ponieważ jednak nie było czasu do stracenia, popędził sam do Luwru, aby uprzedzić o tem króla. Spóźnił się wszakże, bo powiedziano mu, iż król zamknął się z kardynałem, pracuje i nikogo przyjąć nie może w tej chwili.

Stawił się więc wieczorem w zwykłych godzinach gry; król wygrywał, a jako strasznie skąpy, w przepysznym był humorze. Skoro więc zobaczył nadchodzącego Trévilla, odezwał się do niego:

– Proszę tutaj, panie kapitanie, proszę, muszę cię wyłajać; czy wiesz, że jego eminencja skarżył mi się na twoich muszkietarów, i z takim rozdrażnieniem, że aż chory jest dzisiaj. O! ależ to djabyły wcielone, ci twoi muszkietarowie!...

– Nie, Najjaśniejszy Panie – odpowiedział Tréville, widząc od razu na co się zanosi – nie, przeciwnie, to stworzenia dobre, łagodne, jak baranki, i szyję moją dają, iż jedno tylko pragnienie mają, aby dobywać szpady jedynie w usługach Waszej Królewskiej Mości. Cóż jednak począć, jeśli gwardziści pana kardynała wiecznie szukają zwady. Biedni młodzieńcy bronić się muszą, dla samego honoru swego zgromadzenia.

– Posłuchajcie no tego Trévilla! posłuchajcie! możnaby

sądzić, że on tu mówi o zgromadzeniu religijnem. Doprawdy, kapitanie drogi, wielka ochota mnie bierze odebrać ci patent i dać go pannie de Chemerault, której przyobiecałem opactwo. Nie myśl jednak, abym ci na słowo uwierzył. Nie darmo nazywają mnie Ludwikiem Sprawiedliwym, zaraz cię o tem przekonam.

– Ponieważ najzupełniej sprawiedliwości tej ufam, Najjaśniejszy Panie, z uległością i spokojem zdaję się na łaskę Waszej Królewskiej Mości.

Szczęście się odwróciło, i król zaczął przegrywać to, co wygrał, było mu więc na rękę, że użyjemy tego wyrażenia, chorągiewkę zwinąć. Wstał też po chwili i rzekł, chowając do kieszeni pieniądze, przed nim leżące, których część znaczną stanowiła wygraną.

– Vieuville, siadaj na mojem miejscu, a ja muszę z panem de Tréville pomówić w sprawie bardzo ważnej. A!... było tam osiemdziesiąt luidorów przedemną; położy odpowiednią sumę, aby krzywdy nie mieli przegrani. Sprawiedliwość przede wszystkim.

Potem obrócił się do Trévilla, pociągając go do framugi okna.

– A zatem, mój panie – ciągnął dalej – mówisz, że to gwardziści jego eminencji szukają zaczepki z twymi muszkietierami?

– Tak, Najjaśniejszy Panie, jak zwykle.

– Jakżeż się to stało, zobaczymy?... bo wiesz przecie, kapitanie, że sędzia winien obie strony wysłuchać.

– A! mój Boże w najprostszy i najzwyczajniejszy sposób. Trzech najlepszych żołnierzy moich, których Wasza Królewska Mość zna z imienia i miał sposobność ocenić wierność ich dla siebie, trzech tych żołnierzy, mówię, panowie: Athos, Porthos i Aramis, udali się na wycieczkę z pewnym młodym gaskończykiem, poleconym im z rana przeze mnie. Celem wycieczki miało być podobno Saint-Germain, a miejscem spotkania Karmelici bosy. Otóż tę przyjemność spaceru zakłócili im panowie: de Jussac, Cahusac, Bicarat i dwóch innych gwardzistów, którzy nie przyszliby tam pewnie w takiej liczbie, gdyby nie mieli złych zamiarów.

– Oh! o! dajesz mi do myślenia – odrzekł król – bez wątpienia, oni tam przyszli się bić.

– Ja ich nie oskarżam, lecz sąd pozostawiam Waszej Królewskiej Mości, bo po cóż aż pięciu ludzi zbrojnych przybyło w miejsce tak ustronne, jak okolice klasztoru Karmelitów bosych?...

– Tak, masz słuszność, Tréville, masz słuszność.

– Zobaczywszy moich muszkietarów, zmienili zamiar i, zapominając uraz osobistych dla nienawiści do naszego zgromadzenia... bo wiadomo Waszej Królewskiej Mości, że muszkietrzy, którzy do króla należą, do króla wyłącznie, są nieprzyjaciółmi naturalnymi gwardzistów, do kardynała należących...

– Tak, mój Tréville, tak – powiedział melancholijnie król – i wierzaj mi, iż to bardzo smutne widzieć dwie takie partje

we Francji, taką dwugłową monarchję. Skończy się to jednak, skończy. Mówisz więc, że to gwardziści zaczepili muszkietarów?

– Mówię, że prawdopodobnie tak się rzeczy miały, lecz nie przysięgam, Najjaśniejszy Panie. Wasza Królewska Mość wie, jak trudno poznać prawdę, a kto nie jest obdarzony tem uczuciem zadziwiającem, dzięki któremu, nazwano Ludwika XIII Sprawiedliwym...

– Masz słuszność, Tréville, ale ci twoi muszkietarowie nie sami tam byli, mieli z sobą jakiegoś dzieciaka.

– Tak, Najjaśniejszy Panie, dzieciaka i jednego rannego; tak... trzech muszkietarów królewskich, z których jeden ranny, a z nimi jeden dzieciak, nie tylko stawili czoło pięciu najstraszniejszym gwardzistom pana kardynała, lecz nadto czterech powalili na ziemię.

– Ależ to zwycięstwo, zwycięstwo zupełne – zawołał król, promieniejąc radością.

– Tak, Najjaśniejszy Panie, zwycięstwo zupełne.

– Mówisz więc, że czterech ludzi, z nich jeden ranny, a jeden dziecko nieledwie...

– Wyrostek, ale sprawiał się tak dzielnie w tej potrzebie, że pozwolę sobie polecić go Waszej Królewskiej Mości.

– Jak on się nazywa?

– D'Artagnan, Najjaśniejszy Panie, syn jednego z najdawniejszych przyjaciół moich, syn człowieka, który walczył przeciwko Lidze ze świetnej pamięci ojcem twoim, Najjaśniejszy Panie.

– Mówisz, że chłopak ten sprawiał się dzielnie? Opowiedz mi to, Tréville, wiesz, jak lubię opowiadania o bitwach i potyczkach.

Ludwik XIII, mówiąc to, dumnie pokręcił węża, przybierając postawę rycerską.

– Najjaśniejszy Panie – zaczął Tréville – pan d’Artagnan, jak rzekłem, jest jeszcze prawie dzieckiem, a nie mając zaszczytu być muszkietierem, ubrany był po mieszczańsku; gwardziści pana kardynała, widząc młodość jego, a co więcej, iż nie należy do zgromadzenia, zażądali, aby się usunął, zanim uderzą na naszych.

– Widzisz więc, Tréville, że to oni pierwsi zaczęli.

– Tak właśnie, Najjaśniejszy Panie, najmniejszej niema wątpliwości; wezwali go więc, aby się usunął, na co odpowiedział, że sercem jest muszkietierem, oddanym duszą całą Jego Królewskiej Mości, i pozostanie z panami muszkietierami.

– Dzielny chłopiec! – mruknął król.

– I został, a Wasza Królewska Mość ma w nim tak walecznego stronnika... on to właśnie wpakował Jussacowi pchnięcie, które pana kardynała o tak straszny gniew przyprawiło.

– To on ranił Jussaca? – wykrzyknął król – on?... ten dzieciak?... Ależ to nie do uwierzenia, Tréville!...

– A jednak tak, jak miałem zaszczyt Waszej Królewskiej Mości powiedzieć.

– Jussaca, najdzielniejszego rębacza w królestwie?...

– Trafiła kosa na kamień, Najjaśniejszy Panie.

– O! chcę go poznać, Tréville, chcę go widzieć, i jeżeli da się coś zrobić dla niego, zajmiemy się nim zaraz.

– Kiedy Wasza Królewska Mość przyjąć go raczy?

– Jutro w południe.

– Czy mam go samego przyprowadzić?

– Nie, wszystkich czterech mi przyprowadź. Chcę im podziękować; serca wierne są rzadkością, Tréville, wierność należy nagradzać.

– Najjaśniejszy Panie, w południe stawimy się w Luwrze.

– O! tylko, Tréville, pamiętaj, bocznymi schodami, tak, bocznymi; nie trzeba, aby kardynał o tem wiedział.

– Słucham, Najjaśniejszy Panie.

– Pojmiesz, Tréville, zakaz zakazem, bo koniec końców, bić się jest zabronione.

– Ale, Najjaśniejszy Panie, spotkanie to, przekracza wszelkie formy pojedynkowe, to bójka po prostu, napaść boć pięciu gwardzistów kardynalskich było przeciw trzem muszkietierom i panu d'Artagnan.

– Słusznie – odparł król – ale w każdym razie przyjdźcie bocznymi schodami.

Tréville uśmiechnął się. Ponieważ jednak wielką było rzeczą to, co otrzymał od tego dziecka, buntującego się przeciw swojemu panu, ukłonił się królowi z uszanowaniem i za zezwoleniem jego oddalił się.

Tego wieczora jeszcze trzej muszkietierowie zawiadomieni zostali o zaszczycie, jakiego mieli dostąpić. Że jednak znali króla od dawna, niezbyt tem podnieceni się czuli, ale d'Artagnan ze swoją wyobraźnią gaskońską, widział w tem szczęście swoje

w przyszłości i noc całą roił sny złote. Nazajutrz też o ósmej z rana był już u Athosa. Zastał go w mundurze galowym, gotowego do wyjścia. Ponieważ ułożyli się wspólnie z Porthosem i Aramisem, że pójdą na piłkę do pewnego domu gry, tuż przy stajniach pałacu luksemburskiego, Athos zaprosił go do towarzystwa, a d'Artagnan, jakkolwiek nie znał zabawy tego rodzaju, przyjął zaproszenie, nie wiedząc, co robić z czasem od dziewiątej rano, aż do południa. Dwaj muszkietierowie byli już na miejscu i rzucali piłką do siebie. Athos, biegnący we wszystkich ćwiczeniach ciała, stanął z d'Artagnanem po stronie przeciwnej, wyzywając ich do gry. Lecz za pierwszym rzutem, jakkolwiek lewą ręką dokonany, poczuł, że na ćwiczenia podobne rana jego jeszcze była za świeża.

D'Artagnan pozostał sam, ponieważ jednak oznajmił, że za mało zna się na zasadach gry, przestano więc na rzucaniu piłką, nie rachując punktów. Piłka, wyrzucona herkulesową ręką Porthosa, tuż koło twarzy d'Artagnana przemknęła, tak, że gdyby zamiast pójść bokiem, trafiła w niego, audjencja, pomyślał sobie, byłaby dziś stracona prawdopodobnie, bo z guzem nie mógłby przecież pokazać się królowi. Skoro zaś w wyobraźni jego gaskońskiej cała przyszłość zależała od posłuchania, grzecznie się Porthosowi i Aramisowi uklonił, oznajmiając, iż nie będzie grał, dopóki dorównać im nie potrafi, i odszedł, aby zająć miejsce wśród widzów.

Na nieszczęście między widzami znajdował się pewien gwardzista jego eminencji, który, wzburzony jeszcze porażką

wczorajszą swoich towarzyszy, przyrzekł sobie cześcić się pierwszej sposobności dla pomszczenia kolegów. Sądząc, że nadeszła chwila stosowna, zwrócił się do sąsiada, mówiąc:

– Nic dziwnego, że ten młodzik przeląkł się piłki, pewno to czeladnik muszkieterski.

D'Artagnan drgnął, jak ukąszony przez żmiję i przeszył wzrokiem gwardzistę, który się wyrwał z tem grubijaństwem.

– O! – ciągnął tenże dalej, zawadjacko pokręcając wąsa – patrz na mnie, ile ci się podoba, mój paniczyku, a ja co powiedziałem, to powiedziałem.

– A ponieważ to, co powiedziałeś, jest jasne aż nadto i nie potrzebuje objaśnień, – odparł d'Artagnan, zniżonym głosem – będę pana prosił, abyś poszedł ze mną.

– Kiedy? – zapytał gwardzista tym samym drwiącym tonem.

– Natychmiast, jeśli łaska.

– Wiesz pan pewno, kim jestem?

– Wcale nie wiem i nie obchodzi mnie to bynajmniej.

– Źle robisz, bo gdybyś znał moje imię, nie śpieszyłbyś tak może.

– Więc jak się pan nazywasz?

– Bernajoux, do usług.

– A zatem, panie Bernajoux, – spokojnie rzekł d'Artagnan – czekam na ciebie przy bramie.

– Idź pan, przyjdę za tobą.

– O! nie śpiesz się pan zbyt, aby nas razem wychodzących nie dostrzeżono; pojmujesz, iż przeszkadzaliby

nam widzowie.

– Dobrze – odrzekł gwardzista, zdziwiony, iż nazwiskiem swoim większego na młodzieńcu nie sprawił wrażenia.

Rzeczywiście, Bernajoux znany był wszystkim, z wyjątkiem d'Artagnana; był on jednym z tych, co brali udział w bójkach codziennych, które odbywać się nie przestawały, pomimo zakazów króla i kardynała.

Porthos i Aramis tak byli zajęci grą, a Athos przypatrywał się im z taką uwagą, że nie spostrzegli wyjścia młodego towarzysza, który, jak zapowiedział gwardziście, czekał na niego w bramie, gdzie i ten wkrótce się zjawił. Nie mając czasu do stracenia, wobec audjencji u króla, oznaczonej na godzinę dwunastą, d'Artagnan rozejrzał się dokoła, a widząc, iż ulica jest pusta, rzekł:

– Na honor, wielkie twoje szczęście, choć Bernajoux się nazywasz, że masz do czynienia tylko z czeladnikiem muszkieterskim; bądź spokojny jednak, postaram się jak umiem najlepiej. Baczność!

Bernajoux nie dal sobie dwa razy powtórzyć podobnej grzeczności, w mgnieniu oka szpada błysnęła mu w dłoni i rzucił się na przeciwnika, tusząc sobie, że młokosa onieśmieli od razu.

Lecz d'Artagnan odbył szkołę w przeddzień, świeżo więc ośmielony zwycięstwem, dumny ze swego przeszłego, zdecydowany był na krok me ustąpić. Społy się więc dwa ostrza aż po rękojeść, a że d'Artagnan trzymał się, jak wrosły w miejscu, przeciwnik jego zatem musiał w tył uskoczyć.

D'Artagnan w lot sposobność uchwycił, bo, gdy skutkiem ruchu tego szpada Bernajoux zeszła z linji, trzepnął w nią z boku i złożywszy się, ugodził przeciwnika w ramię. Niezwłocznie potem d'Artagnan, krok w tył zrobiwszy, wznosił szpadę do góry, lecz Bernajoux krzyknął, że to fraszka tylko i, na oślep rzucając się na d'Artagnana, sam się na szpadę jego natknął. Ponieważ jednak trzymał się na nogach i za zwyciężonego się nie uznał, cofał się tylko ku pałacowi pana de Trémouille, u którego krewniak jego był w służbie, d'Artagnan przeto sam nie mógł wiedzieć, jak mocno go zranił, nacierał nań ostro i dobiłby był przeciwnika za trzeciem pchnięciem, gdyby wzmagająca się na ulicy wrzawa nie była doszła do sali gry. Dwaj przyjaciele gwardzisty słyszeli jego sprzeczkę z d'Artagnanem, a ponieważ widzieli ich wychodzących obydwóch, domyślili się, co zaszło, i nadbiegłszy z dobytą bronią wpadli na zwycięzcę.

Athos, Porthos i Aramis jednocześnie prawie także się tam znaleźli, i w chwili, gdy dwaj gwardziści rzucali się na młodzieńca, zmuszeni zostali przez nich do zmiany frontu.

Wtedy Bernajoux upadł; a ponieważ gwardziści w mniejszej byli liczbie, wołać poczęli w stronę pałacu de la Trémouille. Wszystko, co żyło w pałacu, na krzyk ten wyległo, waląc się hurmem na czterech towarzyszów, którzy ze swej strony wołali:

– Do nas, muszkietery!

Krzyki podobne nierzadko słyszeć się dawały; znano muszkietarów, jako nieprzyjaciół eminencji, i za nienawiść, jaką dla kardynała żywili, kochano ich powszechnie. Dlatego straż

z innych oddziałów, nie należących do Czerwonego księcia, jak go mianował Aramis, była w ogólności po stronie muszkietierów króla. Z trzech też żołnierzy z oddziału pana Desesarts, którzy przechodzili tamtędy, dwóch nadbiegło na pomoc walczącym, gdy trzeci popędził w stronę pałacu pana de Tréville, krzycząc: „Do nas, muszkietery, do nas!” Jak zwykle, dom pana de Tréville pełen był żołnierzy tej broni, nadbiegli więc na ratunek kolegom. Zamieszanie stało się ogólne, a przeważająca siła była po stronie muszkietierów. Gwardziści kardynała i ludzie pana de la Trémouille schronili się więc do pałacu, w sam czas bramy pozamykawszy za sobą, by przeszkodzić nieprzyjacielowi wtargnąć tam jednocześnie z nimi. Od razu zaś tam przeniesiony został ranny Bernajoux i to w stanie bardzo niebezpiecznym.

Wzburzenie pomiędzy muszkietierami i sprzymierzeńcami ich doszło do najwyższego stopnia, naradzano się już pomiędzy sobą, czyby dla ukarania zuchwalstwa domowników pana de Trémouille, którzy rzucili się na muszkietierów królewskich, nie podłożyć ognia pod jego pałac. Myśl ta została podjęta z zapalem, gdy na szczęście wybiła godzina jedenasta, przypominając d'Artagnanowi i towarzyszom jego posłuchanie u króla, a ponieważ przykro by im było gdyby czyn tak piękny odbył się bez ich współudziału, namówili wszystkich do zaniechania zemsty.

Poprzestano też na rzuceniu kilku kamieni w bramy pałacu, bez skutku jednak: bramy nie ustąpiły. Pierwszy impet opuścił już atakujących, tembardziej, że ci, których mieli za swoich

przywódców, odłączyli się od oblegających, podążając w stronę pałacu pana de Tréville, który, powiadomiony o awanturze, już na nich oczekiwał.

– Prędko, co tchu, do Luwru!... – zawołał – do Luwru!... ani chwili nie tracić. Postarajmy się z królem zobaczyć, zanim uprzedzi nas kardynał; opowiemy zdarzenie to królowi, jako dalszy ciąg sprawy wczorajszej i razem się to połączy.

Wyruszyli więc do Luwru, pan de Tréville z czterema młodzieńcami; lecz jakież było zdziwienie kapitana muszkietarów, gdy oznajmiono, że król wyjechał do lasu Saint-Germain, aby polować na jelenie. Po dwakroć powtórzyć sobie kazał tę wiadomość, i za każdym razem towarzysze jego widzieli, jak mu się twarz zachmurzała.

– Czy Jego Królewska Mość już wczoraj miał zamiar być na polowaniu?

– Nie, ekscelencjo – odrzekł pokojowiec – lecz główny nadzorca sfor królewskich oznajmił mu rano, iż nocy dzisiejszej odkryto legowisko jelenia. Zrazu odpowiedział, że nie pojedzie, później nie mógł się oprzeć przyjemności, jaką obiecywało polowanie i, zjadłszy obiad, pojechał.

– A czy widział się król z kardynałem?

– Prawdopodobnie – odparł pokojowiec – bo rano zauważyłem zaprzężoną kareta jego eminencji, i mówiono mi, że jedzie do Saint-Germain.

– Uprzedzono nas... – rzekł pan de Tréville – Panowie, ja będę dziś u króla wieczorem; ale wam nie radzę tego próbować.

Przestroga była rozumna, nade wszystko, iż pochodziła od człowieka, aż nadto dobrze znającego króla, więc czterej młodzieńcy zawierzyć jej mogli. Pan de Tréville polecił im wrócić do siebie i oczekiwać od niego wiadomości. Pan de Tréville, powróciwszy do domu, wpadł na myśl, że należałoby jemu pierwszemu zanieść skargę. Wysłał jednego z domowników z listem do pana de la Trémouille, w którym go prosił o wydalenie ludzi swych za zuchwalstwo, jakiego się dopuścili względem muszkietarów. Lecz pan de la Trémouille, uprzedzony już przez koniuszego, który był krewnym Bernajoux, odpowiedzieć mu kazał, że ani panu de Tréville, ani muszkietarom, skarżyć się nie należy, ale przeciwnie jemu, na którego ludzi muszkietarowie napadli, a pałac jego chcieli puścić z dymem. Ponieważ rokowania pomiędzy dwoma panami przewlec by się mogły za długo, gdyż każdy przy swoim zdaniu obstawał, pan de Tréville wymyślił inny sposób załatwienia sprawy. Postanowił sam się udać do pana de la Trémouille.

Pojechał więc natychmiast i kazał się oznajmić.

Dwaj dostojnicy powitali się grzecznie, bo, choć nie byli przyjaciółmi, szanowali się wzajemnie. Obydwaj byli ludźmi zacnymi i honorowymi: a że pan de Trémouille, jako protestant i nie często widujący króla, nie należał do żadnego stronnictwa, nie powodował się też w stosunkach towarzyskich w ogólności żadnymi uprzedzeniami. Tym razem jednak przyjęcie, jakkolwiek grzeczne, było chłodniejsze, niż zwykle.

– Panie – rzekł Tréville – obaj sądzimy, że mamy sobie coś do wyrzucenia, sam więc przychodzę, abyśmy wspólnie wyświetili tę sprawę.

– Jak najchętniej – odpowiedział pan de la Tremouille – ale uprzedzam pana, iż dobrze jestem powiadomiony, a cała wina spada na pańskich muszkieterów.

– Zanadto sprawiedliwym jesteś pan człowiekiem i zanadto rozumnym – rzekł pan de Tréville – abyś nie przyjął propozycji, jaką mam mu uczynić.

– Mów pan, słucham.

– Jak się miewa pan Bernajoux, krewny koniuszego pańskiego?

– Ależ, panie, źle bardzo. Prócz pchnięcia rapirem w ramię, niezbyt zresztą groźnego, ma jeszcze płuca przebite, tak, że doktor bardzo na to głową kręci.

– Czy ranny zachował przytomność?

– Najzupełniej.

– I mówi?

– Z trudnością, jednakże mówi.

– Chodźmy zatem do niego i zaknijmy go na Boga, przed którego sądem niedługo może stanąć, aby wyznał prawdę. Gotów jestem wziąć go na sędziego we własnej jego sprawie, a w to, co powie, uwierzę święcie.

Pan de la Trémouille zastanowił się chwilę, później, skoro nie było nad tę rozumniejszej propozycji, zgodził się na nią.

Zeszli obydwaj do pokoju, gdzie leżał ranny. Ten, skoro

ujrzał dwóch wielkich panów, przychodzących do niego, usiłował podnieść się na łóżku, lecz słaby, wyczerpany wysiłkiem, opadł na posłanie, prawie nieprzytomny.

Pan de Trémouille podszedł do niego i dał mu powąchać soli, które go otrzeźwiły. Wtedy pan de Tréville, nie chcąc, aby go posądzano, że chce na chorego wpływać, prosił pana de la Trémouille, iżby go sam wybadał.

Stało się tak, jak pan de Tréville przewidział. Zawieszony pomiędzy życiem i śmiercią, Bernajoux ani na chwilę nie myślał zataić prawdy i opowiedział dokładnie wszystko, jak się odbyło.

Niczego też więcej nie mógł pan de Tréville żądać; życząc zatem Bernajoux prędkiego wyzdrowienia, pożegnał pana de la Trémouille, powrócił do domu, i dał znać czterem przyjaciołom, że czeka na nich z obiadem.

Pan de Tréville przyjmował u siebie towarzystwo wyborowe, przede wszystkim przeciwkardynalskie. Łatwo więc pojąć, iż w ciągu całego obiadu rozmowa toczyła się o porażkach gwardzistów Jego eminencji. Nadto, ponieważ bohaterem ostatnich dwóch dni był d'Artagnan, wszystkie więc pochwały spadły na niego. Athos, Porthos i Aramis pozostawili mu używanie ich w pełni, nie tylko jako dobrzy koledzy, lecz jako ludzie, dla których pochwały nie były rzadkością.

Około szóstej pan de Tréville oznajmił, iż nadszedł czas udać się do Luwru. Ponieważ wszakże minęła już godzina, oznaczona na posłuchanie przez Najjaśniejszego pana, zamiast więc wejść bocznymi schodami, podążył wraz z czterema młodymi ludźmi

przez przedpokój.

Król nie powrócił jeszcze z polowania. Gdy już pół godziny czekali pośród tłumnie zebranych dworzan, wszystkie drzwi rozwarły się nareszcie i oznajmiono Jego Królewską Mość. Dreszcz do szpiku przejął d'Artagnana. Zbliżała się chwila, mająca stanowić o jego życiu. Przerażone spojrzenie utkwił w drzwiach, w których król miał się ukazać.

Pierwszy wszedł Ludwik XIII w stroju myśliwskim, pokryty pyłem; na nogach miał długie buty, a w ręce trzymał harapnik. Na pierwszy rzut oka poznał d'Artagnan, że w umyśle królewskim zanosilo się na burzę.

Jakkolwiek usposobienie to jawne było u Jego Królewskiej Mości, nie przeszkodziło dworakom ustawić się w rząd przy jego przejściu. W przedpokojach królewskich lepiej jest być widzianym bodaj zagniewanym wzrokiem, niż nie być widzianym wcale.

Trzej też muszkietierowie, bez wahania wystąpili naprzód, gdy przeciwnie d'Artagnan pozostał za nimi ukryty. Król, chociaż osobiście znał Athosa, Porthosa i Aramisa, przeszedł, nie patrząc na nich, nie odzywając się, jakby ich nie znał i nie widział nigdy. Tréville zaś, gdy oczy królewskie spoczęły na nim przez chwilę, spojrzenie ich tak śmiało wytrzymał, że zmusił króla do odwrócenia się od niego; poczem Jego Królewska Mość, mrużąc gniewnie, wszedł do swoich apartamentów.

– Kiepska sprawa – rzekł Athos z uśmiechem – tym razem jeszcze nie zrobią nas kawalerami orderu.

– Poczekajcie tu dziesięć minut – rzekł pan de Tréville – jeśli po upływie tego czasu nie ujrzycie mnie, z powrotem wracajcie do mego pałacu, na próżno bowiem czekalibyście na mnie.

Czekali więc dziesięć minut, kwadrans, dwadzieścia minut, a widząc, że pan de Tréville nie pokazuje się, wyszli zaniepokojeni mocno tem, to wyniknąć mogło.

Pan de Tréville śmiało wszedł do gabinetu króla i zastał go w bardzo złym humorze, siedzącego w fotelu i bijącego się po butach ręką i stopą. Nie przeszkodziło mu to wszakże z największą flegmą zapytać o zdrowie Jego Królewskiej Mości.

– Nie tęgie, mój panie, me tęgie – odrzekł król – nudzę się!...

Była to w rzeczywistości najgorsza choroba Ludwika XIII, który często brał dworzan swoich i prowadził do okna, mówiąc: Panie taki a taki, ponudźmy się razem.

– Jakto? Nudzi się Wasza Królewska Mość! Czyż Najjaśniejszy Pan nie używał dziś przyjemności polowania?

– Piękna mi przyjemność! Wszystko wyradza się, mój panie, i nie wiem, na honor, czy to zwierzyna tropu me zostawia, czy psy jus wężu nie mają. Szczujemy rogacza o dziesięciu gałęziach, sześć godzin upędzamy się za nim, i kiedy go już mamy nieledwie, a Saint-Simon przytyka róg do ust, by pojezdnego zatrąbić, trach! cała sfera leci w inną stronę i puszcza się za dwulatkiem. Zobaczysz, iż zmuszony będę wyrzec się polowania z psami, jak wyrzekłem się polowania z sokołami. O! jestem nieszczęśliwym królem, panie de Tréville! jednego tylko sokoła miałem, i ten zdechł mi przedwczoraj.

– Pojmuję tę rozpacz, Najjaśniejszy Panie, wielkie to nieszczęście, lecz o ile mi się zdaje, pozostało jeszcze sporo jastrzębi i kobusów.

– A żywej duszy nie ma, aby ich uczyła; brak już sokolników, ja tylko pozostałem jeden, znający tę sztukę. Jak mnie nie stanie, już będzie po wszystkim, polować będą z pomocą siatek i dołów. Gdybym miał czas wykształcić uczniów! a tak!... od czegoż pan kardynał, który mi obecnie ani chwili spoczynku nie pozostawia, i prawi mi o Hiszpanji, o Austrii, o Anglii! Ale, ale! co do pana kardynała, panie de Tréville, niezadowolony jestem z ciebie!

Pan de Tréville oczekiwał tego zwrotu. Znał on króla na wylot; zrozumiał, że wszystkie te skargi były tylko przedmową, rodzajem bodźca, dla dodania sobie odwagi, i że skończy on na tem, na czem chciał zakończyć.

– Czemże miałbym nieszczęście niezadowolić Waszej Królewskiej Mości? – zapytał de Tréville, udając najgłębsze zdziwienie.

– Tak to, mój panie, spełniasz swój obowiązek? – ciągnął dalej król, nie odpowiadając na zapytanie pana de Tréville – na toż mianowałem cię kapitanem muszkieterów, aby mordowali oni człowieka, podburzali dzielnicę i chcieli Paryż spalić? Spodziewam się, iż wicherzyciele siedzą już w więzieniu i przychodzisz oznajmić mi, że sprawiedliwość została wymierzona.

– Najjaśniejszy Panie – spokojnie odpowiedział Tréville –

przeciwnie, przychodzę jej domagać się od ciebie.

– A przeciw komu? – wykrzyknął król.

– Przeciw potwarcom.

– A! to coś nowego!... – odezwał się król. – Może mi powiesz, że trzech tych potępieńców muszkieterów twoich, Athos, Porthos i Aramis, wraz z owym bearneńskim młokosem, nie napadło, jak wściekli, na biednego Bernajoux i nie sponiewierało go tak, że prawdopodobnie kona już w tej chwili! Powiesz mi może, że nie obiegli następnie pałacu księcia de la Trémouille i nie chcieli go spalić, co nie byłoby wielkim nieszczęściem w czasie wojny, boć to gniazdo hugonotów, lecz w czasie pokoju... przykład paskudny. Może zaprzeczysz temu wszystkiemu?

– Któż to ułożył tę piękną bajkę, Najjaśniejszy Panie? – spokojnie zapytał Tréville.

– Kto mi ją opowiedział? a któżby, jeżeli nie ten, który czuwa, gdy ja zasypiam, pracuje, gdy ja się bawię, który wszystkim kieruje wewnątrz i zewnątrz w królestwie, we Francji, jako też i w Europie.

– Wasza Królewska Mość mówi o Bogu zapewne – rzekł Tréville – gdyż jednego Boga znam tylko, który potęgą przewyższa władzę Waszej Królewskiej Mości.

– Nie panie, ja tu mówią o podporze państwa, o jedynym słudze moim, przyjacielu, o panu kardynale.

– Jego Eminencja nie jest przecież jego świętobliwością, Najjaśniejszy Panie.

– Co pan przez to rozumiesz?

– Że papież tylko jest nieomylny, a nieomylność na kardynałów się nie rozciąga.

– Chcesz przez to powiedzieć, że mnie oszukuje i zdradza? Oskarżasz go? Słuchaj, powiedz mi, wyznaj szczerze, że go oskarżasz.

– Nie, Najjaśniejszy Panie, ja tylko mówię, że on sam się myli; mówię, że źle jest powiadomiony, że pilno mu było oskarżyć muszkietierów Waszej Królewskiej Mości, dla których jest bardzo niesprawiedliwy, i dlatego z nieczystych źródeł czerpał wiadomości.

– Oskarżenie wyszło od pana de la Trémouille, od niego samego. I cóż mi na to odpowiesz?

– To tylko mógłbym odpowiedzieć, Najjaśniejszy Panie, że nadto jest on zainteresowany w tej kwestji, aby w niej być świadkiem bezstronnym; lecz dalekim od tego jestem, znam go, jako szlachcica prawego i najzupełniej zdaję się nań, lecz pod jednym warunkiem, Najjaśniejszy Panie.

– Pod jakim?

– Iż Wasza Królewska Mość wezwie go do siebie, sam wybada, bez świadków, w cztery oczy, i że, po odejściu księcia, odwiedzę niezwłocznie Was, Najjaśniejszy Panie.

– Niech i tak będzie – niechętnie odburknął król i zgodzisz się na to, co powie pan de la Trémouille?

– Tak, Najjaśniejszy Panie.

– Zdajesz się na jego sąd?

– Najzupełniej.

– La Chesnaye! – zawołał król – la Chesnaye!

Zaufany pokojowiec Ludwika XIII, u drzwi zawsze stojący, wszedł.

– La Chesnaye – rzekł doń król – posłać natychmiast po pana de la Trémouille; dziś jeszcze mam z nim do pomówienia.

– Czy daje mi Wasza Królewska Mość słowo, iż z nikim widzieć się nie będzie, pomiędzy moją a pana de la Trémouille bytnością?

– Z nikim, słowo szlacheckie.

– Zatem, Najjaśniejszy Panie, do jutra.

– Do widzenia, panie de Tréville.

– O której godzinie, jeżeli łaska Waszej Królewskiej Mości?

– O której ci się podoba.

– Przyjściem zawczesnem obawiam się obudzić Waszą Królewską Mość.

– Obudzić?... mnie? Alboż ja kiedy śpię? Nie sypiam już teraz, mój panie; drzemię czasami, i na tem koniec. Przyjdź więc, jak chcesz rano, choćby o siódmej; ale strzeż się, jeżeli muszkietierowie twoi zawinili!...

– Jeżeli są winni, Najjaśniejszy Panie, oddani będą w ręce Waszej Królewskiej Mości i postąpisz z nimi, jak uznasz za właściwe. Czy Wasza Królewska Mość ma jeszcze co mi rozkazać? Słucham i spełnić jestem gotów.

– Nie, panie, nie, i nie bez racji nazwano mnie Ludwikiem Sprawiedliwym. Do jutra zatem, panie, do widzenia.

– Niechaj Bóg strzeże Waszą Królewską Mość.

Jakkolwiek nietęgo sypiał król, pan de Tréville gorzej jeszcze spał tej nocy. Wieczorem jeszcze kazał zawiadomić trzech muszkietarów i towarzysza ich, aby stawili się u niego o wpół do siódmej z rana. Zabrał ich z sobą, za nic nie ręcząc, nic nie obiecując i nie ukrywając wcale, że o łaskę królewską dla nich i dla niego kości zostały rzucone.

Przyszedszy do schodów bocznych, kazał im się zatrzymać. W razie gdyby król trwał w gniewie na nich, odeszliby, niewidziani; jeżeli zaś zgodzi się ich przyjąć, lepiej, że będą pod ręką.

Wszedszy do prywatnego przedpokoju króla, pan de Tréville zobaczył la Chesnaya, który oznajmił mu, że wczoraj wieczorem nie zastano pana de la Trémouille w domu, a powrócił za późno, aby stawić się w Luwrze, teraz więc przyszedł dopiero i jest właśnie u króla. Okoliczność ta bardzo była na rękę panu de Tréville, upewniło go to bowiem, iż żaden wpływ obcy nie wślizgnął się pomiędzy nim a zeznaniem pana de la Trémouille.

Dziesięć minut upłynęło zaledwie, drzwi od gabinetu królewskiego otworzyły się, i wyszedł pan de la Trémouille, a zobaczywszy pana de Tréville, zbliżył się do niego i rzekł:

– Panie, Jego Królewska Mość posłał po mnie, aby wypytać, jak się rzeczy miały wczoraj rano w moim pałacu. Opowiedziałem mu prawdę, czyli, że wina była po stronie moich ludzi i gotów jestem wytłómaczyć się panu. Ponieważ spotykam pana, zechciej proszę przyjąć moje oświadczenie i uważać mnie za jednego ze swoich niezmiennych przyjaciół.

– Mości książę – odpowiedział Tréville – tak mocno ufałem w twoją prawość, że nie chciałem innego obrońcy przed królem, prócz ciebie samego. Widzę, że nie łudziłem się bynajmniej i dzięki ci za to, że jest jeszcze we Francji człowiek, o którym śmiało można powiedzieć to, co o panu mówię.

– Dobrze, dobrze – odezwał się wtem król, który słuchał tej grzecznej rozmowy, stojąc we drzwiach – powiedz mu tylko Tréville, ponieważ przyjacielem twoim się mieni, że i ja także chciałbym do przyjaciół jego się zaliczać, lecz on mnie zaniedbuje, trzy lata blisko nie widziałem go, i widzę tylko wtedy, kiedy sam po niego poślę. Powiedz mu to ode mnie, bo są to rzeczy, których król sam nie powinien mówić.

– Dzięki Najjaśniejszy Panie, dzięki – odpowiedział książę – lecz proszę wierzyć, nie mówię tu o panu de Tréville, proszę wierzyć, że nie ci, których Wasza Królewska Mość o każdej godzinie dnia widuje, najwięcej mu są oddani.

– A! usłyszałeś, com powiedział, tem lepiej – podchwycił król, stając we drzwiach. – Jak się masz, Tréville, gdzie są twoi muszkietierowie? Powiedziałem ci przedwczoraj, żebyś mi ich przyprowadził, czemużeś tego nie uczynił?

– Są na dole, Najjaśniejszy Panie i, za zezwoleniem twojem, la Chesnaye powie im, aby tu weszli.

– Dobrze, dobrze, niech przyjdą tu zaraz; niedaleko już ósma, a o dziewiątej czeka mnie wizyta. Idź już, mości książę, ale przede wszystkim powracaj. Chodź, Tréville.

Książę skłonił się i wyszedł. W chwili, kiedy otwierał drzwi,

trzej muszkietierowie z d'Artagnanem ukazali się na schodach.

– Pójdźcie tu, zuchy, pójdźcie, muszę was wyłajać – odezwał się król.

Muszkietierowie zbliżyli się z ukłonami; za nimi postępował d'Artagnan.

– Cóż, u diabła – ciągnął dalej król – czterech was jest, a w przeciągu dwóch dni uczyniliście już siedmiu gwardzistów jego eminencji, niezdolnymi do walki. To za wiele panowie, za wiele. Gdyby tak poszło dalej, jego eminencja za trzy tygodnie byłby zmuszony starać się o nowe uzupełnienie swoich zastępów, a ja obostrzyć moje rozkazy. Nie mówię, gdyby tak jeden gwardzista przypadkiem; ale siedmiu w przeciągu dwóch dni, to za wiele, powtarzam, za wiele.

– Oni też, Najjaśniejszy Panie, przychodzą, pełni smutku i żalu, usprawiedliwić się przed Waszą Królewską Mością.

– Pełni smutku i żalu! Hm! – odezwał się król – wcale ja nie wierzę tym obłudnikom, a nade wszystko temu obliczu gaskońskiemu. Chodź no tu, mój panie.

Zrozumiał d'Artagnan, że się to do niego stosuje, i podszedł, przybierając minę, jak można najrozpaczliwszą.

– Cóżżeś mi mówił, że to młodzieniec? to dzieciak, Trévillu, istny dzieciak! I to on tak pokiereszował Jussaca?

– I po dwakroć tak pięknie naszpikował Bernajoux.

– Doprawdy!

– Nie licząc już tego – wtrącił Athos – że gdyby mnie był nie wyrwał z rąk Bicarata, z pewnością nie miałbym w tej chwili

zaszczytu złożyć najuniżeńszego pokłonu Waszej Królewskiej Mości.

– Ależ to szatan wcielony z tego bearneńczyka, do stu par kaduków! panie de Tréville. jakby to powiedział król, ojciec mój. Przy takim rzemiośle musi się siłę kaftanów dziurawić i siłę rapirów łamać. A wiadomo, iż gaskończycy zawsze są goli, nieprawdaż?

– Najjaśniejszy Panie, muszę to powiedzieć, że nie odkryto jeszcze kopalni złota w ich górach, jakkolwiek cud ten należałby im się od Stwórcy, w nagrodę za mężne popieranie sprawy ojca Waszej Królewskiej Mości.

– To znaczy, że gaskończycy i mnie królem zrobili, nieprawdaż, Trévillu, skoro synem swojego ojca jestem? Ha! niech i tak będzie, nie przeczę. La chesnaye, idź no zobacz, czy przetrząsnąwszy wszystkie moje kieszenie, znajdziesz czterdzieści pistolew; a jeżeli je znajdziesz, to mi je przynieś. A teraz, słuchaj, młodzieńcze, tak, z ręką na sercu, jakże to było?

D'Artagnan opowiedział wypadki dnia poprzedniego ze wszelkimi szczegółami: jak nie mogąc zasnąć z radości na myśl oglądania Jego Królewskiej Mości, przyszedł do swoich przyjaciół na trzy godziny przed posłuchaniem; jak udali się razem do domu gry, i jak dlatego, że obawiał się uderzenia piłką w twarz, wyszydzony został przez Bernajoux i wreszcie, jak ten swoich drwinek o mało co życiem nie przyplącił, a pan de la Trémouille, który nie zawinił niczem, o mało co nie postradał pałacu.

– To dobrze – mruknął król – tak, i książę opowiadał to samo. Biedny kardynał! siedmiu ludzi w przeciągu dwóch dni, i to najdroższych swoich: ale dosyć już tego. Panowie, słyszycie! dosyć: zapłaciliście sobie za ulicę Feron i powinniście już być zadowoleni.

– Jeśli Wasza Królewska Mość jest zadowolona – rzekł Tréville – to i my także.

– Tak, jestem zadowolony – rzekł król, biorąc garść złota z ręki la Chesnaya, i kładąc je do ręki d’Artagnana. – A oto – rzekł – dowód mojego zadowolenia.

W owych czasach pojęcia godności, dziś tak rozpowszechnione, nie było jeszcze w modzie. Szlachcic brał pieniądze królewskie, bynajmniej nie czując się upokorzonym. D’Artagnan więc bez żadnych ceregieli schował pieniądze do kieszeni, rozwodząc się w podziękowaniach dla Jego Królewskiej Mości.

– No – rzekł król, spoglądając na zegar – a teraz, kiedy już jest wpół do dziewiątej, oddalcie się; bo, jak wam mówiłem, oczekuję kogoś o dziewiątej. Dziękuję za przywiązanie wasze, panowie. Wszak mogę na nie liczyć, nieprawdaż?

– O! Najjaśniejszy Panie – jednym głosem wykrzyknęli trzej towarzysze – na ćwierci porąbać się damy dla Waszej Królewskiej Mości.

– Dobrze, dobrze, pozostaniecie jednak cali, to lepiej, bo będziecie mi użyteczni. Tréville – dodał król półgłosem, kiedy tamci czterej oddalili się – skoro nie masz miejsca

w muszkietkach, a zresztą postanowiliśmy, że dla wejścia do zgromadzenia tego trzeba odbyć nowicjat, umieść tego młodzieńca w kompanji pana Dessesarts, twojego szwagra. A! do licha! Trévillu, jak ja się cieszę na myśl o krzywej minie kardynała; będzie wściekły, ale wszystko mi jedno, jestem w swoim prawie.

I pożegnał skinieniem ręki pana de Tréville, który dopędził swoich muszkietarów i zastał ich dzielących się z d'Artagnanem czterdziestoma pistolami. A kardynał, jak powiedział król, wściekły był rzeczywiście, tak wściekły, że przez tydzień cały nie bywał na szachach u króla, co temu ostatniemu nie przeszkadzało najuprzejmiej uśmiechać się do niego i przy każdym spotkaniu najpieszczotliwszym głosem zapytywać:

– I cóż, panie kardynale, jak się miewają ten twój biedak Bernajoux i ten nieszczęśliwy Jussac?

Rozdział VII. Muszkietierowie u siebie

D'Artagnan, wyszedłszy z Luwru, zasięgnął rady przyjaciół, jaki użytek powinienby zrobić z pozostałej dla niego części czterdziestu pistoletów. Athos radził mu, aby wyprawił ucztę w gospodzie Pomme de-Pin, Porthos, aby przyjął lokaja, Aramis zaś, aby postarał się o milutką kochankę.

Tegoż dnia jeszcze odbyła się uczta, a lokaj już usługiwał do stołu. Potrawy dysponował Athos, lokaja Porthos nastreczył. Był nim pikardyjczyk, najęty na poczekaniu przez pełnego próżności muszkietera, który zdybał go na moście de la Tournelle, jak zabawiał się robieniem kółek na wodzie, plując na jej powierzchnię. Porthos utrzymywał, iż takie zajęcie dowodzi umysłu zastanawiającego się, rozważnego i sprowadził go bez żadnej innej rekomendacji. Wspaniała postać szlachcica, który, jak się zdawało lokajowi, przyjął go dla siebie, mocno zachęciła Plancheta – tak się nazywał pikardyjczyk – lekkiego wszakże doznał rozczarowania, gdy ujrzał, że miejsce zajęte już było przy szlachcicu przez innego sługusa, nazwiskiem Mousqueton, i gdy Porthos dał mu do zrozumienia, że jakkolwiek dom swój prowadzi na wielką skalę, nie potrzebuje dla siebie dwóch służących, a dla niego jest służba u d'Artagnana, rad nie rad tę służbę jednak przyjął. Wszelako, gdy usługiwał przy obiedzie, który pan jego wydawał, i zobaczył jak ten przy płaceniu, złotem sypie z kieszeni, uwierzył, że ma już los

zapewniony i dziękował niebu, że dostał się do takiego Krezusa; w tem przekonaniu trwał aż do końca uczyty, której resztkami wynagrodził sobie długą i przymusową wstrzemięźliwość. Gdy jednak wieczorem przyszło mu posłać łóżko dla swego pana, pierzchły złudzenia Plancheta. Jedynym sprzętem w mieszkaniu było łóżko, apartament zaś składał się z pokoju sypialnego i przedpokoju. W tym ostatnim położył się Planchet na kołdrze, wyciągniętej z łóżka d'Artagnana, bez której biedny pan jego musiał się odtąd obchodzić.

Co do Athosa, miał on pacholka, którego sam wykształcił do usług w sposób sobie właściwy, a zwał się on Grimaud.

Athos był zwykle milczący. W najściślejszej żył przyjaźni z kolegami swymi, Porthosem i Aramisem, a od lat sześciu blisko widzieli i często uśmiech na jego ustach, lecz śmiechu nie słyszeli nigdy. Mowa jego była zwięzła i jasna, wyrażająca to tylko, co chciał powiedzieć ale nigdy więcej, bez żadnych ubarwień, omówień ani przenośni.

Chociaż miał zaledwie trzydzieści lat i piękny był umysłem i ciałem, nikt nigdy nie słyszał, aby miał kiedykolwiek kochankę. O kobietach nie mówił nigdy. Nie przeszkadzał gawędom o nich w swej obecności, łatwo jednak było spostrzec, że ten rodzaj rozmowy nie podoba mu się wcale i, jeżeli wtrącił słówko, to pełne goryczy i zniechęcenia. Ta skrytość, dzikość i milczenie czyniły go starcem nieledwie. Ażeby też nie uchybić swoim zwyczajom, nauczył Grimauda spełniać rozkazy za najmniejszym jego gestem lub ust poruszeniem. Mówił do niego,

lecz tylko w wyjątkowych okolicznościach.

Grimaud, który bał się pana, jak ognia, pomimo szczerego przywiązania do jego osoby i czci, nieraz sądząc, że jak najlepiej życzenia jego rozumie, pędził za rozkazem, spełniając go wprost przeciwnie. Wtedy Athos wzruszał ramionami i bez gniewu brał się do ćwiczenia Grimauda. W tych razach język mu się trochę rozwiązywał.

Porthos, jak można było zauważyć, miał usposobienie zupełnie odmienne i nie tylko mówił dużo, ale i głośno, a oddajmy mu tę sprawiedliwość, że nie obchodziło go wcale, czy go kto słucha czy nie; paplanie sprawiało mu samo przez się przyjemność i z upodobaniem sam siebie słuchał; rozprawiał o wszystkim z wyjątkiem nauk, objawiając do nich zaszczepioną od dzieciństwa, jak mówił, nienawiść, którą żywił także i do uczonych. Powierzchowność jego nie dorównywała w dystynkcji Athosowi i w początkach znajomości poczucie własnej niższości często czyniło go niesprawiedliwym względem tego szlachcica, którego następnie przewyższyć usiłował świetnością ubioru. Lecz Athos w prostym kaftanie muszkieterskim z odrzuconą w tył głową i nogą wyciągniętą naprzód, w jednej chwili zabierał przynależne mu miejsce, na drugi plan usuwając nadętego Porthosa. Pocieszał się on jednak, napełniając przedpokój pana de Tréville i koszary Luwru rozgłosem swoich miłosnych awantur, o jakich Athos nie mówił nigdy. Teraz Porthos, przerzuciwszy się od mieszczanki do baronowej, już chwalił się księżną cudzoziemską, która mu

jakoby bezgraniczne okazywała względy.

Prysłowie stare mówi: jaki pan, taki sługa. Przejdźmy więc od pachotka Athosa do lokaja Porthosa, od Grimauda do Mousquetona.

Był to normadczyk, który z Bonifacego przechrzczony został przez pana swego na Mousquetona, dla lepiej brzmiącego imienia. Przyjął on u Porthosa służbę z warunkiem, że dostanie tylko mieszkanie i będzie ubierany wspaniale; dla siebie zaś wyłącznie żądał dwóch godzin dziennie, które poświęcał tajemniczemu przemysłowi, mającemu służyć na inne jego potrzeby. Porthos przyjął warunek, jako nader dogodny dla siebie. Kazał mu sporządzić nowe ubranie ze swoich starych kaftanów i nicowanych płaszczów, a dzięki sprytnemu krawcowi, który z łachmanów tych nowe rzeczy robił, i miał żonę, dla której podobno Porthos pozbywał się arystokratycznych nawyknień, Mousqueton przy boku swego pana wyglądał wcale pokaźnie.

Co do Aramisa, którego charakter przedstawiliśmy dostatecznie, a z biegiem wypadków poznamy go, jak i jego kolegów, jeszcze lepiej, służący jego zwał się Bazin. Dzięki nadziei, z jaką pan jego nie rozstawał się nigdy, iż zostanie księdzem, nosił się zawsze czarno, jak przystało na domownika osoby duchownej. Był to berryjczyk trzydziestopięcioletni, łagodny, cichy, tłuściutki, spędzający wolne chwile na czytaniu ksiąg świętych, dostarczanych mu przez pana, i sumiennie zjadający dwa obiady zamiast jednego, składające się z niewielu lecz obfitych potraw. Zresztą na wszystko ślepy, głuchy

i wierności wypróbowanej.

Gdyśmy poznali, powierzchownie przynajmniej, panów i sługi, przejdźmy do mieszkań przez nich zajmowanych.

Athos mieszkał przy ulicy Feron w pobliżu Luksemburgu; apartament jego składał się z dwóch pokojów, schludnie urządzonych, w domu meblowanym, którego właścicielka dość młoda i jeszcze piękna, nadaremnie słodkie oczy robiła do lokatora. Kilka zabytków świetnej przeszłości świeciło na ścianach tego skromnego mieszkanca, szpada, na przykład, złotem i srebrem bogato nabijana, kształtem sięgająca epoki Franciszka I-go, a rękojeść sama, bogato perłami i drogiemi kamieniami wysadzana, mogła mieć wartość dwustu pistołów conajmniej, jednakże Athos broni tej nigdy zastawić ani sprzedać nie chciał, nawet w najkrytyczniejszych chwilach życia.

Na szpadę tę Porthos przez długi czas łykał ślinkę, marzył o posiadaniu jej, choćby kosztem dziesięciu lat życia.

Pewnego razu, gdy miał schadzkę z jakąś księżną, zaproponował Athosowi, aby mu jej pożyczył. Ten, nie mówiąc nic, wypróżnił swe kieszenie, zebrał wszystkie kosztowności, woreczki, spinki i złote łańcuszki, i ofiarował Porthosowi; ale szpada, rzekł, przymocowana jest do miejsca i ruszona z niego nie będzie, dopóki pan jej mieszkania tego nie opuści. Prócz szpady był tam jeszcze wizerunek, przedstawiający wielkiego pana z czasów Henryka III-go, ubranego wytwornie z orderem Św. Ducha na piersiach; wizerunek ten miał z Athosem pewne podobieństwo rysów, podobieństwo rodzinne, które zdradzało,

że ten wielki pan, kawaler orderu króla, był jego przodkiem.

Na koniec skrzyneczka przepysznej roboty jubilerskiej, z temi samemi co szpada i portret herbami, zdobiła środek gzymsu kominka, stanowiąc rażący kontrast z innemi ozdobami. Athos nie rozstawał się z kluczykiem od niej. Razu pewnego otworzył ją w obecności Porthosa, a ten zobaczył wtedy, że skrzyneczka owa zawiera listy i dokumenty jedynie: listy miłosne i papiery familijne zapewne.

Porthos zajmował apartament obszerny i nader wspaniale wyglądający, przy ulicy du Vieux-Colombier. Ile razy przechodził z przyjaciółmi pod swemi oknami, gdzie Mousqueton w liberji jednym z nich wyglądał, Porthos podnosił w górę głowę i rękę, mówiąc: oto moje mieszkanie!

Lecz zastać go w domu nigdy nie było można, nikogo nie zapraszał i nikt nie miał pojęcia, ile zawierała bogactw rzeczywistych ta pozorna wspaniałość.

Aramis znowu zajmował mieszkancko małe, składające się z buduaru, sali jadalnej i sypialni, która, jak i inne pokoje, znajdowała się na parterze i wychodziła na ogródek świeży, zielony, cienisty i nieprzenikniony dla oczu sąsiadów.

O d'Artagnanie wiemy już, jak mieszkał, a z pacholkiem jego, jm. panem Planchet, zawarliśmy także znajomość.

D'Artagnan strasznie ciekawy z natury, jak wszyscy ludzie do intrygi zdolni, dokładał wszelkich usiłowań, by zbadać, czem są w rzeczywistości Athos, Porthos i Aramis; pod pseudonimami temi bowiem każdy z nich ukrywał nazwisko szlacheckie,

szczególniej Athos, od którego czuć było wielkiego pana; zwrócił się tedy do Porthosa z pytaniem o Athosa i Aramisa, Aramisa zaś o Porthosa zagadnął.

Nieszczęściem, Porthos nic pewnego nie wiedział o życiu milczącego towarzysza. Mówiono, iż nieszczęśliwym był srodze w sprawach miłosnych i że zdrada okrutna na zawsze zatrula mu życie. Jaka była ta zdrada? nikt o tem nie wiedział. Co do Porthosa, z wyjątkiem nazwiska, które tylko panu de Tréville było wiadome, tak samo jak i dwóch pierwszych, życie jego łatwe było do poznania. Próżny i papla, jak szkło przejrzeć go było można. Badacz mógł tylko zostać zbity z tropu, gdyby wierzył wszystkim jego przechwałkom.

Aramis znowu, wyglądający, jakby nic skrytego nie miał, był przeciwnie chłopcem, na wskroś tajemnicami przesiąkniętym, zbywał półsłówkami zapytania o innych, a wymijał te, które się do niego stosowały. Pewnego razu d'Artagnan po długich wypytywaniach o Porthosa, dowiedziawszy się o pogłosce, obiegającej co do miłosnych awantur muszkietera z jakąś księżną, zechciał się dowiedzieć o podobnych sprawkach Aramisa.

– A ty, drogi kolego – rzekł doń – co ty mówisz o tych baronowych, hrabinach, księżniczkach?

– Przepraszam – przerwał mu Aramis – mówiłem, bo sam Porthos to mówił, roztrąbił już wszystkie te piękne rzeczy przed wszystkimi i przede mną. Lecz wierzaj mi, drogi panie d'Artagnan, że gdybym słyszał to z innego źródła, lub choćby

sam on mi się zwierzył, nie byłoby spowiednika dyskretniejszego ode mnie.

– Nie wątpię – odparł d’Artagnan – zdaje mi się jednak ostatecznie, że sam także dość oswojony jesteś z herbami, o czym świadczy owa chusteczka haftowana, której zawdzięczam zaszczyt znajomości z tobą.

Tym razem nie rozgniewał się Aramis, przybrał tylko minkę jak najskromniejszą:

– Mój drogi, nie zapominaj, że mam zamiar wstąpić do stanu duchownego i że unikam wszelkiej światowości. Chusteczka, którą widziałeś, nie była mi powierzona, lecz zapomniana została u mnie przez jednego z moich przyjaciół. Zmuszony byłem zabrać ją, aby nie skompromitować jego i damy, którą kocha. Co do mnie, nie mam i nie chcę mieć kochanki, za przykładem Athosa, który tak samo, jak ja, postępuje.

– Lecz cóż u diabła! Księdzem nie jesteś, skoro jesteś muszkietерem.

– Muszkietерem tymczasowym, mój drogi, jak mówi pan kardynał, muszkietерem wbrew woli mojej, a w sercu jestem sługą kościoła, wierzaj mi, Athos i Porthos wpakowali mnie tu, aby mnie zająć, bo w chwili wyrzeczenia się ślubów miałem nieporozumienie maleńkie z... Lecz ciebie to nie obchodzi wcale i czas ci tylko zabieram.

– Bynajmniej, przeciwnie, to mnie zajmuje mocno, a na teraz nie mam nic a nic do roboty.

– Tak, ale ja muszę odmówić z brewiarza modlitwy –

odrzekł Aramis – potem kilka wierszy ułożyć na żądanie pani d’Aiguillon, a następnie pójść na ulicę Św. Honorego, aby kupić różu dla pani de Chevreuse; widzisz więc, drogi przyjacielu, że jeżeli tobie nie pilno, mnie się bardzo śpieszy.

Uściskał z czułością rękę przyjaciela i wyszedł.

Daremnie trudził się d’Artagnan, aby się czegoś więcej dowiedzieć o trzech swoich nowych znajomych. Postanowił zatem uwierzyć na razie w to, co o ich przeszłości mówiono, spodziewając się pewniejszych i szczegółowszych odkryć w przyszłości. Tymczasem Athosa uważał za Achillesa, Porthos był w wyobraźni jego Ajaksem, Aramis zaś Józefem biblijnym.

Zresztą życie młodzieńców wesoło płynęło: Athos grywał, lecz zawsze nieszczęśliwie, ale grosza jednego nie pożyczał od przyjaciół, choć kieszeń jego nieustannie była na ich usługi; a gdy zdarzyło mu się grać na słowo, budził wierzyciela swego o szóstę z rana, aby wczorajszy dług mu zapłacić.

Na Porthosa przychodziły chwile burzliwe; wówczas, jeżeli wygrywał, stawał się nieustraszony i wspaniały, a gdy szczęście go zawiodło, znikał bez śladu na dni kilka, poczem zjawiał się znowu z twarzą wymizerowaną i wydłużonym nosem, ale z kieszeniami, pełnymi pieniędzy.

Aramis nie grywał nigdy. Był z niego muszkieter nieszczęśliwy i współbiedak najmniej wesoły pod słońcem. Zawsze miał jakąś pracę lub zajęcie. Czasami w połowie obiadu, gdy każdy podochocony winem i podniecony rozmową liczył, że dwie lub trzy godziny zostanie jeszcze u stołu, Aramis

spoglądał na zegarek, wstawał z wdzięcznym uśmiechem i zęgnął towarzystwo, aby pójść, jak mówił, na naradę z pewnym kazuistą, z którym miał się spotkać. Innym razem znowu powracał do siebie, aby pisać rozprawę, i prosił przyjaciół, by mu nie przeszkadzali.

Athos uśmiechał się na to z czarującym wyrazem melancholji, tak przypadającym do jego szlachetnego oblicza, a Porthos pociągał z kieliszka, klnąc się, że Aramis niczem innym nie będzie, niż prostym plebanem wiejskim.

Planchet, pacholek d'Artagnana, ze spokojem znosił swoje położenie; dostawał trzydzieści su dziennie i przez miesiąc cały wracał do domu wesoły, jak czyżyk, i uległy dla swego pana. Kiedy jednak wiatr przeciwny począł dąć na ognisko domowe przy ulicy Grabarzy, czyli, gdy czterdzieści pistołów króla Ludwika XIII zostały prawie zjedzone, począł tak jęczeć i skarżyć się, że o nudności przypawił Athosa, Porthosa oburzył, a u Aramisa wywołał uśmiech wzgardliwego politowania.

Athos radził d'Artagnanowi, aby tego gbura odprawił, Porthos nalegał, aby przedtem oćwiczył, Aramis dowodził, że pan od służgi swego tylko uprzejmości wymagać powinien.

– Łatwo wam to mówić – odparł d'Artagnan – tobie, Athosie, który na migi rozumiesz się z Grimaudem, gadać mu zabraniasz, więc i złego słowa nie usłyszysz; łatwo tobie, Porthosie, bo prowadzisz życie świetne i dlatego bóstwem jesteś dla swego Mousquetona; Aramis znowu, zatopiony zawsze w studjach teologicznych, natchnął głęboką czią służę swego

Bazina, człowieka łagodnego i pobożnego. Ale ja, nie mający ani stanowiska, ani środków, ja, który nie jestem ani muszkietierem, ani gwardzistą, cóż pocznę, by natchnąć przywiązaniem, albo przejąc grozą lub szacunkiem mojego Plancheta?

– Rzecz to niemałej wagi – odpowiedzieli trzej przyjaciele – z lokajami, tak samo jak z kobietami, od razu należy postawić ich na tej stopie, na jakiej pozostać powinni. Musisz się więc zastanowić.

D’Artagnan zastanowił się i postanowił wygrzmocić Plancheta na zapas, co wykonane zostało sumiennie, jak wszystko, co spełnić zamierzył. Wreszcie, kiedy go już należycie oćwiczył, zabronił mu służbę opuszczać bez pozwolenia.

– Bo – dodał d’Artagnan – przyszłość zawieść mnie nie może, oczekuję niechybnie lepszych czasów dla siebie. Jeżeli więc zostaniesz przy mnie, los twój jest zapewniony, a zanadto dobrym panem jestem, abym ci miał w tem przeszkodzić, dając ci żadaną odprawę.

Ten sposób postępowania wzbudził w muszkietierach wielki szacunek dla dyplomacji d’Artagnana. Ze swej strony i Planchet uczuł się przejęty uwielbieniem i o rozstaniu nie było już mowy.

Pożycie czterech młodzieńców stało się wspólnem; d’Artagnan, jako przybysz z dalekiej prowincji, wrażliwy, jak zwykle natury młode i żywe, przyswoił sobie prędko nawyknięcia nowego otoczenia.

Wstawano o godzinie ósmej w zimie, o szóstej latem i udawano się po zlecenia na dzień bieżący, oraz po nowiny do

pana de Tréville. Jakkolwiek d'Artagnan nie był muszkietierem, pełnił jednak służbę z gorliwością godną uznania: zawsze był na warcie, bo nie odstępował nigdy tego z trzech przyjaciół, który ją odbywał.

Znano go w pałacu muszkietierów i uważano za dobrego kolegę. Pan de Tréville, który go na pierwszy rzut oka ocenił, prawdziwie przywiązał się do niego i nie przestawał polecać królowi. Trzej muszkietierowie kochali też bardzo młodego towarzysza. Przyjaźń, łącząca tych czterech ludzi, sprawiała, iż musieli widywać się trzy lub cztery razy dziennie, czy to chodziło o pojedynek, czy o inną sprawę, czy o jaką przyjemność; dość, że widziano ich goniących siebie, jak cienie, i spotykano odwiedzających się ustawicznie w drodze z Luksemburga na plac Ś-go Sulpicyusza, to znowu z ulicy du Vieux-Colombier do Luksemburga. Tymczasem pan de Tréville nie zaniedbywał przyrzeczeń. Pewnego pięknego poranku król wydał rozkaz panu Desessarts przyjęcia d'Artagnana, jako kadeta do swojej kompanji. Biedak, wzdychając, przywdział mundur kadecki, który rad był kosztem dziesięciu choćby lat życia zamienić na kaftan muszkieterski. Pan de Tréville przyrzekł mu tę łaskę, lecz dopiero po dwóch latach nowicjatu, który mógłby być skrócony wreszcie, gdyby się nadarzyła d'Artagnanowi sposobność oddania jakiej przysługi królowi lub spełnienia jakiego świetnego czynu. Wysłuchawszy tej obietnicy, oddalił się i nazajutrz rozpoczął swoją służbę.

Odtąd przysłała kolej na Athosa, Porthosa i Aramisą odbywać

wartę z d'Artagnanem za każdym razem, kiedy był na nią przeznaczony. W ten sposób kompanja pana Desessarts, zamiast jednego, zyskała czterech ludzi.

Rozdział VIII. Intryga dworska

Jednakże czterdzieści pistolów króla Ludwika XIII-go, równie jak wszystkie rzeczy świata tego, mające swój początek, musiały mieć i koniec, a sprawił on, iż czterej towarzysze wpadli w kłopoty. Z początku Athos podtrzymywał stowarzyszenie własnymi funduszami. Po nim nastąpił Porthos i, dzięki jednemu z tych zniknięć, które nie dziwiły już nikogo, starczył na potrzeby ogólne przez dwa tygodnie blisko. Na koniec przyszła kolej na Aramisa, z której wywiązał się jak najchętniej, mówiąc, iż dopomogło mu do tego sprzedanie kilku ksiąg teologicznych, za które otrzymał kilka pistolów. Po wyczerpaniu tych środków, udano się, jak zwykle, do pana de Tréville o udzielenie zaliczki na pensję; zaliczki takie nie mogły jednak daleko zaprowadzić trzech muszkieterów, mających moc rachunków zaległych i kadeta, który nie mógł jeszcze ich mieć wcale.

Gdy nareszcie zaskoczyła ich zupełna pustka, wysiłkiem ostatnim zgromadzono osiem czy dziesięć pistolów na grę dla Athosa. Niestety i gra go zawiodła: przegrał, co miał, a resztę, dwadzieścia pięć pistolów, na słowo.

Wtedy kłopot się zmienił w prawdziwą klęskę; widziano ich zgłodniałych, wraz z pachołkami, uwijających się po bulwarach i koszarach, czyhających na obiady dalszych przyjaciół swoich, bo, według Aramisa, powinno się w powodzeniu sypać na prawo i na lewo uctami, aby ich choć cząstkę zebrać można w niedoli.

Athos zaproszony został cztery razy i za każdym razem prowadził z sobą przyjaciół z ich pachołkami. Porthosowi trafiło się sześć podobnych okazji, z których dał korzystać i towarzyszom swoim: Aramis miał aż osiem. Był to człowiek cichy, ale był w stanie bez hałasu dużo zrobić. D'Artagnan zaś, nie znając w stolicy nikogo, jedno tylko znalazł śniadanie i to składające się tylko z czekolady, u księdza, swojego współziomka, i u pewnego korneta, który pysznie wystąpił, ale cóż, kiedy, jak powiedział Planchet, raz się tylko je, choćby się przytem najobficiej jadło. D'Artagnan czuł się więc nieco upokorzony, że miał tylko półtorej uczy do ofiarowania towarzyszom, boć czekoladę u księdza można było liczyć tylko za połowę. Sądził więc, że jest dla nich ciężarem, zapominając w dobrej wierze młodzieńczej, że to on właśnie żywił całe towarzystwo przez cały miesiąc. Skłopotany umysł jego począł pracować pilnie. Rozważył, że koalicja czterech ludzi młodych, walecznych, przedsiębiorczych i czynnych, winna mieć cel inny, prócz włóczenia się po przechadzkach, prócz lekcyj fechtunku i wybryków mniej lub więcej rozsądnych.

Rzeczywiście, czterech ludzi takich, jak oni, oddanych sobie, zaczawszy od kieszeni, a skończywszy na życiu, wspomagających się nieustannie, nie cofających się nigdy przed niczem, wykonywujących osobno lub razem postanowienia, powzięte wspólnie; cztery ramiona, grożące czterem pięściom kardynalskim, wszystko to powinno być bądź skrycie, bądź jawnie, podstępnie czy przebojem, finezją czy siłą, dać moc

przebijania sobie drogi do pożądanego celu, choćby był najbardziej daleki i najbardziej zakazany. To jedno tylko dziwiło d'Artagnana, że towarzysze jego nie pomyśleli o tem dotąd.

Pomyślał więc sam, i to bardzo poważnie, jaki nadać kierunek tej sile, w czwórnasób pomnożonej, w którą nie wątpił, jak Archimedes w swój lewar do poruszenia ziemi w jej posiadach, gdy wtem usłyszał lekkie pukanie do drzwi. Zbudził Plancheta i rozkazał mu otworzyć. Zbudził Plancheta, ale nie należy przypuszczać, że działo się to w nocy i było do dnia jeszcze daleko. Nie! Biła właśnie czwarta po południu, a dwie godziny przedtem Planchet przyszedł do swego pana domagać się obiadu, ten zaś odpowiedział mu przysłowiem: kto śpi, ten obiaduje. Planchet zatem obiadował, śpiąc.

Wszedł człowiek, wyglądający dość pospolicie, z miną mieszczanina.

Planchet na deser radby był usłyszeć chociaż rozmowę, lecz mieszczanin oświadczył d'Artagnanowi, że ma mu coś ważnego do powiedzenia i pragnie pomówić z nim sam na sam.

D'Artagnan odprawił więc Plancheta i poprosił gościa, aby usiadł.

Nastąpiła chwila milczenia, podczas której dwóch tych ludzi patrzyło na siebie, jak gdyby chcąc poznać się na wstępie, poczem d'Artagnan skłonił się na znak, że gotów jest wysłuchać tego, z czem gość przychodzi.

– Słyszałem o panu d'Artagnan, jako o dzielnym młodzieńcu – odezwał się mieszczanin – a rozgłos, jakiego pan używasz,

słusznie skłania mnie do powierzenia ci pewnej tajemnicy.

– Proszę pana – rzekł d'Artagnan, instynktownie przewąchując coś korzystnego.

Mieszczanin znowu przerwał, następnie począł mówić dalej:

– Mam żonę, która ma nadzór nad bielizną u królowej, a nie zbywa jej ani na rozsądku, ani na piękności. Ożeniłem się z nią, będzie temu trzy lata wkrótce, choć bardzo niewiele miała, ale ją proteguje ojciec chrzestny, pan de la Porte, szatny królowej.

– Cóż dalej? – zapytał d'Artagnan.

– Otóż! – począł znowu mieszczanin – otóż! mój panie, wczoraj z rana żona moja została porwana w chwili, gdy wychodziła z pracowni.

– A któż porwał pańską żonę?

– Na pewno nie wiem, lecz podejrzewam kogoś.

– Kogóż pan podejrzewasz?

– Mężczyznę, który krok w krok chodzi za nią od dawna.

– Do djabła!

– Ale pozwól pan sobie powiedzieć – ciągnął dalej mieszczanin – iż przekonany jestem, że w tem wszystkim mniej jest miłości, niż polityki.

– Mniej miłości, niż polityki – podjął d'Artagnan z miną zamyśloną – a co pan przypuszczasz?

– Nie wiem, czy powinienem mówić to panu...

– Ależ pozwól pan zwrócić sobie uwagę, że ja od ciebie nic zgoła nie żądam. Pan tu przychodzisz i pan powiedziałeś, iż chcesz mi powierzyć tajemnicę. Rób więc, jak ci się podoba,

możesz się pan jeszcze cofnąć.

– Nie, nie, wyglądasz pan na uczciwego młodzieńca, i czuję do pana zaufanie. Otóż sądzę, że moja żona została porwana nie z powodu miłostek swoich, lecz z powodu miłostek większej, niż ona damy.

– Ho! ho! czy nie chodzi tu przypadkiem o panią de Bois-Tracy? – odezwał się d’Artagnan, chcąc przed mieszczaninem popisać się, że wtajemniczony jest w sprawy dworskie.

– Wyżej, panie, wyżej!

– Panią d’Aiguillon?

– Jeszcze wyżej.

– Panią de Chevreuse?

– Wyżej, wyżej znacznie.

– O!... – d’Artagnan się zatrzymał.

– Tak panie – odpowiedział przerażony mieszczanin, tak cicho, że zaledwie można go było dosłyszeć.

– Z kim?

– A z kimże, jeśli nie z księciem de... Tak, panie! – odparł mieszczanin, nadając głosowi swojemu jeszcze bardziej głucho brzmienie.

– Lecz w jakiż sposób wiesz pan o tem wszystkim?

– A! w jaki sposób?

– Zapewne. Tylko bez półsłówek, albo rozumiesz pan...

– Wiem od mojej żony.

– Która wie o tem... od kogo?

– Od pana de la Porte. Nie mówiłem panu, że jest jego

chrześną córką, a pan de la Porte posiada zaufanie królowej! Umieścił ją zatem przy Jej Wysokości, aby biedna królowa nasza miała przynajmniej zwierzyć się komu, będąc opuszczoną przez króla, szpiegowaną przez kardynała i zdradzaną przez wszystkich.

– O! zaczyna się to wyjaśniać – odezwał się d’Artagnan.

– Otóż cztery dni temu żona moja do mnie przyszła, panie; odwiedzać mnie mogła dwa razy tygodniowo, a jak miałem zaszczyt powiedzieć panu, ona mnie bardzo kocha. Tymczasem żona zwierzyła mi się, że królowa ma wielkie obawy w tych czasach.

– Doprawdy?

– Tak. Pan kardynał widocznie śledzi ją i prześladowuje więcej, niż kiedykolwiek. Nie może jej przebaczyć historii z sarabandą. Pan zna tę historję?

– To dobre, nie miałbym jej znać! – odparł d’Artagnan, który nic zgoła nie wiedział, lecz udawał wtajemniczonego.

– I teraz nienawiść w zemstę się zamieniła.

– Doprawdy?

– I królowa jest przekonana...

– O czym?

– Że napisano w jej imieniu do księcia de Buckingham.

– W imieniu królowej?

– Tak, ażeby do Paryża go ściągnąć i w sidła jakie uwikłać.

– Lecz cóż, u diabła, ma z tem wspólnego żona pańska?

– Znają jej przywiązanie do królowej i chcą od jej pani

usunąć, lub zmusić, aby zdradziła tajemnicę Jej Wysokości i służyła za szpiega.

– Być może – odrzekł d'Artagnan – ale czy znasz pan człowieka, który ją porwał?

– Mówiłem już panu, iż zdaje mi się, że znam go.

– Jak się nazywa?

– Nie znam jego nazwiska, to tylko wiem, że to figura zaprzędana kardynałowi.

– Widziałeś go pan?

– Żona mi go pokazywała kiedyś.

– A ma on w sobie coś szczególnego, po czym możnaby go poznać?

– O! zapewne. Jest to mężczyzna postawy wyniosłej, brunet ogorzały z oczami przenikliwymi, białymi zębami i blizną na skroni.

– Z blizną na skroni! – krzyknął d'Artagnan – wszak to moja znajomość z Meung!

– Pan go znasz?

– Tak, tak, ale to nie należy do rzeczy. E! myślę się, to ją bardzo upraszcza, jeżeli bowiem obydwaj mamy z nim porachunki, dwie sprawy dadzą się załatwić za jednym zamachem. Gdzie można tego pana złapać?

– Nie wiem.

– I nie masz pan żadnych wskazówek, gdzie mieszka?

– Żadnych; pewnego razu, gdy odprowadzałem żonę do Luwru, wychodził stamtąd i właśnie mi go wtedy pokazała.

– Do djabła!... – mruknął d’Artagnan – wszystko to bardzo niejasne!... Od kogo dowiedziałeś się pan o porwaniu żony.

– Od pana de la Porte.

– Czy opowiedział panu jakie szczegóły?

– Nie, żadnych.

– A skądinąd nic się pan nie dowiedziałeś?

– I owszem, odebrałem...

– Co takiego?

– Nie wiem doprawdy... czy nie popełniam wielkiej niedorzeczności?...

– Znowu to samo!... pozwolę sobie jednak zwrócić uwagę pańską, że teraz cofać się już za późno.

– Ja się też nie cofam, do licha!... – zawołał mieszczanin, klnąc dla dodania sobie animuszu. – Zresztą, słowo uczciwości Bonacieux...

– Pan się nazywasz Bonacieux? – przerwał d’Artagnan.

– Tak, panie, to moje nazwisko.

– Przepraszam, że przerywam, lecz zdaje mi się, że jest mi ono znane.

– Być może, panie. Jestem właścicielem tego domu.

– O! o! – odezwał się d’Artagnan, na wpół powstając z siedzenia i z ukłonem – właścicielem tego domu?

– Tak, panie tak... A ponieważ trzy miesiące już mieszkasz u mnie i, zatopiony pewnie w swoich ważnych zajęciach, zapomniałeś zapłacić mi komornego, a ja wcale cię o to nie niepokoiłem ani na chwilę, myślałem, że będziesz miał wzgląd

na moją delikatność...

– A jakże, drogi panie Bonacieux – odparł d'Artagnan – wierzaj mi, iż przejęty jestem wdzięcznością za postępowanie podobne i mówię, iż skoro mogę ci być w czymś użyteczny...

– Wierzę panu, wierzę i, jak powiedziałem, słowo uczciwości Bonacieux! ufam ci zupełnie.

– Dokończ pan więc, co mówić zacząłeś.

Mieszczanin dobył z kieszeni papier i dodał d'Artagnanowi.

– List! – odezwał się tenże.

– Który odebrałem dziś z rana.

D'Artagnan otworzył go, a ponieważ poczynało się ściemniać, zbliżył się do okna. Mieszczanin postąpił za nim.

„Nie szukaj żony twojej – czytał d'Artagnan – odzyskasz ją, gdy potrzebować jej już nie będę. Jeżeli jeden krok zrobisz dla odnalezienia jej, jesteś zgubiony”.

– To dosyć stanowcze!... – ciągnął d'Artagnan – lecz koniec końców jest to tylko pogróżka.

– Tak... lecz pogróżka ta przeraża mnie; ja, panie, nie jestem wcale rycerzem i boję się Bastylji.

– Hm! – odezwał się d'Artagnan, – i mnie tyleż obchodzi Bastylja, co i pana. Gdyby tu tylko szło o machnięcie szpadą, mniejsza, ale...

– Jednakże ja na pana liczyłem wiele w tym razie...

– Doprawdy?

– Widząc cię, otoczonego nieustannie muszkietierami wspaniałej powierzchowności, i poznavszy, że to

muszkietierowie pana de Tréville, a zatem nieprzyjaciele kardynała, myślałem, że pan i jego towarzysze, ujmując się za królową, zachwyceni będziecie wypłataniem figla jego eminencji.

– Bez wątpienia.

– Zresztą, myślałem, że pan, będąc mi dłużny za trzymiesięczne komorne, o które się nie upominałem...

– Tak, tak, już mi pan wspomniałeś o tem, i uznaję ten powód za dostateczny.

– Co więcej, że jeżeli uczynisz mi zaszczyt pozostania dłużej w domu moim, nigdy na przyszłość ani słówka o tem nie pisnę.

– Bardzo dobrze.

– W dodatku, jeśli będzie potrzeba, gotów jestem dać panu z pięćdziesiąt pistołów, jeżeli, czego nie przypuszczam, znajdziesz się w chwilowych kłopotach.

– Wyśmienicie, ależ pan widocznie bogaty jesteś, drogi panie Bonacieux?

– Mam się niezgorzej, mój panie, mogę to powiedzieć; zebrałem sobie coś około dwóch, czy trzech tysięcy talarów dochodu na handlu drobiazgami, a nade wszystko umieściwszy trochę grosza w przedsiębiorstwie słynnego podróżnika morskiego Jana Mocquet; w ten sposób, pojmuje pan... O! o! – wykrzyknął nagle mieszczanin.

– Co takiego? – zapytał d'Artagnan.

– Co ja widzę?

– Gdzie?

– Na ulicy, wprost okien pańskich, we framudze tamtych drzwi... mężczyzna w płaszczu.

– To on!... – zawołali razem d'Artagnan i mieszczanin, poznając jednocześnie człowieka, o którego chodziło obydwom.

– O teraz mi już nie ujdzie!... – krzyknął d'Artagnan, chwytając szpadę.

I dobywszy ją z pochwy, wybiegł z mieszkania.

Na schodach spotkał Athosa i Porthosa, idących go odwiedzić; przemknął pomiędzy nimi jak strzała.

– Człowiek z Meung!... – rzekł d'Artagnan i zniknął.

D'Artagnan opowiadał niejednokrotnie przyjacielom zajście z nieznanym, jako też i zjawienie się pięknej podróżnej, której człowiek ten tak ważne zadanie powierzył.

Zdaniem Athosa, d'Artagnan list ów mógł być zgubić w zamieszaniu. Według niego, szlachcic, jak go opisał d'Artagnan, nie mógł być zdolny do popełnienia podłości takiej, jak kradzież listu. Porthos zaś widział w tem jedynie schadzkę miłosną wyznaczoną przez damę kawalerowi, lub też na odwrót, schadzkę, którą zakłóciła obecność d'Artagnana i żółtego konika.

Aramis utrzymywał znowu, że skoro wypadki takie osłonięte są tajemnicą, byłoby najlepiej ich nie zgłębiać.

Zrozumieli zatem z kilku słów d'Artagnana, o co mu chodziło, a ponieważ byli przekonani, że, czy dopędzi nieznanego, czy też go z oczu straci, ostatecznie powróci do siebie, szli więc dalej. Gdy weszli do pokoju d'Artagnana, nie

zastali nikogo. Właściciel, lękając się następstw spotkania pomiędzy młodzieńcem a nieznanym, osądził za właściwe i za najbezpieczniejsze umknąć do swego mieszkania.

Rozdział IX. D'Artagnan działa

Jak przewidziano, d'Artagnan po upływie pół godziny powrócił. I tym razem nieznamy wymknął mu się jeszcze, zniknąwszy, jak zaczarowany.

Młodzieniec przebiegł sąsiednie ulice ze szpadą w ręce, lecz nie spotkał nawet nikogo podobnego do tego, którego szukał, i powrócił wreszcie tam, skąd zacząć był winien. Zastukał do drzwi, o które nieznamy stał oparty, nadaremnie jednak uderzał w nie młotkiem, nikt nie odpowiedział, a sąsiedzi, zwabieni hałasem, wybiegłszy przed dom lub nosy do szyb przykleiwszy, zapewniali go, że ten dom, zamknięty na wszystkie strony, był zupełnie pusty przeszło od pół roku.

W czasie poszukiwań d'Artagnana, Aramis za towarzyszami podążył do mieszkania młodzieńca, tak, iż tenże, wróciwszy do siebie, zastał grono muszkieterskie w całym komplecie.

– No i cóż?... – zapytali razem trzej muszkietierowie, ujrawszy d'Artagnana ze spoconem i gniewnie wzburzonym obliczem.

– A!... – krzyknął, rzucając szpadę na łóżko – ten człowiek jest chyba djabełem wcielonym, zniknął mi, jak cień, jak duch, jak widmo.

– Ty wierzysz w duchy? – zagadnął Athos Porthosa.

– Ja w to tylko wierzę, co widzę, a skoro nigdy nie widziałem duchów, nie wierzę w nie.

– Biblia – odezwał się Aramis – każe nam wierzyć w duchy; cień Samuela ukazał się Saulowi, i jest to jeden z artykułów wiary, przykro byłoby mi, gdybyś go podawał w wątpliwość, Porthosie.

– W każdym razie człowiek ten czy djabeł, ciało czy cień, złudzenie czy rzeczywistość, człowiek ten urodził się na moje utrapienie, bo przez tę jego ucieczkę ominęła nas pyszna gratka, panowie, gratka, z której zyskałoby się sto, a może i więcej pistolów.

– W jaki sposób?... – zapytali razem Porthos i Aramis.

Athos zaś, nie sprzeniewierzając się milczeniu, zadowolił się spojrzaniem.

– Planchet – krzyknął d’Artagnan na sługę, który wyścibił głowę przez drzwi uchylone dla przysłuchania się rozmowie – idź do mojego gospodarza, pana Bonacieux i powiedz mu, aby nam przysłał pół tuzina butelek wina Beaugency, które nad wszystkie inne przekładam.

– Cóż to, masz otwarty kredyt u swego gospodarza? – zapytał Prothos.

– Tak – odparł d’Artagnan – od dzisiaj i, bądźcie spokojni, jeżeli wino będzie nietęgie, pošlemy do niego po inne.

– Trzeba używać, a nie nadużywać – sentencjonalnie odezwał się Aramis.

– Zawsze mówiłem, że d’Artagnan to najtęższa głowa z nas wszystkich – rzekł Athos i, wygłosivszy tę opinię, na którą d’Artagnan odpowiedział ukłonem, pograżył się natychmiast

w zwykłym milczeniu.

– Ale koniec końców, radziłyśmy wiedzieć, co to takiego? – zapytał Porthos.

– Tak – dodał Aramis – powiedz nam, przyjacielu drogi, jeżeli tylko nie zaplątana jest w to cześć jakiej damy, bo w takim razie lepiej by było, ażebyś zamilczał o wszystkim.

– Bądźcie spokojni – odparł d'Artagnan – nie ucierpi na tym niczyj honor, ani cześć. – I opowiedział dosłownie przyjaciółom, co zaszło pomiędzy nim, a gospodarzem, i że człowiek, który porwał żonę godnego właściciela domu, jest tym samym, z którym i on miał na pieńku.

– Niezła sprawa – rzekł Athos, ze znawstwem próbując wina i skinieniem głowy dając poznać, że mu smakuje – można będzie wyciągnąć z pocziwca pięćdziesiąt do sześćdziesięciu pistołów. A teraz, przekonać by się należało, czy dla takiej sumki warto narażać cztery głowy.

– Ależ zastanów się – zawołał d'Artagnan – tu chodzi o kobietę, o kobietę porwaną, której bez wątpienia grożą, torturują zapewne, za to jedynie, że wierną jest swej pani!

– Strzeż się, d'Artagnan, ostrożnie! – odezwał się Aramis – mojem zdaniem, zanadto bierzesz do serca los pani Bonacieux. Kobieta stworzona została na zgubę naszą, ona jest przyczyną wszystkich naszych nieszczęść.

Na tę sentencję Aramisa Athos ściągnął brwi i przygryzł wargi.

– Nie o panią Bonacieux ja się troszczę – zawołał d'Artagnan

– ale o królową, zaniedbaną przez króla, prześladowaną przez kardynała, która widzi, jak jedna po drugiej spadają głowy tych, którzy jej sprzyjają.

– A czemu kocha tych, których my najbardziej w świecie nienawidzimy?... Hiszpanów i Anglików?

– Hiszpanja jest jej ojczyzną – odrzekł d'Artagnan – rzecz prosta, że kocha Hiszpanów, jako dzieci jednej z nią ziemi. Co do drugiego zarzutu, jaki jej robicie, słyszałem, że ona kocha nie Anglików, tylko jednego Anglika.

– E!... na honor – wtrącił Athos – trzeba przyznać, że ten Anglik godzien jest kochania. Wspanialszej od jego postawy nie widziałem nigdy.

– Dodajmy, że ubiera się, jak nikt dotąd – podchwycił Porthos. – Byłem w Luwrze, gdy perły rozrzucał i, dalipan, podniosłem dwie z nich, które, rozumie się, sprzedałem po dziesięć pistołów. Ty, Aramisie, znasz go?

– Tak dobrze, jak i wy, panowie; byłem bowiem jednym z tych, którzy przytrzymali go w ogrodzie w Amiens, gdzie wprowadził mnie pan de Putange, koniuszy królowej. Byłem wówczas w seminarjum, i zdarzenie to, ze względu na króla, wydało mi się okrutne.

– Co nie przeszkodziłoby mi jednak – odezwał się d'Artagnan – gdybym wiedział, gdzie się znajduje księżę de Buckingham, wziąć go za rękę i zaprowadzić do królowej, choćby tylko dlatego, ażeby kardynała doprowadzić do wściekłości; bo, panowie, naszym niezaprzeczonem, jedynym, wiekuistym

nieprzyjacielem, jest tylko kardynał; i gdybyśmy w stanie byli wynaleźć sposób wyplątania mu figła potężnego, przyznaję, iż głowę własną chętnie bym za to oddał.

– I gospodarz ci mówił, d’Artagnanie – podjął Athos – że królowa przypuszcza, jakoby Buckingham zwabiony został fałszywym wezwaniem?

– Lęka się tego.

– Czekajcie! – odezwał się Aramis.

– Co takiego? – zapytał Porthos.

– Mówcie swoje, a ja postaram się przypomnieć sobie niektóre okoliczności.

– Jestem przekonany, – rzekł d’Artagnan – że porwanie kobiety, należącej do służby królowej, pozostaje w związku z wypadkami, o których mówimy, a może nawet i z obecnością pana de Buckingham w Paryżu.

– Nasz gaskończyk pełen jest pomysłów – rzekł z uwielbieniem Porthos.

– Bardzo go lubię słuchać – rzekł Athos.

– Panowie!... – zaczął Aramis – słuchajcie!...

– Słuchajmy, co powie!... – odezwali się trzej przyjaciele.

– Byłem wczoraj u pewnego uczonego doktora teologii, u którego zasięgam niekiedy rad co do moich studjów...

Athos uśmiechnął się.

– Mieszka on w pustej dzielnicy – ciągnął dalej Aramis – jego upodobania, powołanie, wymagają tego. Otóż w chwili, gdy wychodziłem od niego...

Tutaj Aramis zaciął się.

– Cóż dalej? – zapytali słuchacze – w chwili, gdy wychodziłeś od niego...

Widocznie Aramis czynił wysiłek, jak człowiek, który, zapędziwszy się w kłamstwie, naraz widzi nieprzewidzianą przeszkodę; lecz oczy trzech towarzyszków były w nim utkwione, słuch wyteżony, cofać się już nie mógł.

– Doktor ten ma siostrzenicę – ciągnął dalej Aramis.

– A! siostrzenicę!... – przerwał mu Porthos.

– Osobę wielce czcigodną – rzekł Aramis.

Trzej przyjaciele wybuchnęli śmiechem.

– Jeżeli śmiać się będziecie, lub wątpić, nie dowiecie się niczego.

– Jesteśmy pełni wiary, jak wyznawcy Mahometa i niemi, jak groby – rzekł Athos.

– Wracam zatem do rzeczy – począł Aramis. – Siostrzenica ta czasami odwiedza wuja; otóż, wczoraj, przypadkiem, znalazła się tam jednocześnie ze mną, byłem więc zmuszony odprowadzić ją do karety.

– A! siostrzenica doktora ma karetę? – przerwał mu Porthos, którego jedną z licznych wad była ogromna niepowściągliwość języka – to piękna znajomość, przyjacielu.

– Porthosie – odparł Aramis – nieraz już zwracałem twoją uwagę, że brak ci zupełnie dyskrecji, i to ci szkodzi u kobiet.

– Panowie, panowie – zawołał d'Artagnan, który sprawę tę uważał za coraz ważniejszą – rzecz to nie bez znaczenia

- i prosiłbym w żarty jej nie obracać. Kończ, Aramisie, kończ.
- Naraz, mężczyzna wysoki, brunet, gładkiego obejścia... wiesz co? zupełnie w rodzaju twojego, d'Artagnanie.
 - Może to ten sam... – rzekł d'Artagnan.
 - Prawdopodobnie... – kończył Aramis – zbliżył się do mnie, a za nim szło kilku ludzi, i głosem uprzejmym odezwał się: — „Mości księżę, i pani także...” – dodał zwracając się do damy, którą prowadziłem pod rękę...
 - Do siostrzenicy doktora?
 - Cicho bądź, Porthosie! – odezwał się Athos – niezdolny jesteś.
 - „Raczej wsiaść do tej karety, bez oporu i najmniejszego hałasu.”
 - Wziął cię za Buckingham! – wykrzyknął d'Artagnan.
 - Tak sędzę – odrzekł Aramis.
 - A tę damę? – zapytał Porthos.
 - Wziął ją za królową! – podchwycił d'Artagnan.
 - Nie inaczej – odparł Aramis.
 - To djabeł z tego gaskończyka! – zawołał Athos nic nie ujdzie jego uwadze.
 - To fakt – wtrącił Porthos – że Aramis ma postawę i ułożenie pięknego księcia; lecz zdaje mi się, że ubiór muszkieterski...
 - Miałem na sobie płaszcz szeroki – rzekł Aramis.
 - W lipcu, do djabła! – zauważył Porthos – czy doktor nie obawia się przypadkiem, abyś nie był poznany?
 - To jeszcze rozumiem – rzekł Athos – że szpieg mógłby się

złudzić postawą, lecz twarz...

– Miałem wielki kapelusz – rzekł Aramis.

– Boże wielki! – wykrzyknął Porthos – co tu ostrożności dla studjowania teologii!...

– Panowie, panowie – odezwał się d'Artagnan – nie traćmy czasu na drobnostki; rozbiegnijmy się na wszystkie strony i szukajmy żony gospodarza, w tem jest klucz całej intrygi.

– Przecież to kobieta pochodzenia tak niskiego, d'Artagnanie? – odezwał się Porthos, wykrzywiając wzgardliwie usta.

– To chrześniaczka de La Porta, zaufanego sługi królowej, wszak mówiłem wam o tem, panowie? Wreszcie, może to jest przezorność Jej Wysokości, że w tym razie szuka pomocy niżej. Głowy, sterczące wysoko, są bardzo widoczne, a kardynał ma dobre oczy.

– A zatem! – odezwał się Porthos – najpierw potarguj się ze swym gospodarzem, a targuj się dobrze.

– To niepotrzebne – odparł d'Artagnan – sądzę bowiem, że jeżeli nam zapłaci, to bardzo dobrze będziemy wynagrodzeni.

W tejże chwili odgłos szybkich kroków rozległ się na schodach, drzwi otworzyły się z trzaskiem i nieszczęsny kramarz wpadł do pokoju, gdzie odbywała się narada.

– Panowie! – krzyknął – ratujcie, na imię Boskie!... ratujcie mnie!... czterech ludzi przyszło i chcą mnie uwięzić, ratujcie mnie, ratujcie!...

Porthos i Aramis zerwali się z miejsca.

– Chwilkę, panowie – zawołał d'Artagnan, dając im znak,

aby schowali szpady, na pół już wydobyte z pochew – chwilkę, potrzeba tutaj nie odwagi, lecz roztropności.

– O! – zawołał Porthos – nie pozwolimy!...

– Pozwólcie działać d’Artagnanowi – rzekł Athos – raz jeszcze powtarzam, że to najtęższa z nas wszystkich głowa. Ja obowiązuję się słuchać go we wszystkim. Rób, jak chcesz, d’Artagnanie.

Czterech ludzi ze straży policyjnej ukazało się we drzwiach pokoju, ale na widok trzech muszkieterów ze szpadami u boku, stojących pośrodku, zawahali się, czy mają się dalej posunąć.

– Wejdźcie, panowie, wejdźcie – zawołał d’Artagnan – jesteście tutaj u mnie, a jak nas widzicie, wszyscyśmy wierni słudzy króla i pana kardynała.

– Zatem, panowie, nic nie będziecie mieli przeciw temu, abyśmy spełnili dane nam rozkazy? – zapytał ten, który wyglądał na dowódcę wyprawy.

– I owszem, nawet pomożemy wam, panowie, jeżeli tego będzie potrzeba.

– Co on gada?... – mruknął Porthos.

– Cicho, gapiu! – szepnął Athos.

– A jednak obiecaliście mi... – cichutko wybąkał kramarz.

– Możemy cię ratować, gdy sami zostaniemy wolni – rzucił mu w ucho d’Artagnan – a jeżeli okażemy chęć bronienia cię, razem nas z tobą wezmą.

– A jednak, zdaje mi się...

– Chodźcie, panowie, chodźcie – głośno powiedział

d'Artagnan – nie mam żadnego powodu bronić tego pana. Pierwszy raz w życiu widziałem go dzisiaj, a przyszedł po to, ażeby się dopominać o komorne. Wszak prawda, panie Bonacieux? Odpowiadaj!

– Najczystsza prawda – zawołał gospodarz – lecz nie powiedział pan jeszcze...

– Ani słowa o mnie, ani o przyjaciołach moich, a o królowej nade wszystko – szepnął mu – albo zaprzepaścisz wszystkich, a siebie nie zbawisz. No!... panowie, dalej, zabierajcie tego jegomościa.

I d'Artagnan popchnął gospodarza ku straży, mówiąc:

– Bezwstydnym łotrem jesteś, mój drogi... przychodzisz upominać się o pieniądze, u mnie!... u muszkietera!... Do więzienia z nim!... Panowie, raz jeszcze powtarzam, zabierzcie go do więzienia i trzymajcie pod kluczem jak można najdłużej, zyskam przynajmniej na czasie, aby mu zapłacić.

Słudzy policyjni, rozwodząc się w podziękowaniach, uprowadzili swą zdobycz.

W chwili, gdy wychodzili już, d'Artagnan uderzył po ramieniu ich przywódcę, mówiąc:

– Może wypijemy za wspólne zdrowie nasze? – i napełnił dwa kubki winem Beaugency, pochodzącym z hojności pana Bonacieux.

– Będzie to dla mnie niemałym zaszczytem – odparł tenże – i z wdzięcznością przystaję.

– Do ciebie, zatem, panie... jakże się nazywasz?

– Boisrenard.

– Panie Boisrenard!

– Za zdrowie twoje, szlachetny panie: jak godność pańska, jeżeli wolno zapytać?

– A nade wszystko – krzyknął d'Artagnan, jakby zapałem uniesiony – za zdrowie króla i kardynała.

Może być, iż miałyby jaką wątpliwość, co do szczerości d'Artagnana, gdyby wino było liche, lecz że było wyborne, przekonany więc został zupełnie.

– Co za paskudztwo zrobiłeś, u diabła? – zapytał Porthos, skoro wyszedł przywódca zbirów, gdy pozostali tylko we czterech. – Fe! czterej muszkietierowie pozwalają aresztować w obecności swojej nieszczęśliwca, który woła o pomoc. Szlachcic trąca się kieliszkiem z pachołkiem więziennym.

– Porthosie!... – odezwał się Aramis – Athos ci dowiódł już, że jesteś gapiem, teraz i ja po stronie jego stoję. D'Artagnanie, jesteś wielki, i kiedy będziesz już na miejscu pana de Tréville, zamawiam sobie protekcję u ciebie, abym dostał opactwo.

– Doprawdy, nic nie pojmuję! – odrzekł Porthos – wy pochwalacie to, co zrobił d'Artagnan?...

– Spodziewam się – odezwał się Athos – ja nie tylko pochwalam, ale mu winszuję.

– A teraz, panowie – rzekł d'Artagnan, nie troszcząc się bynajmniej o wyjaśnienie postępowania swego Porthosowi – wszyscy za jednego, jeden za wszystkich, to nasze hasło, nieprawdaż?

– Jednakże – zaczął Porthos.

– Ręka do góry i przysięgnij! – zawołali razem Athos i Aramis.

Zwyciężony przykładem, klnąc z cicha, Porthos podniósł rękę i czterej towarzysze powtórzyli rotę przysięgi, podyktowanej przez d'Artagnana.

„Wszyscy za jednego, jeden za wszystkich”.

– Tak... dobrze, a teraz, każdy niech idzie do domu rzekł d'Artagnan tonem takim, jak gdyby całe życie rozkazy tylko wydawał – i bacność, bo od tej chwili idziemy z kardynałem w zapasy.

Rozdział X. Pułapka z siedemnastego wieku

Ponieważ czytelnicy nasi nie są prawdopodobnie oswojeni z gwarą policji francuskiej, należy wytłumaczyć im, co to jest pułapka.

Jeżeli w jakimkolwiek domu zaaresztowano osobę, podejrzaną o jaki występki, aresztowanie pozostawało w najgłębszej tajemnicy. Kilku ludzi ukrywano w pierwszym pokoju i ktokolwiek zapukał do tego mieszkania, wpuszczano go i także aresztowano. W ten sposób, w ciągu dwóch lub trzech dni, wszyscy członkowie rodziny i przyjaciele domu obwinionego wpadali w ręce policji.

Taką była owa pułapka.

Tym razem sporządzono pułapkę z mieszkania, zajmowanego przez imię pana Bonacieux, i każdy, kto się tam ukazał, chwytyany był i badany przez ludzi pana kardynała. Wejście do mieszkania d'Artagnana było oddzielne, odwiedzający go zatem wolni byli od wszelkiej kontroli.

Zresztą odwiedzali go tylko trzej muszkietierowie. Wszyscy oni i każdy z osobna, rzucili się do poszukiwań i nic nie znaleźli, nic nie odkryli.

Athos zapytywał pana de Tréville, co ze względu na nieme jego usposobienie, wielce zdziwiło kapitana. Pan de Tréville jednak nie wiedział nic, zauważył tylko, że gdy ostatnim razem

widział kardynała, króla i królowę, kardynał wyglądał zgnębiony, król niespokojny, a zaczerwienione powieki królowej zdradzały noce bezsenne lub łzy. Ostatnia okoliczność jednak mało go uderzyła, królowa bowiem od chwili swojego małżeństwa, zawsze nie sypiała i płakała wiele.

Na wszelki wypadek jednak pan de Tréville polecił Athosowi baczność gorliwą względem króla, a nade wszystko względem królowej, prosząc, aby oznajmił to samo i towarzyszom.

D'Artagnan tymczasem nie ruszył się z mieszkania. Pokój swój zamienił w czatownię. Widział z okien tych wszystkich, którzy dali się złapać; następnie, wyjąwszy taflę z posadzki, wygrzebał dół w tem miejscu, tak, że tylko cienki sufit przedzielał go od pokoju na dole, gdzie odbywały się badania. Wszystko więc słyszał, co się działo między badającymi i obwinionymi.

Badania, poprzedzone najszczegółowszemi pytaniami, dokonywane na osobach aresztowanych, były mniej więcej w tych słowach zawarte:

– Czy pan Bonacieux nie wręczył ci czego dla żony, lub dla kogokolwiek?

– Czy jedno lub drugie z nich nie uczyniło ci jakiego zwierzenia?

– Gdyby ci badający wiedzieli choć cośkolwiek, nie wypytywaliby tak gorliwie – pomyślał d'Artagnan. – A teraz, o czem pragną oni tak się dowiedzieć? Czy niema czasami księcia de Buckingham w Paryżu i czy widział się, lub ma się

widzieć z królową?

D'Artagnan zatrzymał się na tym domyśle, któremu, według tego, co słyszał, nie zbywało na prawdopodobieństwie. Tymczasem pułapka nie ustawała, ale i czujność d'Artagnana także.

Wieczorem, dnia następnego po uwięzieniu biednego Bonacieux, gdy tylko Athos pożegnał d'Artagnana, by się udać do pana de Tréville i zaledwie wybiła dziewiąta, a Planchet, nie posławszy jeszcze łóżka swojego pana, zabierał się do tej czynności, dało się słyszeć pukanie do drzwi od ulicy. Otwarto je i zatrzaśnięto natychmiast; znowu ktoś wpadł w pułapkę.

D'Artagnan rzucił się do miejsca w podłodze bez tafli, położył się na brzuchu i słuchał.

Wkrótce rozległy się krzyki, potem jęki, które widocznie tłumić usiłowano. O badaniach mowy nie było.

– Do diabła! – pomyślał d'Artagnan – zdaje mi się, że to kobieta; rewidują ją, opiera się, używają przemocy, nędznicy!

Pomimo całej roztropności, d'Artagnan, o mało nie wyskoczył ze skóry, chcąc wmieszać się do sceny, rozgrywającej się na dole.

– Mówię wam, panowie, iż jestem panią tego domu; jestem panią Bonacieux; mówię wam, że do królowej należę! – wykrzykiwała nieszczęsna kobieta.

– Pani Bonacieux! – wyszeptał d'Artagnan – byłżebym tak szczęśliwy, iż znalazłem to, czego tak szukają wszyscy?

– Na panią właśnie czekaliśmy – odpowiedzieli badający.

Głos stawał się coraz bardziej stłumiony, szamotanie rozległo

się pomiędzy ścianami. Ofiara opierała się o tyle, o ile kobieta zdoła się opierać czterem mężczyznom.

– Łaski, panowie, łas... – szeptał głos urywanymi i niewyraźnymi dźwiękami.

– Zatykają jej usta i zawloką do więzienia!... – krzyknął d'Artagnan, skoczywszy, jak na sprężynie. – Szpady! dobrze, mam ją u boku. Planchet!

– Słucham pana.

– Pędź co tchu po Athosa, Porthosa i Aramis. Jeden z nich na pewno musi być u siebie, a może i wszyscy trzej już powrócili. Niech wezmą broń i przychodzą, niech się śpieszą. A! przypominam sobie, Athos jest u pani de Tréville.

– Lecz pan dokąd idzie?... dokąd?...

– Wychodzę oknem – zawołał d'Artagnan – prędzej stanę na miejscu! a ty połóż taflę, gdzie należy, zamieć podłogę, wyjdź drzwiami i pędź, dokąd ci mówiłem.

– O! panie, panie, zabijesz się jeszcze! – krzyczał Planchet.

– Milcz, durniu! – zawołał d'Artagnan. – Uchwycił się futryny okna, i z pierwszego piętra, które, na szczęście, nie było zbyt wysokie, zsunął się bez najmniejszej szkody dla siebie. Natychmiast poszedł do drzwi zapukać, mrużąc pod nosem:

– I ja także dam się wziąć w pułapkę, ale biada kotom, które się o taką myszkę obetrą.

Zaledwie rozległ się odgłos młotka pod ręką młodzieńca, zgiełk ustał natychmiast, słyhać było zbliżające się kroki, drzwi się rozwarły i d'Artagnan ze szpadą obnażoną wpadł

do mieszkania pana Bonacieux, a drzwi, będące widocznie na sprężynie, zatrzasnęły się za nim.

Wtedy ci, którzy mieszkali w nieszczęsnym domu Bonacieux i sąsiedzi najbliżsi, usłyszeli krzyki przeraźliwe, bieganie, szczęk stali i przeciągły łoskot łamiących się sprzętów. Nareszcie, po niedługiej chwili, ci, których hałas zwabił do okien, zobaczyć mogli otwierające się gwałtownie drzwi, i czterech ludzi, czarno ubranych, wyszło, a raczej wyleciało przez nie, jak spłoszone kruki, pozostawiając na ziemi połamane pióra u kapeluszków i strzępy swego ubrania.

Przyznać należy, iż d'Artagnan został zwycięzcą bez wielkiego trudu, tylko bowiem jeden policjant był uzbrojony i bronił się, lecz dla formy jedynie. Trzech innych próbowało wprawdzie zasypać d'Artagnana krzesłami, taboretami i całą masą garnków i rondli, lecz parę zadraśnień wypolerowaną szpadą gaskończyka przeraziło ich okrutnie. Dziesięć minut czasu wystarczyło, aby zostali pokonani i d'Artagnan ujrzał się panem placu bitwy.

Sąsiedzi, którzy pootwierali okna, z zimną krwią, właściwą mieszkańcom Paryża w owych czasach zaburzeń i nieustanych bójk, pozamykali je, skoro tylko ujrzeli uciekających czterech ludzi czarnych; przecucie mówiło im, że, jak na teraz, wszystko było skończone. Zresztą noc już zapadała, a onego czasu, również jak i dziś, wcześniej zabierano się do snu w dzielnicy luksemburskiej.

D'Artagnan pozostał sam z panią Bonacieux i stanął przed nią.

Biedna kobieta leżała na fotelu na wpeł zemdlona. Obrzucił ją szybkim wejrzeniem.

Była to zachwycająca dwudziestopięcioletnia kobieta, brunetka, z niebieskimi oczyma, z noskiem lekko zadartym, ząbkami prześlicznymi, z cerą zabarwioną lekkim szkarłatem, z odbłyskami opalu. Tu jednak był koniec oznakom, przy których mogła uchodzić za wielką damę. Ręce jej były białe, lecz za mało drobne, nogi zaś nie zdradzały kobiety wyższego pochodzenia. Na szczęście, d'Artagnan nie był jeszcze wybredny, szczegóły te więc nie zajmowały go wcale.

Gdy się tak wpatrywał w panią Bonacieux, stojąc tuż przed nią, dostrzegł leżącą na ziemi chusteczkę batystową, którą, według zwyczaju podniósł, a na rogu jej poznał te same wyszyte litery, jak na chusteczce, która o mało nie spowodowała starcia śmiertelnego z Aramisem. Nie ufał on odtąd chusteczkom z cyframi i herbami, schował ją więc w milczeniu do kieszeni pani Bonacieux.

Właśnie zemdlona zaczęła powracać do zmysłów. Otworzyła oczy i, z przerażeniem wiodąc niemi dokoła, ujrzała pokój pusty zupełnie, i zobaczyła, że się znajduje sama ze swym wybawcą. Wyciągnęła ku niemu ręce, uśmiechając się słodko. Pani Bonacieux miała najcudniejszy w świecie uśmieszek.

– O!... panie – odezwała się – tyś mnie ocalił, pozwól niech ci podziękuję.

– Pani – odrzekł d'Artagnan – spełniłem to, co każdy szlachcic na mojem miejscu byłby zrobił, wcale więc nie zasługuję na

podziękowanie.

– O! nie mów pan tak, a ja mam nadzieję, że będę mogła dowieść, iż przysługa twoja nie trafiła na niewdzięczną...

– Ale cóż ci ludzie chcieli ode mnie?... zrazu wzięłam ich za złodziei; a! dlaczego nie ma tutaj pana Bonacieux!...

– Pani, ludzie ci byli niebezpieczniejsi od złodziei, to służalcy pana kardynała; a męża pani, pana Bonacieux – nie ma, bo wczoraj go stąd zabrano i zaprowadzono do Bastylji.

– Mego męża do Bastylji!... – krzyknęła pani Bonacieux – O! mój Boże! a cóż on zrobił biedaczysko?... on, uosobiona niewinność?...

I coś na kształt uśmiechu zarysowało się na wystraszonej jeszcze twarzy młodej kobiety.

– Co zrobił? – podchwycił d'Artagnan – Mnie się zdaje, że jedyną jego zbrodnią jest to, iż ma szczęście i zarazem nieszczęście być mężem pani...

– Więc pan wiesz...

– Wiem, że pani była porwana.

– A czy pan wiesz przez kogo? O! jeżeli wiesz, powiedz mi, proszę.

– Przez człowieka czterdziestokilkoletniego, bruneta, ogorzałej twarzy, z blizną na lewej skroni.

– Tak, tak; ale jak się nazywa?

– O! tego nie wiem wcale.

– A mąż mój, czy wiedział co o mojem porwaniu?

– Dowiedział się o tem z listu, który sam napastnik do niego

napiisał.

– I podejrzewa przyczynę tego wypadku? – pytała pani Bonacieux z pewnem zakłopotaniem.

– Zdaje mi się, iż przypisuje go powodom politycznym.

– Wiesz pan, i ja teraz tak myślę, jak pan... A więc, kochany Bonacieux nie posądzał mnie ani na chwilę.

– A! o sto mil był od takiej myśli!... on szczyci się zacnością pani, a nade wszystko miłością.

Drugi uśmiezek, niedostrzegalny prawie, przemknął po szkarłatnych usteczkach pięknej kobietki.

– Ale – kończył d'Artagnan – w jaki sposób zdołałaś pani uciec?

– Skorzystałam z chwili, w której pozostawiono mnie samą, a ponieważ od razu wiedziałam, co mam myśleć o mojem porwaniu, z pomocą prześcieradeł zsunęłam się z okna; wtenczas, w przekonaniu, iż zastanę tu męża, podążyłam do niego.

– Aby szukać obrony?

– O! nie, biedaczysko drogi, wiem, że nie jest do tego zdolny, ale mógłby nam być do czego innego przydatny, chciałam go więc uprzedzić.

– O czym?

– O! tajemnica nie do mnie należy, nie mogę więc mówić o niej z panem.

– Zresztą – zauważył d'Artagnan – przepraszam panią, że, jakkolwiek młodszy od niej wiekiem, przypominam jej potrzebę

ostrożności; zresztą, zdaje mi się, iż nie miejsce tutaj na zwierzenia. Ludzie, wygnani przeze mnie, w większej liczbie powrócą niedługo; jeżeli nas tu zastaną, jesteśmy zgubieni. Kazałem wprawdzie zawiadomić trzech moich przyjaciół, lecz kto wie, czy zastano ich w domu!

– Tak, tak... masz pan słuszość – z przerażeniem wykrzyknęła pani Bonacieux – uciekajmy, skryjmy się czym prędzej.

To mówiąc, wsunęła rączkę pod ramię d'Artagnana, pociągając go za sobą.

– Lecz dokąd uciekać? – pytał d'Artagnan – gdzie się schronić?

– Przede wszystkim oddalmy się z tego domu, a potem zobaczymy.

I oboje, nie zadając sobie nawet trudu, aby drzwi zamknąć za sobą, szybko przebiegli ulicę Grabarzy, zboczyli w ulicę des Fossées-Monsieur-le-prince, i zatrzymali się dopiero na placu świętego Sulpicjusza.

– A teraz... co pocniemy z sobą? – zagadnął d'Artagnan – dokąd mam panią zaprowadzić?

– Przyznaję, iż nie wiem sama, co mam panu odpowiedzieć – odrzekła pani Bonacieux – miałam zamiar przez męża zawiadomić pana de la Porte, aby nam mógł powiedzieć dokładnie, co zaszło w ciągu trzech ostatnich dni w Luwrze, i czy przyście moje nie grozi tam niebezpieczeństwem.

– To ja mogę zawiadomić pana de la Porte – rzekł d'Artagnan.

– Zapewne, ale na nieszczęście w Luwrze znajdują pana Bonacieux, i jego by z łatwością wpuszczono, gdy pana nie znajdą wcale i drzwi przed panem zamkną.

– E! – odparł d'Artagnan – musisz pani mieć w Luwrze przychylnego odźwiernego, a dzięki umówionemu hasłu...

Pani Bonacieux bystro spojrzała na młodzieńca.

– A gdybym panu powiedziała to hasło?... – rzekła – czy zapomniałbyś je natychmiast potem?

– Słowo honoru! słowo szlacheckie! – odrzekł d'Artagnan z taką szczerością w głosie, że niepodobieństwo mu było nie ufać...

– Wierzę panu; wyglądasz na młodzieńca uczciwego, zresztą, może w przyszłości spotka cię nagroda za poświęcenie dzisiejsze.

– I bez tych obietnic sumiennie spełnię wszystko, ażeby usłużyć królowi i stać się użytecznym królowej – rzekł d'Artagnan – rozporządzaj mną pani, jak przyjacielem.

– A gdzie mnie pan przez ten czas podziejesz?

– Czy nie masz pani nikogo, skądby cię mógł pan de la Porte zabrać?

– Nie, nikomu zwierzać się nie chcę.

– Zaraz – rzekł d'Artagnan – wszak jesteśmy przede drzwiami Athosa... tak, nie myślę się.

– Któż to jest Athos?

– Jeden z moich przyjaciół.

– A jeżeli jest w domu i mnie zobaczy?

– Nie ma go, a gdy wprowadzę panią do jego mieszkania,

zabiorę klucz ze sobą.

– A jeżeli powróci?

– Nie powróci; wreszcie, powiem mu, że przyprowadziłem kobietę, i że ta kobieta u niego się znajduje.

– Ależ to mnie może straszliwie skompromitować!

– Cóż to panią obchodzi?... nikt pani nie zna; zresztą znajdujemy się w takim położeniu, iż nie zważa się na żadne konwenanse.

– Chodźmy więc do pańskiego przyjaciela. Gdzież on mieszka?

– Przy ulicy Feron, stąd parę kroków.

– Chodźmy.

I puścili się w drogę. Jak przewidział d'Artagnan, Athosa nie było w domu; wziął więc klucz, który dawano mu zwykle, jako przyjacielowi domu, wszedł na piętro, i wprowadził panią Bonacieux do mieszkanca, znanego nam już z opisu.

– Jesteś pani, jak u siebie – powiedział jej – zamknij drzwi od wewnątrz i nie otwieraj nikomu, dopóki nie usłyszysz pukania trzykrotnego w ten sposób: uważaj pani. – I zapukał trzy razy: dwa razy szybko i dość mocno, a trzeci raz po niejkiej przerwie i znacznie lżej.

– Dobrze – rzekła pani Bonacieux – teraz kolej na mnie dać panu wskazówki.

– Słucham.

– Stań pan przy furtce, prowadzącej do Luwru od strony ulicy Drabiniastej i zapytaj o Germana.

– Dobrze, a potem?

– Będzie on pana wypytywał, Bóg wie o co, a ty mu odpowiesz na to wszystko tylko dwoma słowami: Tours i Bruksella. Wtedy będzie już na twe rozkazy.

– A co ja mam mu rozkazać?

– Każesz mu pan iść do pana de la Porte, pokojowca królowej.

– A jak pan de la Porte przyjdzie?

– Przyślesz go pan do mnie...

– Dobrze, ale gdzież i jak się znowu z panią zobaczę?

– Czy bardzo panu o to chodzi?

– Naturalnie!

– To już mnie pan pozostaw i bądź spokojny.

– Liczę na słowo pani.

– Może pan liczyć.

D'Artagnan pożegnał panią Bonacieux, rzucając jej najczulsze spojrzenie, jakim mógł objąć zachwycającą jej osóbkę, a kiedy schodził na dół, usłyszał, jak drzwi za nim zamknęła na dwa spusty. W paru podskokach przybył do Luwru. Gdy przystąpił do furtki od ulicy Drabiniastej, biła godzina dziesiąta.

Przebieg wypadków, które opisaliśmy, trwał pół godziny zaledwie. Wszystko stało się tak, jak powiedziała pani Bonacieux.

Na umówione hasło, German skłonił się nisko; w dziesięć minut potem pan de la Porte był już u furtki; w paru słowach d'Artagnan objaśnił go o stanie rzeczy i wskazał, gdzie pani Bonacieux się znajduje. De la Porte upewnił się po dwakroć

o dokładności adresu i pędem tam podążył. Zaledwie jednak uszedł dziesięć kroków, zawrócił.

– Młodzińcze – rzekł do d’Artagnana – dam ci jedną radę.

– Jaką?

– Mógłbyś być niepokojonym za to wszystko, co zaszło.

– Tak pan sądzi?

– Tak. Czy masz jakiego przyjaciela, u którego zegar się spóźnia?...

– Bo co?

– Udaj się do niego, aby mógł zaświadczyć, że odwiedziłeś go o godzinie wpół do dziesiątej. Według prawa, to się nazywa alibi.

D’Artagnan ocenił zdrową radę; wziął nogi za pas i nie oparł się, aż u pana de Tréville. Zamiast jednak wejść do salonu, gdzie wszyscy byli zebrani, prosił, aby go wpuszczono do gabinetu. Ponieważ d’Artagnan był tam gościem codziennym, bez trudności żądanie jego spełniono i dano znać panu de Tréville, że młody ziomek jego, mając coś ważnego do powiedzenia, prosi o posłuchanie na osobności.

W pięć minut potem, pan de Tréville zapytywał młodzieńca, czem mógłby mu służyć, i czemu zawdzięcza odwiedzin w porze tak spóźnionej.

– Przepraszam pana – rzekł d’Artagnan, który skorzystał z chwili, gdy sam pozostał, by cofnąć o trzy kwadranse wskazówkę – myślałem, że skoro jest dopiero dwadzieścia pięć minut po dziewiątej, to czas jeszcze przedstawić się panu.

– Dwadzieścia pięć minut po dziewiątej! – zawołał pan de

Tréville, spoglądając na zegar – ależ to niepodobieństwo!

– Zechciej się pan przekonać, zdaje mi się, że zegar nie zwodzi.

– Tak – rzekł pan de Tréville, – sądziłem, że już znacznie później. No cóż tam, czego sobie życzysz?

Wtedy d'Artagnan opowiedział panu de Tréville szczegółowo historję, dotyczącą królowej. Przedstawił mu obawy, jakie powziął ze względu na jej Królewską Wysokość; opowiedział mu, co zasłyszał o zamiarach kardynała względem Buckinghama, a wszystko to mówił z takim spokojem i pewnością siebie, że pan de Tréville z tem większem słuchał go zajęciem, bo sam, jak wspomnieliśmy, dostrzegł coś nowego pomiędzy kardynałem, królem i królową.

Biła godzina dziesiąta, gdy d'Artagnan pożegnał pana de Tréville, który dziękował mu za wskazówki, i polecił służyć serdecznie królowi i królowej, poczem wrócił do salonu. Lecz d'Artagnan, gdy był już na dole, przypomniał sobie, iż zostawił laskę; wbiegł więc szybko na górę, wpadł do gabinetu i palcem zwrócił wskazówkę na właściwą godzinę, aby nazajutrz nie dostrzeżono, że była cofnięta, i pewny już, że ma świadka, który w potrzebie dowiódłby jego alibi, zbiegł ze schodów i znalazł się wkrótce na ulicy.

Rozdział XI. Intryga zawiązuje się

Po wyjściu od pana de Tréville, d'Artagnan zamysłony powracał do domu drogą, jak mógł najdalszą.

O czem mógł myśleć, że tak zbaczał z drogi, spoglądając na gwiazdy, z westchnieniem, to z uśmiechem naprzemian!

Myślał o pani Bonacieux. Dla takiego muszkietera w zawiązku, kobieta młoda była nieledwie ideałem miłości. A ta była ładna, tajemnicza i przypuszczona do wszystkich nieledwie sekretów dworskich, które taką uroczą powagą odbijały się na jej powabnych rysach, a dawały do myślenia, że nie jest dlań nieczułą, co zawsze stanowiło nieprzeparty powab dla niewytrawnych kochanków; dla d'Artagnana zaś było to tem bardziej obiecujące, że wybawił ją przecież z rąk szatanów kardynalskich.

Szybkiem lotem pędzą marzenia na skrzydłach wyobraźni. D'Artagnanowi zdawało się już, że go dogania wysłaniec młodej kobiety i oddaje mu jakiś bilecik, wyznaczający schadzkę, czy też wręcza mu łańcuch złoty a może brylant. Mówiliśmy już, iż młodzi rycerze bez obrazy przyjmowali datki królewskie, dodajmy jeszcze, że w owych czasach łatwej moralności nie wstydzili się też brać ich od swoich kochanek, które często obdarzały ich pamiątkami cennymi i trwałymi, jak gdyby chciały zwalczać nietrwałość ich uczuć mocą podarunków.

Torowano sobie drogi przez kobiety, nie tając się z tem

bynajmniej. Te, które prócz piękności nic nie miały więcej, oddawały swoją urodę. Bogate znowu dawały część swoich pieniędzy i możnaby wymienić spory zastęp bohaterów z tej miłej epoki, którzy nie dostąpiliby nigdy naprzód ostróg, ani nie wygrywaliby następnie bitew, gdyby nie woreczek mniej lub więcej napełniony, który wielbicielki do siodeł ich przyczepiały.

D'Artagnan nie posiadał nic zgoła; nieśmiałość młodzieńcza, ta barwa mglista, kwiat krótkotrwały, ten puszek brzoskwini ulotniły się od podmuchu rad, niezbyt zgodnych z przepisami moralności, jakich trzech muszkietierowie udzielali przyjacielowi. Idąc za dzikim zwyczajem ówczesnym, d'Artagnan w Paryżu czuł się, jak na wojnie, mniej więcej, jak gdyby to było we Flandrii: tam Hiszpan, a tu kobieta. I tu i tam, wróg był do zwyciężenia i kontrybucje do ściągnięcia. Nadmienić nam wypada, że, jak na teraz, nastrój uczuć d'Artagnana szlachetniejszy był i bezinteresowny. Gospodarz wyznał mu, że jest bogaty, łatwo więc było odgadnąć, iż przy tak ograniczonym mężu żona trzymała klucz od kasy, nie to jednak wpłynęło na uczucie, wywołane widokiem pani Bonacieux, a iskra miłości nic prawie wspólnego nie miała z rachubą. Mówimy: nic prawie, gdyż świadomość, że kobieta młoda, piękna i rozumna jest bogata zarazem, nie osłabia miłości, przeciwnie, potęguje ją jeszcze.

W dostatkach bywa moc nawyknień i wybryków arystokratycznych, które piękności dodają uroku. Cieniutka jedwabna pończoszka, suknia ozdobna, zarzutka z cennych

koronek, piękny trzewiczek, wstążka świeża we włosach, nie upiększą kobiety brzydkiej, lecz podnoszą urodę pięknej.

Zresztą nie ukrywaliśmy przed naszymi czytelnikami stanu majątkowego d'Artagnana. Nie był on milionerem bynajmniej. Wprawdzie nie brakło mu nadziei zostania nim w przyszłości, lecz czas, który oznaczył sobie na tę szczęśliwą przemianę, dość był jeszcze daleki. A co za rozpacz widzieć kobietę ukochaną, pragnącą tysiąca drobnostek, składających się na jej szczęście, i nie mieć możliwości ich dostarczenia. Przeciwnie, gdy kochanka jest bogata, to, choć kochanek jej ubogi i ofiarować nic nie może, sama sobie starczy na wszystko – zazwyczaj z pieniędzy męzkowskich, za co wprawdzie wdzięczność przypada w udziale bynajmniej nie mężowi.

Ale d'Artagnan, usposobiony na jak najtkliwszego kochanka, nie przestał być wiernym przyjacielem. Wśród zamiarów miłosnych względem żony gospodarza, nie zapomniał o swoich widokach.

Można było poszczycić się tą śliczną kobietką nietylko na przechadzkach w Saint-Denis, lub też w Saint-Germain na jarmarku, ale też i w towarzystwie Athosa, Porthosa i Aramisa, którym z dumą pokazałby mógł taką zdobycz. Że zaś po dłuższej przechadzce przychodzi głód, co miał sposobność zauważyć szczególnie od pewnego czasu, spożywanoby miłutkie obiadki, w czasie których on miałby po jednej stronie rękę przyjaciela, po drugiej nóżkę kochanki. Wreszcie w wypadkach kłopotliwych, w ciężkich chwilach mógłby być zbawieniem dla przyjaciół.

A cóż się działo z panem Bonacieux, którego d'Artagnan oddał zbirom w ręce, wyparłszy się go głośno, a którego po cichu obiecał wybawić? Przyznać musimy, że przez myśl mu nawet nie przeszedł, a jeżeli wspomniał o nim, to tylko, aby sobie powiedzieć, iż dobrze mu tam, gdzie jest, gdziekolwiekby nawet się znajdował. Najbardziej samolubną namiętnością jest miłość.

Wszelako niechaj czytelnicy nasi wolni będą od obawy. Jeżeli d'Artagnan udawał tylko, czy rzeczywiście zapomniał o swoim gospodarzu, pod pozorem, iż nie wiedział, dokąd go wzięto, my nie zapomnimy o nim, a wiemy, gdzie się znajduje. Na chwilę jednak idźmy za przykładem rozkochanego gaskończyka.

D'Artagnan, zamyślony o swej przyszłej miłości, przemawiając do ciemności nocnych, do gwiazd się uśmiechając, szedł prosto ulicą Cherche Midi. A ponieważ była to dzielnica, w której mieszkał Aramis, przyszła mu myśl odwiedzenia przyjaciela, aby go objaśnić, dlaczego przysłał Plancheta z wezwaniem doń, iżby niezwłocznie stawił się w pułapce.

Alarm ten zasługiwał na wyjaśnienie, tak przynajmniej sądził d'Artagnan.

W duchu zaś dodawał jeszcze, że jest to dla niego sposobność pomówienia o ładniutkiej pani Bonacieux, która, jeżeli nie serce jego, to umysł przepęłniała bezmiernie.

Nie można wymagać od pierwszej miłości, aby była dyskretna.

Pierwszemu uczuciu takiemu towarzyszy tak bezbrzeżna radość, że, gdyby nie dozwolić jej ujść na zewnątrz, zdławiłaby

swoim ogromem.

Już od dwóch godzin światła pogasły w Paryżu, na ulicach robiło się pusto. Wszystkie zegary przedmieścia Saint-Germain wydzwoniły jedenastą; pogoda była łagodna i cicha. D'Artagnan postępował zaułkiem, gdzie dziś ulica d'Assas, i oddychał przyniesioną powiewem wiatru od strony ulicy Vaugirard, wonią, którą słały ogrody, odświeżone rosą wieczorną i chłodem cichej nocy letniej.

Z daleka brzmiały, przygłuszone szczelnie zamkniętymi okiennicami, śpiewy pijaków zapóźnionych w różnych szynkowniach. Doszedłszy do końca zaułka, d'Artagnan zawrócił na lewo. Dom, w którym mieszkał Aramis, znajdował się pomiędzy ulicą Casette a ulicą Sarvandoni. Minął ulicę Casette i drzwi domu przyjaciela rysowały się już przed nim w ciemności, otulone gąszczem bluszczu i klonów, gdy dostrzegł coś na kształt cienia, wysuwającego się z ulicy Sarvandoni.

To coś płaszczem było osłonięte tak, że zrazu d'Artagnan sądził, iż jest to mężczyzna; lecz wzrost mały, chód niepewny i lękliwe ruchy, wkrótce dały mu poznać, iż była to kobieta. Co więcej, kobieta owa, jak gdyby wąpiąc w tożsamość domu, do którego dążyła, oglądała się dokoła, stawała, zawracała i szła znowu dalej.

D'Artagnan zapalał ciekawością.

– A gdybym jej ofiarował swe usługi! – pomyślał. – Z ruchów znać, że jest młoda, a może i ładna. O! z pewnością! kobieta, przebiegająca o tej porze ulicę, po to jedynie

wychodzi, aby spotkać się z kochankiem. E! do licha! gdybym schadzce przeszkodził, nieosobliwe wybrałbym drzwi do wejścia w stosunki przyjazne.

Kobieta ciągle postępowała dalej, licząc domy i okna. Nietrudna to zresztą i niedługa była historia. W tej części ulicy trzy tylko znajdowały się domy mieszkalne. Dwoje okien wychodziło na nią: jedno w pawilonie, równoległym do zamieszkanego przez Aramisa, drugie z jego własnego mieszkania.

– Do kaduka – mruknął d’Artagnan, któremu przyszła na myśl siostrzenica teologa – a to byłoby zabawne, gdyby ta gołąbka zapóźniona szukała domu naszego przyjaciela. Na honor, jakoś bardzo mi na to wygląda. Kochany Aramisie... teraz już żadnej wątpliwości mieć nie chcę.

I kuląc się jak mógł najbardziej, przyparł się do muru, obok ławki kamiennej, w głębi framugi.

Młoda kobieta szła wciąż, a chód lekki znamionował jej młodość; od czasu do czasu pokaszliwała leciutko, zdradzając przy tej sposobności dźwięczny i świeży głosik. D’Artagnanowi przyszło na myśl, że kaszel ten może być hasłem umówionem.

Czy odpowiedziano na ten znak umówiony innym odpowiednim znakiem, który rozproszył niepewność gościa nocnego, czy też bez pomocy cudzej poznała, że stoi u celu wycieczki, dość że śmiało przystąpiła do okiennicy Aramisa i zapukała w trzech równych przerwach zgiętym paluszkciem.

– Ani chybi, że to do niego – mruknął d’Artagnan. – A! panie

hipokryto!... mam cię, kochanku, jak nad teologią pracujesz!...

Zaledwie dało się słyszeć pukanie, otworzyło się okno wewnętrzne i przez szpary okiennicy światło się pokazało.

– Ho! ho! – z cicha szepnął podsłuchujący nie pod drzwiami, lecz pod oknami. – O! wizyta była oczekiwana. A teraz okiennica się otworzy i damulka wdrapie się przez okno. Wybornie!

Lecz, ku wielkiemu jego zdziwieniu, okiennica pozostała zamknięta. Co więcej, światło które zabłyśło na chwilę, zniknęło i wszystko pograżyło się w ciemnościach.

D'Artagnan, pewny, że to nie potrwa długo wytrzeszczał oczy i słuch wycęzał pilnie.

Miał słuszność, w kilka sekund zaledwie, dwa urywane uderzenia rozległy się wewnątrz.

Kobieta z ulicy odpowiedziała jednym i okiennica się otworzyła.

Łatwo pojąć, jak d'Artagnan patrzył i słuchał z chciwością. Na nieszczęście, światło przeniesiono do innego pokoju! Ale oczy młodzieńca oswoiły się z ciemnością. Zwłaszcza, iż oczy gaskończyków, jak mówią, mają własność taką, jak oczy kocie: wybornie widzą wśród nocy.

D'Artagnan zobaczył więc, że młoda kobieta dobyteła z kieszeni jakiś biały przedmiot, który, gdy go rozłożyła, przybrał kształt chusteczki. Rozłożywszy ją, pokazała rożek osobie, będącej w mieszkaniu.

Co u diabła, miała znaczyć ta chusteczka?

Z miejsca, gdzie stał d'Artagnan, nie mógł widzieć twarzy

Aramisa, ale nie wątpił ani na chwilę nawet, że to jego przyjaciel prowadzi rozmowę z wewnątrz z damą stojącą na zewnątrz. Ciekawość jednak przemogła rozsądek. Korzystając więc z zajęcia, w jakim widok chusteczki zdawał się pograżać dwie osoby, wchodzące w grę, wyszedł ze swej kryjówki i, szybki jak błyskawica, tłumiąc odgłos kroków, przypadł do rogu muru, skąd wzrok jego jak najlepiej zagłębić się mógł do wnętrza mieszkania Aramisa.

Stanąwszy tam, o mało nie wydał okrzyku zdumienia. To nie Aramis prowadził rozmowę z damą pod oknem, lecz kobieta; d'Artagnan widział o tyle w ciemnościach, że mógł rozróżnić ubranie, nie widział jednak tyle, aby mógł zobaczyć rysy.

Jednocześnie prawie ta, która stała w pokoju, wyjęła z kieszeni drugą chusteczkę, zamieniając na tę, którą jej pokazano. Następnie obie kobiety powiedziały do siebie słowa kilka. Nareszcie obie kobiety się zamknęły; kobieta, stojąca pod oknem, zawróciła i przeszła o parę kroków od d'Artagnana, zakrywając się kapturkiem płaszcza. Ostrożność ta jednak za późno została przedsięwzięta, bo przedtem już d'Artagnan poznał panią Bonacieux.

Pani Bonacieux! Podejrzewał on już, że to była ona, gdy zobaczył chusteczkę, wyjętą z kieszeni; nie przypuszczał jednak, aby pani Bonacieux, która posłała po pana de la Porte, by ją do Luwru odprowadził, uganiała się sama jedna po ulicach Paryża o wpół do dwunastej w nocy, narażając się na powtórne porwanie. Musiał być powód nader ważny; a jakież może on

być dla kobiety dwudziestopięcioletniej? Miłość. Ale, czy to na rachunek własny, czy na cudzy, wystawiała się na nocne przygody? Pytanie to dręczyło młodzieńca, któremu szatan zazdrości pożerał serce, ni mniej ni więcej, jakgdyby już był uprawnionym kochankiem.

Ażeby przekonać się, dokąd pójdzie pani Bonacieux, pozostawał mu jedyne sposob: iść za nią. D'Artagnan instynktownie użył tego sposobu. Lecz, na widok mężczyzny, który oderwał się od muru, jak posąg od framugi, i na odgłos kroków, rozlegających się poza nią, pani Bonacieux wydała lekki okrzyk i poczęła uciekać.

D'Artagnan pogonił. Nietrudną było rzeczą dopędzić kobietę, której płaszcz krępował ruchy. Wkrótce też znalazł się tuż przy niej. Nieszczęsna, wyczerpana była nie zmęczeniem, lecz przerażeniem i, gdy d'Artagnan położył rękę na jej ramieniu, przyklękła na jedno kolano, głosem zdławionym wołając:

– Zabij mnie, ale nic się nie dowiesz!

D'Artagnan podniósł ją, wpół obejmując. Lecz, czując po ciężarze, że bliska jest zemdenia, jął uspakajać ją najczulszemi słowy. Słowa te nie wpłynęły na uspokojenie pani Bonacieux, tak samo odzywać się mógł ktoś, mający zamiary jak najgorsze w świecie; lecz tu stanowił o wszystkim głos. Brzmienie jego wydało się jej znajome. Uchyliła powieki i szybkim wejrzeniem ogarnęła tego, który tak strasznie ją przeraził, a poznawszy d'Artagnana, wykrzyknęła radośnie.

– O! to pan! to ty!... dziękuję ci, Boże!

– Tak, to ja – odrzekł d'Artagnan – ja, zesłany przez Boga, abym czuwał nad panią.

– Czy i w tym zamiarze śledził pan mnie? – z uśmiechem zalotnym spytała młoda kobieta, której usposobienie drwiące poczyniło się objawiać, bo znikły obawy wszelkie jej z chwilą, kiedy poznała przyjaciela w tym, którego uważała za wroga.

– Nie – odrzekł d'Artagnan – przyznaję, że nie; wypadek postawił mnie na drodze pani. Widząc kobietę, pukającą do okna jednego z moich przyjaciół...

– Jednego z przyjaciół pańskich? – przerwała pani Bonacieux.

– Bez wątpienia, Aramis jest najlepszym moim przyjacielem.

– Aramis! Któż to taki?

– Cóż znowu?... chcesz pani powiedzieć może, iż nie znasz Aramisa?

– Pierwszy raz w życiu słyszę to nazwisko.

– Więc to po raz pierwszy do domu tego przychodzisz pani?

– Rozumie się.

– I nie wiedziałaś pani, że w nim mieszka człowiek młody?

– Nie.

– Muszkieter?

– Nic nie wiedziałam.

– Więc pani nie do niego przysłaś?

– Wcale nie. Wreszcie widziałeś pan dobrze, że osoba, z którą rozmawiałam, jest kobietą.

– Prawda, lecz ta kobieta jest jedną z przyjaciółek Aramisa.

– Nie wiem.

- Skoro u niego przebywa...
- To do mnie nie należy.
- Więc któż to taki?
- O! to nie moja tajemnica.
- Droga pani Bonacieux, jesteś czarującą, ale zarazem strasznie tajemniczą kobietą...
- Czy na tem coś tracę?
- Nie, przeciwnie, jesteś godna ubóstwienia.
- Kiedy tak, podaj mi pan ramię.
- Najchętniej. A teraz?
- A teraz prowadź mnie.
- Dokąd?
- Tam, dokąd idę.
- A dokąd pani idzie?
- Zobacysz pan, ponieważ u drzwi mnie opuścisz.
- Czy będzie można poczekać na panią?
- Byłoby to daremne.
- Powrócisz więc pani sama?
- Może tak, a może nie.
- Ale któż pani towarzyszyć będzie, mężczyzna, czy kobieta?
- Nic jeszcze nie wiem.
- No to ja będę wiedział.
- W jaki sposób?
- Poczekał, ażeby zobaczyć, jak pani będzie wychodziła.
- Kiedy tak, to żegnam!
- Dlaczego?

- Nie potrzebuję pana.
- Ależ pani żądała...
- Pomocy szlachcica, a nie dozoru szpiega.
- Słówek trochę za ostre.
- A jak nazywają tych, którzy śledzą ludzi wbrew ich woli?
- Niedyskretnymi.
- Nazwa trochę za łagodna.
- Cóż robić, widzę że trzeba tak chcieć, jak pani chce.
- Czemuż ująłeś pan sobie zasługi, nie czyniąc tego od razu?
- Czyż nie ma ludzi bez winy i żalu?
- Żałujesz więc pan prawdziwie i szczerze?
- Sam nie wiem, doprawdy. To tylko wiem, że przyrzekam spełnić wszystkie pani rozkazy, jeżeli pozwolisz mi towarzyszyć tam, dokąd idziesz.
- I zostawisz mnie pan potem samą?
- Tak.
- I nie będziesz śledził mnie, gdy wychodzić będę?
- Nie.
- Słowo honoru?
- Słowo szlacheckie!
- Więc daj mi pan rękę i chodźmy.

D'Artagnan podał jej ramię, na którym oparła się na wpół roześmiana, na wpół drżąca, i udali się oboje w górę ulicy de la Harpe.

Doszedłszy tam, młoda kobieta zawahała się widocznie, tak samo, jak na ulicy Vaugirard. Musiała bramy domów poznawać

po jakichś znakach, podchodząc ku nim.

– Teraz panie – rzekła – tutaj właśnie mam czynność do załatwienia; tysiącne dzięki za twoje zacne towarzystwo, które uchroniło mnie od wszelkich niebezpieczeństw, na jakie, idąc sama, byłabym wystawiona. Nadeszła chwila dotrzymania danego mi słowa, przyszedłam na miejsce przeznaczenia.

– I nie będziesz pani miała żadnej obawy, powracając?

– Obawiać się mogę tylko złodziei.

– Czyż to nie dość?

– Cóżby mi zabrać mogli? szeląga przy sobie nie mam.

– Zapominasz pani o chusteczce z herbami haftowanymi.

– O jakiej?

– O tej, którą u nóg twoich znalazłem i do kieszeni jej włożyłem.

– Milcz! milcz! nieszczęsny! – krzyknęła kobieta – czy chcesz mnie zgubić?

– Widzisz więc pani, że ci jeszcze grozi niebezpieczeństwo, bo przyznajesz, że, gdyby słowo to usłyszane zostało, byłabyś zgubiona. O pani, wysłuchaj mnie – zawołał d'Artagnan, ujmując jej rękę i obejmując ją płomiennym wejrzeniem – wysłuchaj! bądź łaskawszą dla mnie i zaufaj mi; czyż nie wyczytałaś z mych oczu, iż serce moje przepełnione poświęceniem i sympatją dla ciebie!

– Wierzę – odrzekła pani Bonacieux. – Zażądaj pan tajemnic moich, a powiem ci je wszystkie, lecz nic domagaj się tych, które nie należą do mnie.

– Dobrze – odrzekł d'Artagnan – sam je więc odkrywę; skoro tajemnice te mają mieć wpływ na życie pani, muszę je poznać.

– Strzeż się pan – zawołała młoda kobieta, z powagą, która dreszczem mimowolnym przejęła d'Artagnana. – O! nie mieszaj się do tego, co do mnie należy, nie usiłuj dopomagać mi w tem, co spełniam sama; żądam tego w imię sympatji, jaką budzę w panu, w imię przysługi, którą mi wyświadczyłeś, a której, póki życia, nie zapomnę. Chciej uwierzyć raczej w to, co mówię. Nie zajmuj się pan mną więcej, niech nie istnieję dla ciebie, niechaj tak będzie, jak gdybyś mnie nie widział nigdy w życiu.

– Czy i Aramis winien tak samo, jak ja uczynić? – zapytał do żywego dotknięty d'Artagnan.

– Pan już dwa, czy trzy razy powtórzył to imię, a mówiłam ci, że go wcale nie znam.

– Nie znasz pani człowieka, do którego okiennicy pukałeś przed chwilą? Pani masz mnie za zbyt naiwnego!

– Przyznaj pan, że układasz całą historję, aby wyciągnąć mnie na słówka, i tego Aramisa wymyśliłeś po prostu.

– Nic nie wymyśliłem, ani nic nie układam, prawdę tylko mówię najszczerzą.

– Utrzymujesz więc, iż jeden z przyjaciół twoich mieszka w tym domu?

– Powiedziałem i po raz trzeci powtarzam, iż dom ten zamieszkuje przez mego przyjaciela, a jest nim Aramis.

– Wszystko to wyjaśni się później – szepnęła kobieta – a teraz milcz, błagam pana.

– Gdybyś pani w serce moje zajrzeć była w stanie – odezwał się d’Artagnan – wyczytałabyś w niem tyle ciekawości, iż litość byś dla mnie uczuła, a miłości tyle, iż zaspokoiłabyś natychmiast moją ciekawość. Nie powinniśmy się obawiać tych, którzy nas kochają.

– Zaprędko prawisz o miłości, mój panie! – odezwała się młoda kobieta, potrząsając głową.

– Bo miłość ta przysłała na mnie nagle i to po raz pierwszy; nie mam jeszcze dwudziestu lat.

Kobieta spojrzała na niego ukradkiem.

– Posłuchaj mnie, pani, już wpadłem na ślady – rzekł d’Artagnan. – Trzy miesiące temu o mało nie doszło do pojedynku z Aramisem o chustkę podobną do tej, którą pokazywałaś damie, przebywającej u niego, o chusteczkę, w ten sam sposób znaczoną. Pewny tego jestem.

– Panie – odpowiedziała młoda kobieta – przysięgam ci, iż męczysz mnie okrutnie tem badaniem.

– Ale ty, pani, tak przezorna, pomyśl, że gdybyś została uwięziona z chusteczką tą; gdyby ci ją pochwycono, nie byłabyś skompromitowana?

– Z jakiej racji, wszak litery moje są: K. B., Konstancja Bonacieux.

– Albo też Kamilla de Bois-Tracy.

– Cicho, panie, cicho! Jeżeli nie powstrzymuje cię myśl o mojem niebezpieczeństwie, pomyśl o tem, na które sam się narażasz!

– Ja?

– Tak, dla ciebie niebezpieczeństwo więzienia, dla mnie niebezpieczeństwo śmierci!

– To ja pani nie odstąpię.

– Panie – odezwała się, błagalnie składając ręce – panie, na imię boskie, na honor żołnierski, w imię uczciwości szlacheckiej, oddal się; słuchaj, północ już bije, to godzina, o której na mnie czekają.

– Pani – rzekł młodzieniec z ukłonem – nie jestem w stanie odmówić, gdy mnie ktoś prosi w ten sposób; bądź zadowolona, odchodzę.

– I nie będziesz pan szedł za mną, nie będziesz mnie śledził?

– Wracam natychmiast do siebie.

– O! wiedziałam to od razu, że zacnym młodzieńcem jesteś!

– zawołała pani Bonacieux, podając mu rękę, a drugą biorąc za młotek u maleńkich drzwi, ukrytych w murze.

D'Artagnan pochwycił podaną sobie rękę i wycisnął na niej gorący pocałunek.

– O! wolałbym, gdybyśmy się nigdy nie spotkali – zawołał z tą naiwną prostotą, która więcej ujmuje kobiety, niż gładkie słówka grzeczności, odsłania ona bowiem głęb myśli i dowodzi, że uczucie bierze nad rozumem górę.

– Kiedy tak!... – odrzekła pani Bonacieux głosem pieśczośliwym nieledwie, ściskając rękę d'Artagnana, który przytrzymał jej rączkę – kiedy tak, to kto wie, czy wtedy, gdy z przysięgi zwolnioną już będę, nie uczynię zadość ciekawości

pańskiej?...

– A dla miłości mojej, czy to samo mi obiecujesz? – zawołał d'Artagnan w uniesieniu radosnem.

– O! co do tego, nie chcę się zobowiązywać, zależeć to będzie od uczuć, jakie potrafisz wzbudzić.

– Zatem dziś, pani...

– Dziś, panie, wdzięczność jedynie mam dla ciebie.

– O! jesteś pani zachwycająca nad wyraz – rzekł ze smutkiem d'Artagnan – i nadużywasz mojej miłości.

– Nie, korzystam tylko z pańskiej szlachetności, ot i wszystko. Wierzaj mi jednak szczerze, iż są ludzie, u których nic się nigdy nie traci.

– O! pani, najszcześniejszym z ludzi mnie czynisz. Nie zapomnij wieczoru dzisiejszego, nie zapomnij swojej obietnicy.

– Bądź pan spokojny, w chwili przyjaznej przypomnę sobie o wszystkim. A teraz, odejdz pan, na imię boskie! Spóźniłam się już, czekano mnie o samej północy.

– Pięć minut upłynęło zaledwie.

– Tak, lecz w niektórych razach pięć minut staje się pięcioma wiekami.

– Wtedy, gdy kochamy.

– A któż panu mówi, że nie mam do czynienia z zakochanym?

– Więc to mężczyzna oczekuje na panią? – wykrzyknął d'Artagnan – mężczyzna!

– O! znów zaczyna się rozprawa – zauważyła pani Bonacieux, na wpół z uśmiechem, na wpół ze zniecierpliwieniem.

– Nie, nie, odchodzę już, uciekam; wierzę w ciebie, pani, bo pragnę mieć zasługę w poświęceniu mojem dla ciebie, choćby nawet miało być ono głupotą, żegnaj mi pani, żegnaj!

I, jak gdyby nie czuł się na siłach, aby oderwać się od ręki, którą w dłoniach trzymał, zrobił ruch gwałtowny i pędem się oddalił, gdy pani Bonacieux tak samo, jak do okiennicy, po trzykroć zapukała uderzeniem powolnem i miarowem. Dobiegłszy do rogu ulicy, obejrzał się, drzwiczki się otwały i zamknęły i piękna żona kupca zniknęła za niemi.

D'Artagnan szedł dalej. Dał słowo, że nie będzie szpiegował pani Bonacieux i gdyby nawet życie jego zależało od tego, dokąd się uda, lub od osoby, która towarzyszyć jej miała, wróciłby do siebie, bo powiedział, że wróci.

W pięć minut był już na ulicy Grabarzy.

– Biedny Athos – mówił sam do siebie – nic on wiedzieć nie będzie, co to wszystko znaczy. Zasnął może, czekając na mnie, lub może powrócił do siebie i dowiedział się, że kobieta znajduje się w jego mieszkaniu. Kobieta u Athosa! No, przecież była tam jakaś u Aramisa. Wszystko to jest niesłychanie dziwne, i mocno jestem ciekawy, jak się to skończy.

– Żle, panie, źle – odpowiedział mu głos, po którym d'Artagnan poznał Plancheta, gdyż, rozmawiając z sobą głośno, jak zwykle ludzie roztargnieni, wszedł do sieni, z której schody prowadziły do jego mieszkania.

– Jakto, źle? co ty pleciesz, durniu? – zapytał d'Artagnan – co się takiego stało?

– Nieszczęście!

– Jakie?

– Najpierw, pan Athos uwięziony.

– Uwięziony?... Athos?... za co?

– Zastano go u pana, i za pana go wzięto.

– A któż go aresztował?

– Straż przyprowadzona przez czarnych ludzi, których pan zmusiłeś do ucieczki.

– Czemuż nie powiedział, jak się nazywa? Czemu nie powiedział, że do tej sprawy wcale nie należy?

– Tego się właśnie wystrzegał najbardziej; zbliżył się do mnie, mówiąc: „Pan twój nade wszystko winien teraz wolnym pozostać, a nie ja, ponieważ on wie o wszystkim, ja o niczym. Będą myśleli, że go mają, przez co zyska na czasie; za trzy dni powiem im, kim jestem i muszą mnie wypuścić”.

– Brawo!... Athos!... szlachetne serce!... – mruknął d'Artagnan – to patrzy na niego! A co zrobili zbiry?

– Czterech poprowadziło go nie wiem dokąd, do Bastylji, czy też do fortu Biskupiego; dwóch zaś pozostało z czarnymi ludźmi, którzy, wszystkie zakątki przetrząsnawszy, zabrali papiery, jakie tylko były. Dwóch wreszcie, w ciągu tej czynności, stało u drzwi na straży; potem, gdy wszystko już się skończyło, odeszli, zostawiając dom pusty i otwarty.

– A Porthos i Aramis?

– Nie zastałem ich, więc nie przyszli.

– Mogą jednak przyjść lada chwila, bo powiedziałaś im

przecie, iż czekam na nich?

– Tak, panie.

– Zatem, nie rusz się stąd ani na krok; jeżeli przyjdą, powiedz im, co się zdarzyło, niech poczekają na mnie w oberży *Pod Jabłkiem*; tutaj mogłoby być niebezpiecznie, dom może być strzeżony. Ja śpieszę do pana de Tréville, by mu o wszystkim oznajmić i sam do nich przyjdę.

– Dobrze, proszę pana.

– Ale ty zostaniesz i nie będziesz się bał! – rzekł, powracając jeszcze d’Artagnan, aby zalecić odwagę służącemu.

– Niech pan będzie spokojny – rzekł Planchet – O! pan mnie jeszcze nie zna, jak sobie powiem, to jestem odważny, muszę tylko sobie powiedzieć; zresztą jestem pikardyjczykiem.

– Więc zrozumiałeś już: zabić się raczej dasz, a nie opuścisz tego domu.

– Tak, panie; o! nie ma rzeczy, którejby nie uczynił, by panu dowieść mego przywiązania.

– Dobrze – rzekł w duchu d’Artagnan – widocznie metoda, której użyłem względem tego chłopca, bardzo była trafna, przy sposobności będę ją nadal stosował.

I, o ile mu na to pozwoliły nogi, bo już czuł się zmęczony bieganiną, popędził na ulicę du Vieux Colombier.

Nie zastał pana de Tréville w domu; oddział jego był w Luwrze na służbie i on razem ze swym oddziałem. Potrzeba było dotrzeć do niego koniecznie i zawiadomić o tem, co się dzieje. D’Artagnan postanowił więc wcisnąć się do Luwru.

Mundur straży pana Desessarts winien mu być utorować drogę. Zszedł więc na ulicę Augustynów i zawrócił na bulwar, aby przejść przez Nowy Most. Powziął na chwilę zamiar przepłynąć się promem przez rzekę, lecz, stanąwszy już nad brzegiem, wsunął machinalnie rękę do kieszeni i przekonał się, iż nie ma czem przewoźnika zapłacić.

Gdy podążył już w górę ulicy Guenegaud, dostrzegł dwie osoby, wychodzące z ulicy Dauphine, a powierzchowność ich mocno go uderzyła: była to kobieta i mężczyzna.

Pierwsza przypominała panią Bonacieux, drugi podobny był do Aramis.

Nadto kobieta była okryta takim samym płaszczem, jaki zarysował mu się na tle okiennicy przy ulicy Vaugirard i na drzwiczkach ulicy de la Harpe.

Co więcej, mężczyzna miał na sobie mundur muszkieterski.

Kobieta szła z zapuszczonym kapturkiem, mężczyzna trzymał przy twarzy chusteczkę. Ostrożność ta wskazywała, że, jak jej, tak i jemu zależało na tem, aby ich nie poznano.

Weszli na most.

Tą drogą miał iść i d'Artagnan do Luwru; poszedł więc za nimi.

Nie zrobił jeszcze dwudziestu kroków, gdy upewnił się w podejrzeniu, że kobietą jest pani Bonacieux, a mężczyzną Aramis.

Wszystkie podejrzenia zazdrości wstrząsnęły mu serce.

Pani Bonacieux przysięgała mu, że Aramis nie zna,

a w kwadrans po tych zakłęciach, spotyka ją oto przy boku Aramis!

Nie zastanowił się tylko, że znał piękną żonę kupca od trzech godzin zaledwie, że nic mu winna nie była, prócz nieco wdzięczności za wyrwanie z rąk czarnych ludzi, którzy porwać ją chcieli, i że żadnych mu nie dała obietnic. Wszakże, miał się za kochanka shańbionego, zdradzonego, sponiewieranego. Zakipiął gniewem, krew mu uderzyła do skroni, postanowił wszystko wyjaśnić.

Dwoje młodych ludzi spostrzegło, iż są śledzeni, podwoili więc kroku.

D'Artagnan pośpieszył, wyminął ich, następnie zawrócił i poszedł ku nim w chwili, gdy przechodzili pod latarnią, która rzucała światło na całą tę część mostu.

Zatrzymał się przed nimi i oni też stanęli.

– Czego pan sobie życzy? – zapytał muszkieter akcentem cudzoziemskim, jakby chciał dowieść d'Artagnanowi, iż myli się co do swych przypuszczeń.

– To nie Aramis! – wykrzyknął.

– Nie, panie, wcale nie Aramis, a po wykrzykniku tym, widzę, że za kogo innego mnie wzięłeś, przebaczam więc panu.

– Przebaczasz mi pan? – zawołał d'Artagnan.

– Tak – odrzekł nieznajomy – ustąp pan więc z drogi, skoro nie do mnie masz interes.

– Bardzo słusznie, mój panie! – odparł d'Artagnan – nie do pana, lecz do pani mam interes...

– Do pani?... wcale jej nie znasz!... – rzekł nieznajomy.

– Mylisz się pan, ja ją znam!

– O! – odezwała się pani Bonacieux z wymówką. – O, panie! dałeś mi słowo szlacheckie, spodziewam się, iż mogę na nie liczyć.

– A mnie – odezwał się w zakłopotaniu d’Artagnan – mnie pani przyrzekałaś...

– Weź mnie pani pod rękę – rzekł cudzoziemiec i chodźmy dalej.

D’Artagnan oszołomiony, zdrętwiały tern wszystkim, co go spotkało, stał jak wryty z rękami na piersiach skrzyżowanymi, przed muszkietierem i panią Bonacieux.

Muskietier zrobił dwa kroki i ręką odsunął na bok d’Artagnana.

Ten rzucił się w tył i dobył szpady.

Jednocześnie, z błyskawiczną szybkością nieznajomy uczynił to samo.

– *Milordzie*, na Boga! – krzyknęła pani Bonacieux, rzucając się pomiędzy walczących i rękami chwytając za ostrza.

– *Milord!*... – zawołał d’Artagnan, myślą nagłą oświecony – *milord!*... Wybacz panie, byłżebyś...

– *Milord*, książę de Buckingham – odezwała się półgłosem pani Bonacieux – a teraz możesz nas wszystkich zgubić.

– *Milordzie*, pani, przebaczenia! po tysiąc razy przebaczenia! ... ale ja kochałem ją i byłem zazdrosny, a wiesz przecie, *milordzie*, co to kochać: przebacz mi i powiedz, w jaki sposób

życie za ciebie oddać.

– Dzielny z ciebie młodzieniec – rzekł Buckingham, podając mu rękę, którą tenże uściśnął z szacunkiem – ofiarujesz mi usługi swoje, przyjmuję; idź za nami o dwadzieścia kroków aż do Luwru; gdyby nas kto śledził, zabij go!

D'Artagnan wziął pod pachę szpadę obnażoną, pozwolił pani Bonacieux i Buckinghamowi wyprzedzić się o dwadzieścia kroków i postępował za nimi, gotów spełnić co do litery zlecenia świętego ministra Karola I-go.

Na szczęście jednak młodzieniec nie miał najmniejszej okazji, aby dowieść wierności, i młoda kobieta z pięknym muszkietерem dostali się do Luwru przez furtkę od ulicy Drabiniastej bez najmniejszej przeszkody.

D'Artagnan zaś udał się niezwłocznie do oberży *Pod Jabłkiem*, gdzie zastał oczekujących na siebie Porthosa i Aramisа.

Nie tłumacząc się ze sprawionego im niepokoju, oświadczył tylko, iż sam zakończył sprawę, do której chwilowo odwołał się o ich współudział.

A teraz, idąc za biegiem naszego opowiadania, zostawiwszy trzech przyjaciół, wracających do domu, zapuścmy się w zaułki Luwru, za księciem de Buckingham i jego przewodniczką.

Rozdział XII. Jerzy Villiers, książę Buckingham

Pani Bonacieux i książę bez żadnych trudności weszli do Luwru; pierwsza, jako należąca do służby królowej, książę zaś dzięki mundurowi muszkietierów pana de Tréville, którzy, jak wiadomo, byli tego wieczora na służbie. Wreszcie German sprzyjał królowej, a w najgorszym wypadku tylko pani Bonacieux byłaby obwiniona o wprowadzenie kochanka swego do Luwru. Całą winę brała ona na siebie.

Dostawszy się na dziedziniec, oboje postępowali pod murem ze dwadzieścia pięć kroków. Potem pani Bonacieux nacisnęła klamkę drzwiczek służbowych, w dzień otwartych, lecz w nocy zwykle zamkniętych.

Wszedłszy tam, znaleźli się w ciemnościach.

Lecz pani Bonacieux знаła wszelkie zaułki w tej części Luwru, która przeznaczoną była dla służby.

Zamknęła drzwi za sobą, wzięła księcia za rękę, przeszła kilka kroków po omacku, uchwyciła za poręcz, postawiła na stopniu nogę i zaczęła wchodzić na górę: książę naliczył dwa piętra.

Wtedy zawróciła na prawo, minęła długi korytarz, zesłała w dół jedno piętro, jeszcze kilka kroków i klucz włożyła w zamek.

Drzwi się otwały, a książę wpuszczony został do komnaty, oświetlonej jedną tylko lampą nocną.

Wówczas rzekła do niego:

– Zaczekaj tu, milordzie, wkrótce nadejdzie.

Wysłała temi samymi drzwiami, zamykając je na klucz, tak że księżę literalnie był uwięziony.

Jakkolwiek tak osamotniony, księżę ani na chwilę nie doznał obawy.

Jedną z najwybitniejszych cech jego charakteru było uganianie się za przygodami i zamiłowaniem w romantycznych zdarzeniach.

Odważny, zuchwały i przedsiębiorczy, nie po raz pierwszy narażał życie dla podobnych zachcianek.

Dowiedział się już, iż rzekome wezwanie Anny Austriackiej, na które przybył do Paryża po prostu było zasadzką. Zamiast powrócić do Anglii, skorzystał ze sposobności, jaką mu nastreczono, i oznajmił królowej, że nie odjedzie dopóki się z nią nie zobaczy.

Zrazu królowa odmówiła stanowczo, później zdjął ją strach, aby zrozpaczony księżę nie popełnił jakiego szaleństwa. Gotowa już była przyjąć go i błagać, aby natychmiast odjechał, kiedy tego wieczora, gdy przychyliła się do próśb jego, pani Bonacieux, mająca polecenie pójść po księcia i przyprowadzić go do Luwru, została porwana. W ciągu dwóch dni nie wiedziano wcale, co się z nią dzieje, i wszystko zostało w zawieszeniu. Skoro się jednak uwolniła i porozumiała z La Portem, rzeczy na nowo bieg swój przybrały i pani Bonacieux spełniła to niebezpieczne zadanie, które, gdyby nie uwięzienie jej, trzy dni przedtem doszłoby do

skutku.

Buckingham, pozostawszy sam, stanął przed lustrem. Ślicznie wyglądał w ubraniu muszkieterskiem.

W trzydziestym piątym roku życia, słusznie uchodził za najpiękniejszego mężczyznę i najwytworniejszego kawalera zarówno we Francji, jak w Anglii. Ulubieniec dwóch królów, milioner, wszechwładny w królestwie, gdzie sprawiał przewroty według fantazji i poskramiał według zachcianek, Jerzy Villiers, książę de Buckingham, wiódł życie w sposób tak bajeczny, że z biegiem wieków pozostawić mogło podziw u potomności.

Pewny siebie, przeświadczony o swojej władzy, spokojny, iż prawa, rządzące innymi, jego dosięgnąć nie mogą, szedł prosto do zamierzonego celu, choćby był on tak wysoki i olśniewający, że dla innego szaleństwem byłoby nawet o nim pomyśleć.

Dzięki temu dostąpił już kilkakrotnie zbliżenia do pięknej i dumnej Anny Austrjackiej i, oczarowawszy ją, zmusił do kochania.

Stanął teraz przed lustrem, jak powiedzieliśmy, przywrócił pięknym jasnym włosom ich falistość, która zniknęła pod ciężarem kapelusza, podkręcił wąsa i z sercem, wezbranem radością, szczęśliwy i dumny z dostąpienia chwili, której tak pragnął od dawna, uśmiechał się do siebie, przejęty nadzieją i dumą.

Naraz otworzyły się drzwiczki, ukryte w obiciu, i ukazała się kobieta.

Była to królowa.

Anna Austrjacka miała wtedy dwadzieścia pięć do dwudziestu siedmiu lat i była w całym blasku piękności.

Chód jej był chodem królowej i bogini zarazem, oczy z odbłyskiem szmaragdu wprawiały w zachwyt niewypowiedziany, spojrzenie ich tchnęło słodyczą i majestatem. Usteczka małe i pąsowe, a jakkolwiek warga dolna, jak u wszystkich księżąt domu austrjackiego, wystawała bardziej niż górna, uśmiech roztaczał urok niepomierny.

Umiała jednak ustom nadać też wyraz okrutnie wzgardliwy, gdy chciała wyrazić nienawiść.

Płeć jej służyła z miękkości i puszystości, ręce i ramiona zadziwiały pięknnością i wszyscy poeci ówczesni opiewali je, jako niezrównane.

Wreszcie włosy jasne w pierwszej młodości, a teraz ciemniejsze, upudrowane, okalały cudownie jej twarz, od której krytyk najostrzejszy mógłby tylko wymagać nieco mniej różu, a rzeźbiarz najwybredniejszy trochę delikatniejszych linii nosa.

Buckingham stanął olśniony.

Nigdy tak piękną mu się nie wydała, ani na balach, uroczystościach, ani na turniejach, jak obecnie, w skromnej sukni z białego atłasu, mając przy boku donnę Estefanę, jedyną z dam hiszpańskich, która nie została wygnana przez zazdrość króla, ani przez prześladowanie Richelieu'ego.

Anna Austrjacka postąpiła parę kroków.

Buckingham rzucił się jej do kolan i, zanim zdołała mu przeszkodzić, ucałował brzeg jej sukni.

– Książę, wiesz już, że to nie ja pisałam do ciebie.

– O! tak pani, o! tak królowo – wykrzyknął książę – wiem, iż byłem szaleńcem, nierozumnym, sądząc, iż lód się ożywi, marmur ogrzeje; lecz, co począć, gdy kochamy, łatwo w miłość wierzymy; wreszcie nic na tej podróży nie straciłem, skoro cię oglądam.

– Tak – odrzekła Anna – lecz pan wiesz, dlaczego i w jakim celu widzę się z tobą, bo nieczuły na wszystkie moje udręczenia, uparłeś się pozostawać w mieście, gdzie narażasz swoje życie a moją cześć; przyszedłem, ażeby powiedzieć panu, iż wszystko nas przedziela, głębokość morza, nieprzyjaźń rządów i świętość przysięgi. Świętokradztwem jest walczyć przeciw takim siłom, milordzie. Wreszcie, widzę się z tobą, aby ci jeszcze powiedzieć, że więcej widywać się nie możemy.

– Mów pani, mów królowo – rzekł Buckingham – słodycz głosu twego łagodzi gorycz twych słów. O świętokradztwie mówisz! ależ świętokradztwem jest rozłąka dwojga serc, które Bóg jedno dla drugiego stworzył.

– Milordzie!... – zawołała – zapominasz, iż nigdy nie powiedziałam, że cię kocham!...

– Lecz nigdy mi nie powiedziałaś także, że nie kochasz mnie pani wcale i doprawdy wyrzec takie słowa za wielką byłoby niewdzięcznością ze strony Waszej królewskiej mości. Bo powiedz mi, gdzie znajdziesz miłość podobną do mojej, miłość, której ani czas, ani oddalenie, ani rozpacz nie mogą ugasić; miłość, która się zadawała wstążką zgubioną, wejrzeniem

przelotnem, słówkiem nieobliczonem. Trzy lata temu, pani, po raz pierwszy cię ujrzałem i odtąd w ten sposób cię kocham. Czy chcesz, abym ci powiedział, jak byłaś ubrana, gdy po raz pierwszy cię ujrzał? Chcesz, abym opisał szczegółowo każdą ozdobę twojego ubioru? Racz słuchać, królowo, widzę cię jeszcze: siedziałaś na ziemi, według obyczaju hiszpańskiego, miałaś suknię z zielonego atłasu, złotem i srebrem haftowaną, rękawy rozwarte i djamentami podpięte na pięknych ramionach, na tych ramionach cudownych; pod szyją kryzę miałaś, maleńki birecik na głowie tegoż koloru, co suknia, a na nim wspaniałe pióro czaple. O! słuchaj, zamykam oczy i widzę cię taką, jaką byłaś wtenczas; otwieram je i widzę cię taką, jaką jesteś teraz, czyli stokroć piękniejszą jeszcze!

– Co za szaleństwo!... – szepnęła Anna Austrjacka, nie mając odwagi gniewać się na księcia, że tak wiernie zachował w sercu swem jej obraz – co za szaleństwo karmić namiętność daremną takimi wspomnieniami!...

– A czemże żyć mogę? nic nie posiadam, prócz moich wspomnień. To szczęście moje, mój skarb, moja nadzieja. Za każdym razem, gdy widzę ciebie, jeden djament przybywa do skarbcza mojego serca. Ten jest czwartym, który mi rzucasz, a ja go podnoszę skwapliwie; bo w ciągu trzech lat, pani, cztery razy widziałem cię tylko: pierwszy, jak już wspomniałem, u pani de Cheyreuse drugi, a trzeci w ogrodach w Amiens.

– Księżę – rumieniąc się rzekła królowa – nie wspominaj tego wieczoru.

– O! pani, przeciwnie, wspominajmy, mówmy o nim: to promienny i najszczęśliwszy wieczór w moim życiu. Czy przypominasz sobie tę noc precudną? Jak ciepłe i wonne było powietrze, niebo błękitne, gwiazdami usiane!

O! ten raz jeden, pani, przez chwilę mogłem sam pozostać z tobą; gotowa byłaś wtedy wypowiedzieć mi wszystko, życia twego osamotnienie, smutki serdeczne twoje. Wsparta byłaś na mojem ramieniu, o patrz, na tem właśnie. Czułem, skłaniając ku tobie głowę, włosy piękne, twarz mi muskające, a za każdym dotknięciem takim drzenie przenikało całą moją istotę.

O! królowo, królowo! o! ty wiesz, ile szczęścia niebiańskiego, rozkoszy, raju chwile podobne zawierają w sobie. Pani! majątek mój, sławę, lata, które mi do przeżycia pozostają, wszystkobyem oddał za chwilę taką, za noc podobną! bo nocy tej, przysięgam, kochałaś mnie pani szczerze.

– Być może, milordzie, że tak było: wpływ otoczenia, urok pięknego krajobrazu, potęga twego wzroku, tysiące okoliczności wreszcie, które się zbiegają, aby zgubić kobietę, obieży tego nieszczęsnego wieczoru. Widziałeś jednak, milordzie, jak królowa przyszła w pomoc kobiecie słabnącej. Za pierwszym słowem, które wyrzec się poważyłeś, za zuchwalstwem, któremu winna byłam odmówić, wezwałam pomoc.

– O! tak, to prawda i każda inna a nie moja miłość nie zniosłaby takiej próby; lecz moja wyszła z niej tem gorętsza, tem bardziej nieskończona... Sądziłaś, że, wracając do Paryża, uciekniesz przede mną, że nie poważę się opuścić skarbu, nad

którym pan mój czuwać mi polecił. O! cóż mnie obchodzić mogą wszystkie skarby świata, wszyscy ziemscy królowie!

W tydzień już byłem z powrotem, pani. Tym razem nic mi nie miałaś do zarzucenia: zlekceważyłem moje stanowisko, życie, aby ujrzeć cię na sekundę; ręki twej nie dotknąłem nawet, a wtedy, widząc mnie tak uległego i skruszonego, przebaczyłaś mi pani.

– Tak, lecz oszczerstwo pochwyliło te wszystkie szaleństwa, w których nie brałam udziału, wiesz dobrze o tem, milordzie. Król, podżegany przez kardynała, wybuchnął straszliwym gniewem, pani de Vernet została wypędzona, Putange na wygnanie skazany, pani de Chevreuse wpadła w niełaskę i, kiedy chciałaś jako ambasador do Francji powrócić, sam król, pamiętasz to dobrze, milordzie, król sam oparł się temu.

– Tak, i Francja zapłaci wojną za odmowę swojego władcy. Nie mogę cię już widywać, pani; chcę zatem, byś nieustannie słyszała mówiących o mnie!

Jaki cel, myślisz pani, miała wyprawa na Charente i związek z protestantami Rochelli, który projektuję? O! tylko rozkosz widywania ciebie, królowo!

Nie mam, co prawda, nadziei dotrzeć z bronią w rękę do samego Paryża; lecz wojna może sprowadzić pokój i w takim razie niezbędny będzie pełnomocnik do układów, a pełnomocnikiem tym będę ja. Wtenczas nie poważą się odmówić mi, powrócę do Paryża, ujrzę cię znowu i przez chwilę chociaż szczęśliwym się stanę. Tysiące ludzi wprowadzie

szczęście moje życiem przypląci; lecz cóż mnie to obchodzi, bylebym ciebie mógł znowu zobaczyć. Wszystko to może jest szalone i nierozumne, lecz powiesz mi, królowo, która kobieta miała kochanka więcej rozmiłowanego, jaka władczyni gorliwszego służyć?

– Milordzie, milordzie, na obronę swoją wywołujesz rzeczy, które cię potępiają tylko, wszystkie dowody miłości, jakie dać mi zamyślasz, są nieledwie zbrodnią.

– Bo nie kochasz mnie, pani, wcale, bo, gdybyś mnie kochała, inaczej zapatrywałabyś się na to; bo, gdybyś mnie kochała, o! gdybyś mnie kochała!... byłby to nadmiar szczęścia, oszalałbym chyba!... Pani de Chevreuse, o której wspomniałaś przed chwilą, mniej, niż ty, pani, była okrutna. Holand ją kochał i odwzajemniała mu się miłością.

– Pani de Chevreuse nie była królową – szepnęła Anna Austriacka, pomimo woli zwyciężona wyrazem tak głębokiej miłości.

– Więc kochałabyś mnie, pani? gdybyś nie była królową, kochałabyś mnie zatem? Mogę więc wierzyć, że godność stanowiska twego jedynie czyni cię dla mnie okrutną; mogę myśleć, iż gdybyś panią de Chevreuse była, biedny Buckingham mógłby mieć nadzieję?

Dzięki ci za te słodkie słowa, o piękna królowa moja, stokrotne dzięki.

– A! milordzie, przestyszałeś się i źle zrozumiałeś; nie chciałam powiedzieć...

– Cicho! cicho! – odezwał się książę – jeżeliś szczęśliwy z pomyłki, nie popełniaj pani okrucieństwa, uwalniając mnie od niej. Sama to powiedziałaś, iż w sidła mnie wciągnięto, położę w nich moje życie może, bo, słuchaj, to dziwna, od jakiegoś czasu mam przeczucie, że umrę niedługo.

I uśmiechnął się smutnie a zarazem czarująco.

– O! mój Boże! – zawołała Anna Austrjacka z przerażeniem, które dowodziło, iż więcej, niż wyznać chciała, obchodził ją książę.

– Nie dlatego bynajmniej to mówię, aby cię, pani, przerazić, o nie; to śmieszne nawet, iż o tem wspomniałem, i wierzaj mi, że rojenia podobne nie zajmują mnie wcale. Lecz słowo to, które wyrzekłaś, nadzieja, którą mi dałaś nieledwie, starczą za wszystko, nawet za całe życie.

– O! książę, i ja mam przeczucia, sny jakieś okropne. Śniłam, iż widzę cię, broczącego we krwi, rannego okrutnie.

– W serce, wszak tak, i to nożem ugodzonego? – przerwał jej Buckingham.

– O! tak, milordzie, tak samo, z lewego boku nożem. Kto ci mógł sen mój opowiedzieć? Bogu jednemu zwierzyłam się tylko w moich modlitwach.

– Niczego nie żądam więcej, kochasz mnie pani, to dosyć.

– Ja, pana kocham?...

– Tak, pani, czyżby Bóg zsyłał ci te same sny, gdybyś mnie nie kochała? Moglibyśmy mieć jedno przeczucie, gdyby istnienia nasze sercem się nie łączyły? Kochasz mnie, o, królowo,

i opłakiwać mnie będziesz!

– O! Boże, mój Boże! – zawołała Anna Austriacka – to już nad moje siły. Słuchaj, książę, zaklinam cię na Boga, oddal się, odjeżdżaj; ja nie wiem, czy Kocham cię, czy nie, to tylko wiem, że nigdy nie złamię przysięgi. Ulituj się więc nade mną i odejdz. O! jeżeli we Francji nieszczęście spadnie na ciebie, jeżeli tu życie położysz, o! jeżelibym musiała przypuszczać, że miłość dla mnie stała się przyczyną twojej śmierci, byłabym niepokieszona, oszalałabym z pewnością. Odjeżdżaj zatem, odjeżdżaj, błagam cię o to!

– O! jakaś ty piękna! Jakże ja cię Kocham!... moja królowo! ... – mówił Buckingham wzruszony.

– Oddal się, oddal!... błagam cię raz jeszcze, a później powracaj; powracaj jako ambasador, jako minister, otoczony strażą, która cię bronić będzie, służbą, która czuwać nie przestanie. Wtedy nie będę drżała o życie twoje i sprawisz mi szczęście twoim widokiem.

– O! prawdą to jest, co mi pani mówisz?

– Tak...

– Daj mi więc zakład przebaczenia twego, rzecz jaką, należącą do ciebie, któraby mi przypominała, że to nie było snem; coś, co nosiłaś na sobie, co mógłbym nosić także, pierścień, naszyjnik lub łańcuch.

– A czy odjedziesz, czy odjedziesz, gdy ci dam, czego żądasz ode mnie?

– Tak.

– Natychmiast?

– Tak.

– Opuścisz Francję, powrócisz do Anglii?

– Tak, przysięgam pani.

– Zaczekaj więc, zaczekaj.

Anna Austriacka wróciła do pokoju i wyszła z niego za chwilę, niosąc szkatułkę z drzewa różanego z jej cyfrą, złotem nabijaną.

– Weź to, milordzie – rzekła – i zachowaj po mnie na pamiątkę.

Buckingham wziął szkatułkę i po raz drugi padł na kolana.

– Obiecałeś mi pan, że odjedziesz – wyrzekła królowa.

– Dotrzymam słowa. Podaj mi rękę, królowo, odjeżdżam.

Podawała mu rękę, zamykając oczy i opierając się drugą na ramieniu donny Estefany, czuła bowiem, że ją opuszczają siły.

Buckingham przylgnął ustami namiętnie do tej pięknej ręki i, powstając, rzekł:

– Za sześć miesięcy, jeżeli nie umrę, ujrzę cię znowu, pani, choćbym miał całym światem wstrząsnąć!

I, wierny przyrzeczeniu, wybiegł z pokoju.

W korytarzu spotkał oczekującą nań panią Bonacieux, która równie ostrożnie i szczęśliwie wyprowadziła go z Luwru.

Rozdział XIII. Pan Bonacieux

W tych wszystkich wypadkach brała też udział pewna osobistość, którą z przyczyny podrzędnego jej stanowiska, zajmowano się miernie, pan Bonacieux, czcigodna ofiara intryg politycznych i miłosnych, tak splełanych z sobą w owej epoce rycerskiej i kochliwej zarazem.

Przypominają sobie czytelnicy, a może i nie przypominają, iż przyrzekliśmy nie stracić go z oczu.

Żandarmi, którzy go aresztowali, zaprowadzili go wprost do Bastylji, gdzie, drżącemu ze strachu, kazali przejść obok gromadki żołnierzy, nabijających muszkiety.

Stamtąd wprowadzony do niskiej galerji podziemnej, stał się dla tych, co go przywiedli, przedmiotem najboleśniejszych pośmiewisk i najdzikszego obejścia.

Widząc, że nie ze szlachcicem mają do czynienia traktowali go, jak ostatniego włóczęgę.

Po upływie blisko pół godziny woźny położył koniec jego męczarniom, lecz me uspokoił go bynajmniej, wygłaszając rozkaz, aby zaprowadzono pana Bonacieux do sali badań. Badano zwykle więźniów na miejscu, lecz z panem Bonacieux nie robiono zachodów.

Dwóch stróżów pochwyciło kramarza, przeprowadziło przez dziedziniec i kazało mu wejść do korytarza, w którym trzech żołnierzy stało na warcie.

Otworzono drzwi i wepchnięto go do pokoju niskiego, którego umeblowanie stanowił stół i krzesło. Zastępca sędziego siedział na krześle i zajęty był pisaniem przy stole.

Stróże przywiedli więźnia przed stół i na znak zastępcy sędziego oddalili się, aby nie słyszeli badania.

Zastępca sędziego, trzymający dotąd nos w papierach, podniósł głowę, iżby zobaczyć, z kim ma do czynienia.

Był to człowiek o obliczu odpychającym, z nosem spiczastym, żółtymi i wydętymi policzkami, o oczach małych, lecz badawczych i żywych. Fizjognomja jego stanowiła coś pośredniego pomiędzy kuną a lisem. Głowa, osadzona na szyi długiej i ruchliwej, wydobywała się z czarnej sukni, kołysząc się na kształt głowy żółwia, wyzierającego z twardej swojej skorupy.

Rozpoczął badanie, zapytując pana Bonacieux o imię, nazwisko, wiek, stan i miejsce zamieszkania.

Oskarżony odpowiedział, że nazywa się Jakób-Michał Bonacieux, że ma lat pięćdziesiąt jeden, że zwinął handel i mieszka przy ulicy Grabarzy Nr. 11.

Wtedy zastępca, zamiast prowadzić dalsze badanie, wypalił mówkę o niebezpieczeństwie mieszania się w sprawy publiczne takiemu, jak on pachotkowi.

Naukę tę pogmatwał z wykazaniem władzy i czynów pana kardynała, ministra niezrównanego, zwycięzcy dawnych ministrów, będącego wzorem dla przyszłych. Czynom jego i władzy nikt bezkarnie nie może stanąć na przeszkodzie.

Skończywszy część drugą przemowy, przeszył wzrokiem

jastrzębim biednego Bonacieux i wezwał go do zastanowienia się, co ma myśleć o ważności obecnego położenia. Kramarz już się zastanowił, co ma myśleć, i do wszystkich djabłów odsyłał chwilę, kiedy panu de La Porte przyszło do głowy żenić go ze swoją chrześniaczką, a nade wszystko tę, kiedy żona przyjęta została na dozorczynię bielizny królowej.

Podstawą charakteru imci pana Bonacieux był głęboko zakorzeniony egoizm w połączeniu z brudnym skąpstwem, a wszystko to zaprawne wyskokiem tchórzostwa. Miłość, jaką w nim wzbudziła młoda żona, była uczuciem drugorzędnym, nie mogącym walczyć z wrodzonymi uczuciami, które wyliczyliśmy przed chwilą.

Zastanowił się nareszcie Bonacieux i nad tem, co mu powiedziano przed chwilą.

– Ależ, panie sędzio – odezwał się z zimną krwią – wierzaj mi, iż więcej, niż ktokolwiek, znam i oceniam zasługi niezrównane eminencji, przez którego mamy zaszczyt być rządzeni.

– Doprawdy? – z powątpiewaniem spytał urzędnik – gdyby to było prawdą, w jaki sposób znalazłbyś się w Bastylji?

– W jaki sposób, a raczej, dlaczego tu jestem – odrzekł pan Bonacieux – tego właśnie nie mogę w żaden sposób wytłumaczyć panu, bo sam nic a nic nie rozumiem; lecz tego tylko pewny jestem, że w niczem nie obraziłem pana kardynała, przynajmniej, o ile mi wiadomo.

– Musiałeś się jednak ciężkiej zbrodni dopuścić, skoro obwiniony jesteś o najwyższą zdradę.

– O zdradę?... – wykrzyknął przerażony Bonacieux – o zdradę najwyższą?... Skądże skromny kramarz, brzydzący się Hugonotami i nienawidzący Hiszpanów, może być obwiniony o nią? Zastanów się, panie, to niemożliwe.

– Panie Bonacieux – odezwał się zastępca sędziego, świdrując go małymi oczkami, jak gdyby rzeczywiście miały dar czytania w najskrytszych tajnikach serc ludzkich – pan masz żonę, panie Bonacieux?

– Tak, panie – odpowiedział kramarz ze drżeniem, czując, że tutaj właśnie sprawa może się wikłać – to jest miałem ją, panie.

– Jak to?... miałaś ją?... a cóżeś z nią zrobił, jeśli już jej nie masz?

– Porwano mi ją, panie.

– Czy tak?... O!...

Wykrzykownik ten dał kramarzowi do myślenia, że sprawa płacze się coraz więcej.

– Porwano ci ją?... – ciągnął dalej – a czy wiesz, kto ten gwałt popełnił?

– Zdaje mi się, że wiem.

– Któż taki?

– O! proszę pana, ja na pewno nie twierdzę, ale tylko podejrzewam.

– Kogóż mianowicie? No, odpowiadaj otwarcie.

Pan Bonacieux znalazł się w opałach; miałże przeczyć wszystkiemu, czy mówić? Przeczając, ściągnąć mógł na siebie podejrzenie, iż za wiele wiedział, a nic nie chciał wyznać;

mówiąc zaś, dawał dowody dobrych chęci.

Postanowił mówić.

– Posądzam – rzekł – wysokiego bruneta, o dumnej postawie, wyglądającego na wielkiego pana; śledził nas kilkakrotnie, jak mi się zdawało, gdy chodziłem na spotkanie żony do furtki Luwru, aby ją zaprowadzić do domu.

Urzędnik okazał pewne zaniepokojenie.

– Jakże się nazywa? – zapytał.

– O! tego wcale a wcale nie wiem. Gdybym go jednak spotkał, poznałbym natychmiast, zaręczam, choćby wśród tysiąca ludzi.

Zachmurzyło się czoło urzędnika.

– Poznałbyś go wśród tysiąca, powiadasz? – ciągnął dalej.

– To jest – podchwycił Bonacieux, czując, że się zanadto pośpieszył – chciałem powiedzieć...

– Mówiłeś, że poznałbyś go – rzekł zastępca sędziego – dosyć zatem na dzisiaj; zanim dalej pójdziemy, musi być ktoś zawiadomiony, iż znasz tego, który ci porwał żonę.

– Ależ ja nie mówiłem, że go znam! – zawołał zrozpaczony Bonacieux – powiedziałem przeciwnie...

– Wyprowadzić więźnia – rzekł do stróża urzędnik.

– A dokąd?... – zapytał woźny.

– Do lochu?

– Do którego?

– O! do pierwszego lepszego, byle dobrze zamknąć – odrzekł zastępca sędziego z obojętnością, która zgrozą przejęła biednego Bonacieux.

– O! biada nieszczęsnej mej głowie!... – mówił sobie w duchu – żona moja widocznie przeszkrobała straszliwie; myślą, że jestem jej współnikiem i razem z nią karać mnie będą: wygada się, przyzna, że zwierzyła mi się ze wszystkiego; kobieta to zawsze kiepska głowa! Do pierwszego lepszego lochu!... tak! noc tylko mignie, a jutro pod koło lub na szubienicę! O! Boże mój, Boże! ulituj się nade mną!...

Nie zważając bynajmniej na lamentacje imci pana Bonacieux, z którymi zresztą oswojeni byli, dwaj stróże ujęli więźnia pod pachy i uprowadzili, gdy tymczasem komisarz pisał naprędce list, na który czekał woźny. Bonacieux ani oka nie zmrużył, nie dlatego, ażeby więzienie było zbyt nieprzyjemne, ale, że go dręczył straszliwy niepokój.

Całą noc przesiedział na stołku, drżąc za najmniejszym szelestem, a gdy pierwsze promienie słońca wdarły się do więzienia, wydało mu się, jakoby poranek przywdział barwy żałobne.

Naraz wzdrygnął się cały, usłyszał bowiem odsuwanie rygli. Pewien był, iż przychodzą, aby go na rusztowanie poprowadzić; kiedy więc zamiast kata, którego się spodziewał, ujrzał po prostu znanego mu zastępcę sędziego i woźnego, gotów był rzucić się im na szyję.

– Sprawa twoja, mój pocziwce, zawikłała się okrutnie od wczorajszego wieczora – rzekł doń urzędnik – i radzę ci prawdę całą wyznać, bo tylko skrucza twoja, może zażegnać gniew kardynała.

– Ależ gotów jestem wszystko powiedzieć... wszystko przynajmniej, co wiem. Pytaj mnie pan, proszę.

– Najpierw, gdzie jest twoja żona?

– Powiedziałem przecie panu, iż mi ją porwano.

– Tak, lecz wczoraj o piątej po południu uciekła dzięki twojej pomocy.

– Żona moja uciekła!... – krzyknął Bonacieux – O! nieszczęsna! Panie, jeżeli się tak stało, to nie z mojej winy, przysięgam!...

– Cóż więc robiłeś u pana d'Artagnan, sąsiada twojego, z którym w ciągu dnia miałeś długą naradę?

– A! tak panie sędzio, to prawda, przyznaję, iż zawiniłem. Byłem u niego.

– Jaki był cel tych odwiedzin?

– Prośba, aby mi dopomógł w odnalezieniu żony. Sądziłem, iż mam prawo upominać się o nią; byłem widocznie w błędzie, błagam więc pana o przebaczenie.

– A pan d'Artagnan cóż na to?

– Przyobiecał mi pomoc, spostrzegłem jednak wkrótce, że mnie zdradza.

– Zeznajesz to w obliczu sprawiedliwości. Pan d'Artagnan zawiązał z tobą przymierze, na mocy którego zmusił do ucieczki służbę policyjną, która przyaresztowała twoją żonę i ukrył ją przed wszelkiem poszukiwaniem.

– Pan d'Artagnan moją żonę wykradł?... Co pan mówisz?

– Na szczęście, mamy go już w ręku i będziesz z nim

skonfrontowany.

– A! i owszem – zawołał Bonacieux – bardzo mi będzie przyjemnie twarz znajomą zobaczyć.

– Wprowadzić tu pana d’Artagnana – rzekł komisarz do stróżów.

Wprowadzono Athosa.

– Panie d’Artagnan – rzekł do niego urzędnik – zeznaj, co zaszło pomiędzy tobą a tym oto panem.

– Ależ to nie pan d’Artagnan! – zawołał Bonacieux.

– Jakto? nie pan d’Artagnan? – wykrzyknął zastępca sędziego.

– Nie!... ależ nigdy w świecie!... – odrzekł Bonacieux.

– Więc jak się ten pan nazywa? – zapytał urzędnik.

– Nie mogę panu powiedzieć, bo go nie znam.

– Co?... nie znasz go?

– Nie.

– Nie widziałeś go nigdy?

– I owszem, ale nie wiem, jak się nazywa.

– Nazwisko pańskie? – zapytał urzędnik.

– Athos – odpowiedział muszkieter.

– Ależ to nazwisko nie człowieka, tylko góry! – zawołał badacz, tracąc poniekąd głowę.

– To jest moje nazwisko – odrzekł spokojnie Athos.

– Powiedziałeś jednak, że nazywałeś się d’Artagnan.

– Ja?

– Tak, pan.

– Właściwie to mnie powiedziano: „Jesteś panem

d'Artagnan?" Odpowiedziałem: „Czy tak?” Stróże wasi zakrzyczeli mnie, że są tego pewni. Nie chciałem im przeczyć. Zresztą mogłem się mylić.

– Panie, ubliżasz pan majestatowi sprawiedliwości.

– Bynajmniej – odparł spokojnie Athos.

– Pan jesteś d'Artagnan?

– Widzisz pan, że sam mówisz to jeszcze.

– Ależ... powiadam panu sędziemu – zawołał z kolei Bonacieux – iż nie ma najmniejszej wątpliwości. Pan d'Artagnan jest moim lokatorem, a że nie płaci mi komornego, tembardziej muszę go przecie znać. Pan d'Artagnan to młodzieniec najwyżej dwudziestoletni, a ten pan ma co najmniej trzydzieści lat. Pan d'Artagnan służy w pułku pana Desessarts, a ten pan jest z kompanji muszkietierów pana de Tréville. Przypatrz się, panie sędzio, mundurowi.

– To prawda – mrukną! urzędnik – prawda, do licha!...

W tej chwili drzwi otwarto z pośpiechem i posłaniec, wprowadzony przez jednego z odźwiernych Bastylji, doręczył urzędnikowi list.

– O! nieszczęsna!... – wykrzyknął zastępca sędziego.

– Co takiego?... o kim pan mówisz?... spodziewam się, że nie o mojej żonie?...

– Przeciwnie, o niej... Słuchaj, nietęga twoja sprawa.

– Masz tobie!... – wykrzyknął zrozpaczony kramarz – racz mi pan powiedzieć, czy sprawa moja pogorszyć się może przez to, co zrobiła żona podczas pobytu mojego w więzieniu!...

– Z pewnością, gdyż to, co zrobiła, jest następstwem planu, ułożonego pomiędzy wami, piekielnego planu.

– Przysięgam ci, panie sędzio, że mylisz się najokrutniej. Ja nic a nic w świecie nie wiem o tem, co ona miała zrobić, i wszystko, co zrobiła, jest mi zupełnie obce, a jeżeli głupstwo jakie popełniła, wyrzekam się jej, wypieram, wyklinam raz na zawsze!...

– Koniec końców – rzekł Athos do urzędnika – jeżeli już niepotrzebny tu jestem, wypraw mnie gdziekolwiek, strasznie nudny jest ten twój pan Bonacieux.

– Odprowadź więźniów do ich cel – rzekł zastępca sędziego, wskazując Athosa i Bonacieux – i strzeż ich pilniej, niż dotąd.

– A jednak – odezwał się Athos z właściwym sobie spokojem – jeżeli pan masz z d’Artagnanem do czynienia, nie rozumiem w czem ja go tu mogę zastąpić.

– Zrobić tak, jak mówiłem – krzyknął urzędnik – i pilnować najściślej! Rozumiecie!

Athos wzruszył ramionami, poszedł za strażnikami, a narzekania pana Bonacieux zmiękczyłyby mogły nawet serce tygrysie.

Wprowadzono kramarza do tej samej celki, w której noc przepędził, i pozostawiono go tam przez dzień cały.

Wieczorem, około dziewiątej, gdy już był zdecydowany położyć się do łóżka, usłyszał na korytarzu kroki, które zatrzymały się przed drzwiami jego więzienia.

Ukazała się straż.

– Proszę za mną – rzekł oficer służbowy, postępujący za strażą.

– Za panem!... – wykrzyknął Bonacieux – za panem!... i dokąd że to, mój Boże?...

– Tam, dokąd mamy rozkaz pana zaprowadzić.

– Ależ to nie jest odpowiedź.

– Tę tylko dać ci możemy.

– A! Boże mój! Boże!... – szepnęła biedny kramarz – teraz już po wszystkim!...

I powłókł się bezmyślnie, bez najmniejszego oporu za strażą, która po niego przyszła.

Prowadzono go tą samą drogą, którą już przebywał; u bramy wjazdowej nareszcie zastał karetę, otoczoną przez 4-ch konnych strażników. Kazano mu wsiąść do powozu, oficer zajął miejsce obok niego, drzwiczki zamknięto na klucz, i znaleźli się obydwaj w więzieniu na kołach.

Powóz potoczył się zwolna, jak wóz pogrzebowy. Więzień widział przez zamknięte kraty: domy, bruk i nic więcej nad to; lecz, jako prawdziwy paryżanin, poznawał każdą ulicę po szyldach, słupach i latarniach.

W chwili, kiedy powóz zbliżył się do Saint-Paul, miejsca, gdzie tracono skazanych z Bastylji, Bonacieux o mało nie zemdlał i przeżegnał się dwa razy, myśląc, że tu się zatrzyma, ale pojazd toczył się dalej.

Później, strach go ogarnął jeszcze większy, gdy mijali cmentarz Ś-go Jana, gdzie chowano przestępców stanu. Jedna

myśl go tylko pocieszała, a mianowicie, że, zanim ich grzebano, ucinano im głowy, a jego głowa siedziała jeszcze mocno na karku. Ale kiedy powóz zawrócił w kierunku placu de la Greve, kiedy zobaczył spiczaste dachy ratusza i powóz podjechał pod arkady, myślał, że wszystko się dla niego skończyło i chciał się wypowiedzieć oficerowi. Gdy ten odmówił, krzyżeć zaczął tak niemiłosiernie, że zagrożono mu zakneblowaniem gęby. Groźba ta pocieszyła trochę biednego Bonacieux, bo i na cóż mieliby go kneblować, gdyby miał być stracony.

Minęli też fatalny plac, nie zatrzymując się wcale.

Obawiać się teraz można było tylko la Croix-du-Trahoir, a powóz w tym właśnie potoczył się kierunku.

Teraz nie było już wątpliwości, w la Croix-du-Trahoir miał zakończyć i podróż swoją i żywot!

Nie mógł dojrzeć jeszcze straszego tego krzyża (Croix), ale czuł go już blisko.

Kiedy oddzielała go już tylko odległość nie więcej nad dwadzieścia kroków, usłyszał gwar jakiś i powóz się zatrzymał.

Tego już było zanadto dla biednego Bonacieux. Zgnębiony wzruszeniami, które przechodził, jęknął słabo jękiem, jaki można było wziąć za ostatnie westchnienie umierającego, i zemdłał.

Rozdział XIV. Nieznajomy z Meung

Tłum hałaśliwy, na jaki natrafiono, zebrał się nie w oczekiwaniu na powieszenie człowieka, lecz dla przyjrzenia się już powieszonemu.

Powóz, zatrzymany przez chwilę, puścił się w dalszą drogę i, przebijając się przez tłuszcę, przeciął ulicę Ś-go Honoryusza, zawrócił na ulicę Dobrych dzieci i stanął przed niepozorną furtką.

Drzwiczki karety otwarto, dwóch ze straży pochwyciło w objęcia swoje pana Bonacieux, podtrzymywanego przez oficera; wepchnięto go do sieni, później na schody i wprowadzono do przedpokoju.

Wszystko to odbyło się bez jego wiedzy.

Szedł tak, jakby się znajdował we śnie. Przedmioty wszystkie mgła mu przesłaniała, słuch chwycił dźwięki, nie rozumiejąc ich wcale. Dałby się był zaprowadzić na rusztowanie i głowę na pniu położyłby, nie kiwnąwszy nawet palcem dla obrony, i aniby nawet pisał błaganiem o litość.

Pozostał tak, jak go posadzono na ławeczce, plecami oparty o ścianę, z rękami zwieszonymi i przymkniętymi oczyma.

Gdy ośmielił się otworzyć powieki, nie zobaczył dokoła żadnego przedmiotu groźnego, mogącego wskazywać mu niebezpieczeństwo.

Ławeczka wysłana była wygodnie, ściany pokryte piękną

skórą kordubańską, u okien zwieszały się wielkie firanki z czerwonej materji, podtrzymywane złotemi przepaskami.

Zrozumiał, iż przestrach jego był przesadzony, i począł kręcić głową to w prawo, to w lewo, to na dół, to do góry.

Ponieważ nikt nic nie miał przeciw tym poruszeniom, nabrał trochę odwagi i spróbował wysunąć najpierw jedną, a potem drugą nogę; nareszcie, podparwszy się na rękach, podniósł się z ławeczki i stanął.

W tejsze chwili oficer pięknej powierzchowności uchylił portjery, kończąc jeszcze rozmowę z osobą, w przyległym pokoju będącą, i zwróciwszy się do więźnia, rzekł:

– To pan nazywasz się Bonacieux?

– Tak, panie oficerze, do usług pańskich – wybełkotał na wpół żywy kramarz.

– Proszę wejść – rzekł oficer.

I usunął się na bok, aby przepuścić kramarza, który usłuchał ślepo i wszedł do pokoju, gdzie go oczekiwano widocznie.

Był to obszerny gabinet o ścianach, przybranych bronią zaczepną i obronną, wysłany dywanami i zaciszny, a w kominku, pomimo końca września zaledwie, płonął suty ogień.

Stół czworokątny, pokryty książkami i papierami, pomiędzy którymi rozłożony był olbrzymi plan miasta Rochelli, zajmował środek pokoju.

Przed kominkiem stał mężczyzna średniego wzrostu, postawy wyniosłej i dumnej, z oczami przenikliwemi, twarzą wychudłą, którą wydłużała jeszcze spiczasta bródka, a ponad nią wznosiły

się cienkie wąsiki.

Jakkolwiek mężczyzna ten miał zaledwie trzydzieści siedem lat, włosy, wąsy i bródka siwieć mu już poczynały. Gdyby nie brak szpady, wygląd miałby rycerski; buty ze skóry bawolej, lekko jeszcze pyłem pokryte, świadczyły, iż w ciągu dnia musiał dosiadać konia.

Był to Armand-Jan-Duplessis, kardynał de Richelieu, ale nie taki, jak go nam przedstawiają, starzec, wiekiem złamany, cierpiący, jak męczennik, z ciałem bezsilnym, zagasłym głosem, pogrążony w fotelu, jak w przedwczesnym grobie, żyjący tylko siłą swego geniuszu i wytrzymujący walkę z Europą przez nieustanny wysiłek myśli.

Był on taki, jak rzeczywiście wyglądał w owej epoce. Zręczny kawaler światowy, słaby ciałem, lecz podtrzymywany władzą ducha, która czyniła z niego jedną z najwybitniejszych postaci w świecie; przygotowujący się teraz, po osadzeniu księcia de Nemours w księstwie Mantui, po wzięciu Nimes, Castres i Uzes, do wypędzenia Anglików z wyspy Re i do oblężenia Rochelli.

Na pierwsze wejrzenie nic w nim nie zdradzało kardynała i tym, którzy nie znali go z twarzy, trudno było odgadnąć, kogo mają przed sobą.

Biedny kramarz stał przy drzwiach, kiedy oczy osobistości, przez nas opisaną utkwione w nim były, i, jakby się goniąc, sięgały do głębi jego duszy.

– Więc to ów Bonacieux? – zapytał po chwili milczenia.

– Tak, monsiniorze – odrzekł oficer.

– Dobrze, podaj mi te papiery i zostaw nas samych.

Oficer wziął ze stołu wskazane papiery, podał je żądajacemu, skłonił się do ziemi i wyszedł.

W papierach tych poznał Bonacieux protokół swój z Bastylji.

Od czasu do czasu mężczyzna, stojący przed kominkiem, odrywał oczy od pisma i zatapiał je, jak sztylety w serce biednego gospodarza.

Po dziesięciominutowem czytaniu i chwili badania wzrokiem zdanie kardynała zostało ustalone.

– Głowa ta nie spiskowała nigdy, – wyszeptał – lecz mniejsza o to, przekonajmy się sami.

– Obwiniony jesteś o zdradę – rzekł przeciągle kardynał.

– Powiedziano mi to właśnie, monsiniorze – zawołał Bonacieux, używając tytułu, jaki słyszał od oficera, – lecz przysięgam, iż nic o tem nie wiem.

Kardynał powstrzymał uśmiech.

– Spiskowałeś z żoną swoją, z panią de Chevreuse i księciem de Buckingham.

– Rzeczywiście, monsiniorze – odparł gospodarz – słyszałem, jak wymawiała wszystkie te nazwiska.

– W jakich okolicznościach?

– Mówiła ona, iż kardynał de Richelieu ściągnął do Paryża księcia Buckingham, aby go razem z królową zgubić.

– Ona to mówiła? – zawołał kardynał gwałtownie.

– Tak, monsiniorze; powiedziałem jej, iż źle robi, plotąc podobne rzeczy, i że jego eminencja nie byłby zdolny...

– Milcz, jesteś głupiec – przerwał mu kardynał.

– Zupełnie to samo powiedziała mi żona, monsiniorze.

– Czy wiesz, kto twoją żonę porwał?

– Nie, monsiniorze.

– Masz jednak jakieś podejrzenia?

– Tak, lecz one nie w smak były panu sędziemu, więc już ich nie mam wcale.

– Żona twoja wydostała się na wolność. Wiedziałeś o tem?

– Nie, monsiniorze, dowiedziałem się w więzieniu dopiero i to z ust pana sędziego, wielce miłego człowieka!

Uśmiech znów się ukazał na ustach kardynała.

– Nie wiesz zatem, co się z żoną twoją stało po ucieczce?

– Nic zgoła nie wiem, monsiniorze, musiała pewnie powrócić do Luwru.

– O pierwszej w nocy nie było jej tam jeszcze.

– A! mój Boże! cóż się więc z nią stało?...

– To się wyda, bądź spokojny; nic się przed kardynałem nie ukryje, kardynał wie o wszystkim.

– W takim razie, monsiniorze, czy sądzisz, iż kardynał zgodzi się, powiedzieć mi, co się stało z moją żoną?

– Być może, ale najpierw musisz wyznać wszystko, co wiesz o stosunkach żony twojej z panią de Chevreuse?

– Kiedy ja nie wiem o niczem, monsiniorze; nigdy jej nie widziałem.

– Gdy chodziłeś po nią do Luwru, czy wracała prosto do domu?

– Nigdy prawie: miała interesy do sklepów z płótnem, dokąd ją też odprowadzałem.

– A wielu kupców takich było?

– Dwóch, monsiniorze.

– Gdzie mieszkali?

– Jeden, przy ulicy Vaugirard, drugi przy ulicy de la Harpe.

– Czy wchodziłeś z nią do nich?

– Nigdy, monsiniorze; czekałem przede drzwiami.

– A czym się tłumaczyła, że wchodzi sama?

– Nie tłumaczyła się nigdy; kazała mi czekać i czekałem.

– Wygodny z ciebie małżonek, drogi mój panie Bonacieux! – rzekł kardynał.

– On mnie drogim swoim panem nazywa! – rzeki sobie w duchu kramarz. – Nieźle już rzeczy stoją!

– Czy poznałbyś te drzwi?

– Poznałbym.

– A pamiętasz numery domów?

– Pamiętam.

– Jakież więc?

– Nr. 25 przy ulicy Vaugirard; Nr. 75 ulica de la Harpe.

– Dobrze – rzekł kardynał.

To mówiąc, zadzwonił; wszedł oficer.

– Idź po Rocheforta – rzekł doń półgłosem – niech przyjdzie tu natychmiast, jeżeli już powrócił.

– Hrabia jest już tutaj – odrzekł oficer – i pragnie usilnie mówić z waszą eminencją!

– Niech przyjdzie, niech przyjdzie! – rzekł porwyczo kardynał.

Oficer wybiegł z pokoju z pośpiechem, właściwym tym wszystkim, którzy kardynałowi służyli.

– Z waszą eminencją! – mruczał Bonacieux, tocząc błędnym wzrokiem.

W kilka minut zaledwie po wyjściu oficera drzwi się otworzyły i weszła nowa figura.

– To on! – wykrzyknął Bonacieux.

– Co za on? – zapytał kardynał.

– Ten, co żonę mi porwał.

Kardynał znowu zadzwonił. Oficer wszedł.

– Oddaj tego człowieka w ręce stróżów i niechaj czeka, aż go wezwę do siebie.

– Nie, monsiniorze! nie, to nie on! – wołał Bonacieux – nie, ja się pomyliłem: to ktoś inny, wcale do niego niepodobny! Ten pan jest człowiekiem uczciwym.

– Precz z tym durniem! – zawołał kardynał.

Oficer wziął kramarza pod pachę i wyprowadził do przedpokoju, gdzie oczekiwali dwaj jego dozorczy.

Nowoprzybyły powiódł wzrokiem niecierpliwym za wychodzącym Bonacieux, a skoro drzwi zamknęły się za nim, rzekł:

– Widzieli się.

– Kto? – zapytał kardynał.

– On i ona.

– Królowa i książę?

– Tak.

– Gdzie?

– W Luwrze.

– Jesteś tego pewny?

– Najzupełniej.

– Kto ci to mówił?

– Pani de Launay, która jak Waszej eminencji wiadomo, oddana mi jest zupełnie.

– Czemuż wcześniej tego nie powiedziała?

– Bo przypadkowo, a może też przez nieufność, królowa rozkazała pani de Surgis spać w swoim pokoju i cały dzień nie puściła jej od siebie.

– Ha! jesteśmy pobici. Postarajmyż się o odwet.

– Bądź spokojny, monsiniorze, pomogę ci z całej duszy.

– Jakże to było?

– O godzinie wpół do pierwszej w nocy królowa była w otoczeniu dam swoich...

– Gdzie?

– W sypialni swojej.

– Dobrze.

– Gdy wtem wręczono jej chusteczkę, przyniesioną przez dozorczynię bielizny...

– Cóż dalej?

– Nagłe wzruszenie ogarnęło królową i pomimo rózu, którym twarz miała pokrytą, zbladła.

– Cóż dalej?... prędej!

– Podniosła się jednakże i głosem niepewnym: moje panie – powiedziała – za dziesięć minut powrócę, poczekajcie na mnie. Otworzyła drzwi alkowy i wyszła.

– Dlaczego pani de Launay nie dała ci o tem znać natychmiast?

– Nic jeszcze nie było pewnego; zresztą królowa powiedziała: – moje panie, poczekajcie na mnie – nie śmiała więc sprzeciwić się rozkazowi królowej.

– Jak długo nie było królowej w jej pokoju?

– Trzy kwadranse.

– Czy żadna z dam nie poszła razem z nią?

– Donna Estefana tylko.

– A potem królowa wróciła?

– Tak, aby zabrać szkatułkę z drzewa różanego z cyfrą swoją, i wyszła znowu.

– A jak wróciła wreszcie, czy przyniosła szkatułkę?

– Nie.

– Czy pani de Launay wiedziała, co zawiera szkatułka?

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.